

Polska Zbrojna

NR 7 (831) LIPIEC 2015

CENA 6,50 Zł (w tym 8% VAT)

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4524



MICHAŁ ZIELIŃSKI

O TYM JAK SIĘ
ŻYJE W DONIECKU

➔ GEN.
DYW.
MIROŚLAW
RÓŻAŃSKI



*Nie zamierzam
wprowadzać
rewolucyjnych
zmian*

„ALLIED SHIELD”

SOJUSZNICZE
WIELKIE
MANEWRY
Z WYRAŹNYM
PRZESŁANIEM

DUCH WALKI

TWARZĄ W TWARZ
Z PRZECIWNIKIEM

STRATEGIE

IRAŃSKI SEN O POTĘDZE

KTO SIĘ BOI
TEHERANU?



MIĘDZYNARODOWE POKAZY LOTNICZE

Honorowy Patronat
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Bronisława Komorowskiego



75 ROCZNICA
bitwy
o Anglię

Air Show

RADOM, 22-23 sierpnia



DOWÓDZTWO GENERALNE
RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

Sponsor Strategiczny:



Współorganizatorzy:



Sponsor Oficjalny:



Ogólnopolscy Patroni Medialni:



Branżowi Patroni Medialni:



Instytucje Wspierające:



Bilety dostępne na portalu

eBilet.pl
Twój Bilet dowolnego czasu!

oraz w sieci salonów

empik



WOJCIECH KISS-ORSKI

WALKA WRĘCZ BYĆ MOŻE NIE JEST W WOJSKU NAJWAŻNIEJSZA, ALE ISTOTNIE WPŁYWA NA DUCHA WALKI I SPRAWNOŚĆ FIZYCZNĄ ŻOŁNIERZY.

Niewątpliwie ma też ogromne znaczenie w działaniach bojowych, co udowodniły misje poza granicami kraju. Od wielu lat zatem przekonujemy, jak bardzo jest potrzebna współczesnym żołnierzom. Dlaczego wracamy do tej sprawy? Dlatego że nadal brakuje systemu szkolenia w walce w bliskim kontakcie. Zbyt mało jest też instruktorów o odpowiednich kwalifikacjach. Ciągłe pozostaje do rozstrzygnięcia kwestia, czego mamy w tej dziedzinie uczyć oraz komu, jak, gdzie i jakie nadawać uprawnienia.

Oficjalnie funkcjonuje w armii tylko jeden szkolący instruktorów wykładowca, kpt. Włodzimierz Kopeć z Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu. To trochę za mało, tym bardziej że mamy do czynienia z dziedziną, w której nie uda się wyszkolić żołnierza w ostatniej chwili, gdy wybuchnie konflikt lub przyjdzie wyjeżdżać na misję. Nie można też mu przekazać tej wiedzy jednorazowo, raz na zawsze.

W naszej redakcyjnej debacie i towarzyszących jej materiałach jedynie dotykamy problemu, znów z nadzieją, że staną się one zarzewiem szerszej dyskusji i że... nie skończy się na słowach.

➤ Więcej o szkoleniu żołnierzy w walce w bliskim kontakcie na stronach 12–22



nr 7 (831)
lipiec 2015



Zdjęcie na okładce:
Łukasz Krzaczkowski/
StudioEmotions.pl

DEBATA

12 | **Duch walki**

Czy żołnierzom potrzebne jest szkolenie z walki w bliskim kontakcie? O tym między innymi dyskutują mjr rez. Piotr Tarnawski, kpt. Maciej Kupryjańczyk, kpt. Włodzimierz Kopec oraz Piotr Bernabiuk.

PIOTR BERNABIUK

18 | **Pójść za ciosem**

Nauczyć się sztuki walki to dopiero początek. Najważniejsze jest systematyczne doskonalenie umiejętności.

JACEK SZUSTAKOWSKI

20 | **Zwarcie w oktagonie**

Walki wojskowych gigantów, czyli I Mistrzostwa WWBK we Wrocławiu.

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI



armia

BOGUSŁAW POLITOWSKI

24 | **Generałowie nie mają monopolu na wiedzę**

Gen. dyw. Mirosław Różański o tym, co chciałby zmienić jako dowódca generalny.

TADEUSZ WRÓBEL

29 | **Manewry z przesłaniem**

Ćwiczenia „Allied Shield” – potwierdzenie strategii przyjętej przez NATO w Newport.

ANNA DĄBROWSKA, TADEUSZ WRÓBEL

34 | **Znak normalności**

Robert Kupiecki o znaczeniu międzynarodowej współpracy w zapewnieniu bezpieczeństwa wewnątrz sojuszu.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

42 | **Szczeciński bastion**

Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni wkrótce stanie się dowództwem wysokiej gotowości bojowej.

NORBERT BĄCZYK

45 | **Strzał bez pudła**

Kupujemy więcej przeciwpancernych pocisków kierowanych Spike.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

49 | **Loty specjalne**

Piloci z 8 Bazy Lotnictwa Transportowego pomagają ludziom dotkniętym skutkami klęsk żywiołowych.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

51 | **Nie byłem twardzielem**

Sierż. rez. Szymon Mutwicki o tym, jak trudno uporać się z doświadczeniami z misji.

PIOTR BERNABIUK

54 | **Drużyna indywidualistów**

Relacja z zawodów, jakie rozegrali w Wędrzynie zwiadowcy.

PIOTR BERNABIUK

58 | **Ucieczka do przodu**

Rozmowa z płk. Andrzejem Różyńskim o przyszłości wojsk rozpoznawczych i walki radioelektronicznej.

JAROSŁAW RYBAK

63 | **Nostalgiczny weekend**

O wojskowym domu wypoczynkowym, w którym można poczuć się, jak w filmie Barei.



arsenał

U S N A V Y

64 | Azjatycki potentat

TADEUSZ WRÓBEL

Jak Hindusi radzą sobie z uzależnieniem od importu uzbrojenia.



strategia

U S A R M Y

78 | Irański sen o potęgę

TOMASZ OTŁOWSKI

Jeszcze nigdy Iran nie miał takiego wpływu na sytuację polityczną w regionie.

84 | Stapanie po cieniej linie

TADEUSZ WRÓBEL

Czy Afganistan poradzi sobie z kryzysem wewnętrznym bez NATO?

87 | Krucha jedność

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Rozmowa z Romanem Kuźniarem o polityce Kremla i konsolidacji sojuszu euroatlantyckiego.

90 | Oddam czołg w dobre ręce

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Poruszający reportaż z Doniecka.

94 | Polityka w cieniu skandali

ROBERT SENDEK

Czarne chmury nad Macedonią.

wojny
i pokoje



98 | Apetyt na Kaukaz

TADEUSZ WRÓBEL

Jakie było podłoże tureckiej rzezi na Ormianach na początku XX wieku?

105 | Mistrz Nahorski

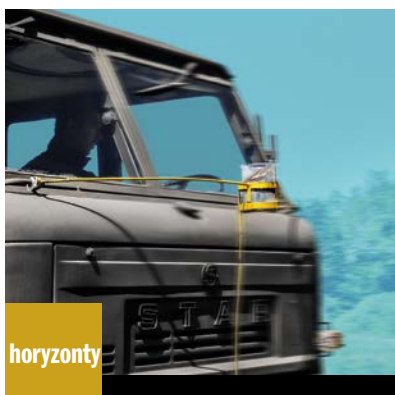
PIOTR BERNABIUK

Sylwetka bohatera kampanii wrześniowej, motocyklisty i kierowcy rajdowego.

108 | Polska nie zagranica

ANDRZEJ FAŁARA

Radzieccy oficerowie w polskim wojsku.



horyzonty

J A K U B K L I M E K

118 | Mistrz kierownicy prowadzi

JAKUB KLIMEK

Kto wywalczył miano najlepszego kierowcy w Wojsku Polskim?

128 | Męska wyprawa

PAULINA GLIŃSKA,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Rajd weteranów po Rumunii.

130 | Sztuka życia

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Przemysław Matejko – żołnierz i wojownik.



wyw
WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

plk Dariusz Kacperczyk,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Wojciech Kiss-Orski,
tel.: 261 840 222; wko@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

ZASTĘPCY SEKRETARZA REDAKCJI

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Piotr Bernabiuk, Anna Dąbrowska, Paulina Glińska,
Małgorzata Schwarzgruber, Tadeusz Wróbel,
tel.: 261 845 244, 261 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: 725 880 221;
Norbert Bączek, Jerzy Eisler, Andrzej Fąfara, Grzegorz Janiszewski,
Włodzimierz Kaleta, Jakub Klimek, Tomasz Otłowski,
Bogusław Politowski, Jarosław Rybak, Robert Sendek,
Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski, Andrzej Wilk,
Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

DZIAŁ GRAFICZNY

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kepka, Monika Siemaszko,
tel.: 261 845 170

FOTOEDYTOR

Andrzej Witkowski, tel.: 261 845 170

REDAKCJA TEKSTÓW

Renata Gromska, Barbara Szymańska, Urszula Zdunek,
tel.: 261 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU

Piotr Jaszczuk (kierownik), Aneta Kwaterowska (tłumacz),
Aneta Rosiak, Małgorzata Szustkowska, Piotr Zarzycki,
tel. 261 845 387, 261 845 180,
Elżbieta Toczek, tel. 261 840 400,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: 22 389 65 87, 500 259 909,
faks: 22 301 86 61; biuro@toplogic.pl

Numer zamknięto: 24.06.2015 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka, www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania
można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail:
prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803
- czynne w dni robocze w godzinach 7.00–17.00. Koszt połączenia
wg taryfy operatora.

PARTNER

Narodowe Archiwum Cyfrowe.

NAC 170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.

Exemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej
są bezpłatne. Informacje: 261 840 400

Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna”
materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny
na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

W TEGOROCZNYCH MANEWRACH MORSKICH POD KRYPTONIMEM „BALTOPS”
WZIĘŁY UDZIAŁ MIĘDZY INNYMI AMERYKAŃSKIE OKRĘTY: niszczyciel
rakietowy typu Arleigh Burke USS „Jason Dunham” (DDG 109)
oraz krążownik rakietowy typu Ticonderoga USS „Vicksburg” (CG-69).
Na zdjęciu: jednostki zacumowane przy Nabrzeżu Francuskim portu w Gdyni.







Wiecej na armię

Od 2016 roku rząd będzie przeznaczać na obronność 2% PKB.

Taką decyzję podjął Sejm, nowelizując ustawę o finansowaniu sił zbrojnych. Dzięki tym zmianom od 2016 roku wydatki obronne wyniosą co najmniej 2% PKB liczonego za rok ubiegły, a nie, jak dotychczas, 1,95%. Oznacza to wzrost wydatków na armię o 800 mln zł. „To bardzo ważna decyzja ze względu na realizowany program

modernizacji”, mówił w parlamencie wicepremier Tomasz Siemoniak. Nowe przepisy zobowiązują też rząd, aby co cztery lata, a nie co dwa, jak jest obecnie, przyjmował szczegółowe kierunki przebudowy i modernizacji sił zbrojnych. Uchwalone przez posłów przepisy umożliwiają też wypłacanie zaliczek na poczet zamówień publicznych udzie-

lanych w dziedzinach obronności i bezpieczeństwa.

Sejm nie zaakceptował natomiast propozycji posłów opozycji, aby 70% sumy wydawanej na uzbrojenie trafiało do polskich zakładów branży obronnej. Przeciwno przyjęciu tego rozwiązania był resort obrony, który przekonywał, że jest ono sprzeczne z prawem UE. JT, PZ ■

Maszyny dla VIP-ów

Wojsko kupuje dwa samoloty do przewozu najważniejszych osób w państwie. Zasięg przynajmniej 5 tys. km i co najmniej 12 miejsc dla pasażerów – takie warunki muszą spełniać kupowane przez resort obrony samoloty do transportu VIP-ów. Przetarg na dwie maszyny ogłosił na początku czerwca Inspektorat Uzbrojenia. MON oczekuje, że nie będą one miały więcej niż dziewięć lat, a ich nalot wyniesie najwyżej 3,5 tys. godzin. Samoloty dla VIP-ów muszą też być wyposażone w system łączności satelitarnej. W ramach umowy z dostawcą ma zostać przeprowadzone szkolenie dla pilotów i techników. Ponadto firma, która wygra przetarg, dostarczy wstępny pakiet logistyczny, zapewniający eksploatację maszyn w początkowym okresie ich użytkowania. Delegacje państwowe mają latać nowymi samolotami już w 2016 roku. Obecnie najważniejsze osoby w państwie korzystają z wyczarterowanych od LOT-u dwóch embraerów 175. KW, PZ ■

Rozmowy o tarczy

W toku są negocjacje w sprawie systemu obrony przeciwrakietowej.

Przedstawiciele Inspektoratu Uzbrojenia negocjowali w Stanach Zjednoczonych zasady pozyskania przez Polskę systemu obrony przeciwrakietowej średniego zasięgu Wisła. Polska planuje zakup ośmiu takich baterii do 2025 roku. Dwie z nich mają trafić do nas w ciągu trzech lat od podpisania umowy. W kwietniu rząd zdecydował, że żołnierze dostaną amerykańskie zestawy Patriot (więcej na ten temat w czerwcowym numerze „Polski Zbrojnej”).

Początkiem negocjacji na dostarczenie tego systemu była wizyta ministra Tomasza Siemoniaka w Waszyngtonie i spotkanie z sekre-

tarzem obrony USA Ashtonem Carterem w maju 2015 roku. Plany zakładają, że negocjacje z rządem amerykańskim potrwają do jesieni 2016 roku.

Zakup ośmiu baterii zestawów rakietowych średniego zasięgu to część programu budowy nowego systemu obrony powietrznej kraju. Będzie się on składać z trzech podsystemów: bardzo krótkiego zasięgu, zwalczającego cele oddalone o kilka kilometrów, Pilica; krótkiego zasięgu, do walki ze statkami powietrznymi lub pociskami raketowymi oddalonymi maksymalnie o 25 km, Narew; oraz średniego zasięgu, do zwalczania celów znajdujących się w odległości do 100 km. KW, PZ ■



Nowy dowódca generalny

MACIEJ NĘDZYŃSKI/DKS MON

Polska armia jest w trakcie modernizacji, NATO wzmacnia obecność na wschodniej flance, tuż obok tli się konflikt ukraińsko-rosyjski. W takich warunkach obowiązkowo nowy dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych”, mówił prezydent Bronisław Komorowski, wręczając akt mianowania gen. dyw. Mirosławowi Różańskiemu. Generał obejmuje stanowisko 30 czerwca. Zastępuje na nim gen. broni pil. Lecha Majewskiego, który DGRSZ kierował od jego powstania



w styczniu 2014 roku. Nowy dowódca generalny służył ostatnio w pionie uzbrojenia MON, a wcześniej między innymi stał na czele 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej. Był też pełnomocnikiem szefa MON ds. wdrożenia reformy systemu dowodzenia i stał na czele grupy organizującej DGRSZ. Nowego komendanta ma także Żandarmeria Wojskowa. Decyzją ministra Tomasza Siemoniaka został nim gen. bryg. Piotr Nidecki. Wcześniej kierował Centrum Operacyjnym MON. AD, ŁZ, PZ ■

■ Rozmowa z gen. dyw. Mirosławem Różańskim na stronach 24–28

Obrona państwa

Gen. broni Marek Tomaszycy, dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych, decyzją prezydenta Bronisława Komorowskiego zostanie w razie wojny naczelnym dowódcą sił zbrojnych. Przejmie wówczas dowodzenie nad wojskami wyznaczonymi do udziału w operacji wojennej i będzie podlegać bezpośrednio prezydentowi kierującemu obroną państwa wspólnie z rządem.

Możliwość wskazywania kandydata na naczelnego dowódcę była jedną

z głównych zmian wprowadzonych przez reformę systemu kierowania i dowodzenia armią. Kandydat na to stanowisko, w ramach swoich przygotowań, będzie brał udział w strategicznych grach i ćwiczeniach obronnych oraz w planowaniu użycia wojska do obrony państwa.

Gen. Tomaszycy stał między innymi na czele 12 Dywizji Zmechanizowanej i pierwszej zmiany polskiego kontyngentu w Afganistanie. Był też szefem szkolenia wojsk lądowych. AD, KW, PZ ■

Wojskowe awanse

Ponad 3,6 tys. żołnierzy będzie nominowanych na wyższy stopień. Taki limit określił na ten rok minister obrony narodowej. Chodzi o żołnierzy, którzy mogą awansować bez zmiany swojego stanowiska. Umożliwiła to nowelizacja ustawy pragmatycznej, obowiązująca od stycznia 2015 roku. Oficerowie młodszy i podoficerowie mogą awansować co trzy lata, a szeregowi po pięciu latach. Nominacje żołnierze otrzymają 15 sierpnia. Najwięcej dostaną ich podoficerowie – 2755, w dalszej kolejności szeregowi – 650 i oficerowie młodszy – 253.

Pulę awansów rozdzielono pomiędzy dowódców. Najwięcej – 3180, będzie miał do podziału dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, 199 żołnierzy zostanie mianowanych przez dowódcę Garnizonu Warszawa, 106 przez komendanta głównego Żandarmerii Wojskowej, 53 przez dowódcę operacyjnego RSZ. Z kolei w Sztapie Generalnym Wojska Polskiego awansowanych będzie 49 żołnierzy. 25 takich wyróżnień pozostaje w dyspozycji ministra obrony. Będzie on mógł je nadać żołnierzom, którzy na przykład dokonają bohaterских czynów. PG ■

JAK WAM
SIĘ CZYTA

**„Polskę
Zbrojną”?**

**W sierpniowym
numerze znajdziecie
ankietę, dzięki
której będziecie
mogli podzielić się
z nami opiniami
o miesięczniku
i portalu.**

Zapraszamy!

**Czytelnicy,
którzy odpowiedzą
na pytania, wezmą
udział w losowaniu
nagród.**

ankieta

ankieta

ankieta

ankieta

ankieta

ankieta

Trzy programy

Pozyskane technologie
będą służyć Polsce.

Zdany egzamin

Caracal spełnia wymogi stawiane nowemu
śmigłowcowi wielozadaniowemu.

Pozytywnie zakończyły się testy weryfikacyjne śmigłowca Airbus Helicopters H225M Caracal. Eksperti z różnych dziedzin, reprezentujący Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych, Sztab Generalny Wojska Polskiego, Inspektorat Uzbrojenia i Inspektorat Wsparcia Sił Zbrojnych sprawdzali, czy maszyna spełnia parametry, które podał oferent. Testowano cztery kluczowe dziedziny: konstrukcję, osiągi, wyposażenie pokładowe śmigłowca oraz tzw. wspólną platformę. W tym ostatnim wypadku wymagano, by wszystkie zamówione wersje maszyn co najmniej 50% części miały wspólnych.

Śmigłowiec był sprawdzany w 33 Bazie Lotniczej w Powidzu na ziemi i w powietrzu, w dzień i w nocy, w różnych warunkach atmosferycznych. „Przedstawiony do testów śmigłowiec spełnia wymagania określone przez siły zbrojne, jak również wszyst-

kie zapisy, które zostały zawarte w ofercie przez firmę Airbus”, powiedział gen. dyw. Mirosław Różański, ówczesny radca koordynator sekretarza stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej.

Pozytywny wynik testów otworzył możliwość rozpoczęcia negocjacji warunków ostatecznej umowy z dostawcą, w tym ceny. Oprócz kosztów zakupu śmigłowców jej elementami będą pakiety szkoleniowy i logistyczny. Gen. Różański powiedział, że prawdopodobnie pierwszy raz resort obrony chce w momencie zakupu sprzętu zagwarantować sobie korzystne warunki jego eksploatacji, w tym ceny dostaw części zamiennych przez 30 lat.

Zanim zostanie podpisany kontrakt na zakup, musi zostać uzgodniona i zawarta umowa offsetowa. „Ministerstwo Gospodarki ma na negocjacje 30 dni”, oświadczył wówczas gen. Różański. Dostawy pierwszych z 50 śmigłowców rozpoczną się w 2017 roku. TWR ■

Offset jest ważnym narzędziem budowania zdolności naszego przemysłu obronnego, a technologie, które pozyska wojsko, mają służyć rozwojowi polskich firm”, przekonywał posłów sejmowej Komisji Obrony Narodowej wiceminister Czesław Mroczek. Przypomniał, że w końcu lipca 2014 roku weszła w życie ustawa, która przesądziła, że offset może trafiać tylko do przemysłu obronnego. Wcześniej był kierowany do różnych gałęzi gospodarki. Ponadto odpowiedzialność za zawieranie umów offsetowych w imieniu Skarbu Państwa przejęło Ministerstwo Obrony Narodowej.

„Dostosowaliśmy nasze regulacje do dyrektywy obronnej Unii Europejskiej”, mówił Mroczek.

Gen. bryg. w st. spocz. Stanisław Butlak, dyrektor Biura do spraw Umów Offsetowych w MON-ie, poinformował, że Inspektorat Uzbrojenia złożył u ministra obrony 30 wniosków dotyczących wszczęcia postępowań offsetowych. Szef resortu obrony zatwierdził trzy programy. Dotyczą one: przeciwlotniczych i przeciwrakietowych zestawów średniego zasięgu Wisła, okrętów podwodnych nowego typu Orka oraz zintegrowanego systemu ochrony sił morskich w portach, na redach i kotwiskach Ostryga. MS, PZ ■

Panu Ministrowi
Czesławowi Mroczkowi

wyrazy współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach po stracie

Siostry

składają
wicepremier, minister obrony narodowej
Tomasz Siemoniak
oraz kierownictwo MON.

Dorocie Sypniewskiej

wyrazy głębokiego współczucia
i wsparcia
w trudnych chwilach
po śmierci

Mamy

składają koleżanki i koledzy
z Wojskowego Instytutu Wydawniczego.



PIOTR
BERNABIUK

Nie wolno bić żołnierza

OD ZAMIERZCHŁYCH CZASÓW
PODSTAWOWYM NARZĘDZIEM
WALKI BYŁY NOGI I RĘCE. JAK
JEDNAK SPRAWIĆ, BY STAŁY SIĘ
ONE **BRONIĄ SKUTECZNĄ?**

Najgorsze, co się może przydarzyć żołnierzowi, to zebrać bęcki na ulicy. Przecież już dzieci w przedszkolu wiedzą, że żołnierz powinien być odważny i silny. Nie może sobie pozwolić na to, żeby chuligani go pobili. W efekcie podatnicy obserwujący porażkę obrońcy ojczyzny będą rozważali, czy nie marnuje się ich pieniędzy, a przełożony z niesmakiem odnotuje wypadek nadzwyczajny.

Czasami pada w takiej sytuacji argument, że żołnierz nie musi bić się na pięści, bo ma karabin. Tyle że jak mu go zabiorą, to będzie bezbronny. Można by sobie długo tak dywagować, ale zawsze wniosek będzie taki sam – podstawowym narzędziem walki od zamierzchłych czasów były nogi i ręce. Jak jednak sprawić, by stały się one bronią skuteczną?

W tej materii istnieje nieskończona ilość koncepcji. W dzisiejszych czasach przewodnikiem po życiu jest internet – wystarczy w wyszukiwarce wpisać odpowiednie słowo. Pojawi się oferta mistrzów sztuk walk z Dalekiego Wschodu, połączenie duchowości, finezji i walorów bojowych. Wyruszamy więc w daleką podróż bez końca, bo celem sztuk walki jest „do”, czyli droga. Taka podróż rzeczywiście jest piękna, ale potrwa mniej więcej do końca świata. A my przecież mamy sprawę do szybkiego załatwienia – trzeba spuścić łanie gościowi, który nas pobił.

Kolejną ofertą są sporty walki, konkretne i twarde, jest boks, dżudo, nawet karate. Są też zapasy. Tyle że boks to ręce, zapasy – walka w parterze... Rozwiązaniem jest zatem MMA, czyli Mix Martial Arts – wszystko pomieszczone. To koncepcja o tyle wygodna, że jeśli nie wyjdzie nam w stojce, to możemy dokończyć walkę z gościem na glebie. Zaczyna się dobrze, ale szybko się okazuje, że to też nie jest sposób praktyczny na ulicę, bo przecież przeciwnik nie da się zaciągnąć do klatki, czyli oktagonu.

Zostaje nam system bojowy walki, którego żołnierz uczy się w wojsku, a przynajmniej powinien. Powstał po to, żeby wygrywał on na wojnie. A tam nic nie dzieje się na niby. Nie ma maty, nie walczy się boso, wszystkie techniki są proste, krótkie, ostatecznie załatwiają sprawę. Wojownik jest w pełnym mundurze, w kamizelce taktycznej, wkłada osłony, na kłacie ma blachę, w ręku nabity karabin... Tylko jak w takim rynsztunku wparować na dyskotekę, by oddać temu, który go pobił?

Cóż, do tych rozważań należałoby zaproponować sensowną puentę. Mam z tym jednakże pewien kłopot, którym odważnie się podzielę.

W czasach, gdy nosiłem mundur, zielony, jako łącznościowiec, a potem jako dziennikarz, ćwiczyłem tylko to, co było mi potrzebne – ucieczkę na średnich i długich dystansach. Szło mi nieźle, ale nie wiem, czy warto się tym chwalić. W kwestii zaś bezpośredniego kontaktu... uwielbiam wrestling! Mogę godzinami patrzeć, jak gigantyczni faceci ryczą na siebie okropnie, szczerzą kły, zadają straszliwe ciosy lub rzucają przeciwnikami o deski ringu.

Wszystko zgodnie ze scenariuszem, nie robiąc sobie krzywdy. Walczą tam też i panie, ale ich nie lubię, bo ciągną się za włosy. Nie jest to jednak oferta ani dla armii, ani na ulicę, bo po każdej relacji na ekranie jest wyświetlany napis: „Nie róbcie tego w domu!”.

A co z pobitym żołnierzem? No cóż, bicie żołnierza to zwykłe chuligaństwo. ■



| DEBATA |

DUCH WALKI

*Z mjr. rez. Piotrem Tarnawskim,
kpt. Włodzimierzem Kopciem
i kpt. Maciejem Kupryjańczykiem*

rozmawiamy o systemie bojowym walki
w bezpośrednim kontakcie oraz kształtowaniu
ducha wojowników.



PIOTR BERNABIAK

Czy we współczesnej armii, w której o sukcesie bojowym coraz bardziej decydują wyrafinowane technologie, żołnierzowi jest potrzebna umiejętność walki w bliskim kontakcie?

Piotr Tarnawski: Teoretycy dali się zwieść opinii, iż w związku z rozwojem technologii wojennej walka wręcz powinna zostać odesłana do lamusa. Takie podejście spowodowało jej degradację. Na polu walki żołnierz musi być wojownikiem nawet wówczas, gdy będzie miał jako uzbrojenie joystick służący do kierowania dronem.

Z takim przekonaniem w 2005 roku mjr Piotr Tarnawski i kpt. Włodzimierz Kopeć, wojskowi specjaliści od walki wręcz, a zarazem liderzy Stowarzyszenia Krav Maga Polska, opracowali i przekazali armii program walki w bliskim kontakcie, znany pod skrótem WWBK. Wkrótce dodali w pakiecie system walki i bezpiecznego posługiwania się bronią BLOS (broń – lufa – otoczenie – spust), stworzony przez kpt. Włodzimierza Kopcę i mjr. Jacka Kaczmarzyka, łączący techniki manualne z posługiwaniem się bronią strzelecką. Zamiast przestarzałego, mieliśmy wreszcie w siłach zbrojnych nowoczesny system bojowy. Po dziesięciu latach chciałoby się ojców spytać, jak się miewa ich dziecko.

Piotr Tarnawski: Można powiedzieć, że znakomicie. Kiedyś, jeżdżąc po świecie, szukaliśmy rozwiązań, koncepcji i elementów do systemu, a dziś również świat przyjeżdża do nas po wiedzę i umiejętności. Ukoronowaniem dorobku zapisanego w podręczniku do WWBK, a nadto prezentowanego na stażach i seminariach instruktor-skich, są nasze uprawnienia do nadawania stopni instruktora militarnego Europejskiej Federacji Krav Magi. Coraz częściej gościmy przedstawicieli służb mundurowych z Europy – z Luksemburga, Belgii, Francji, Finlandii, Portugalii i z Włoch – chcących się nauczyć naszych metod, zapoznać z systemem BLOS.

Staliście się przez dziesięciolecie wzorcem dla innych.

Piotr Tarnawski: Prezes Europejskiej Federacji Krav Magi Richard Douieb docenił włożoną przez nas pracę i osiągnięty poziom. Złożyło się na to wszystko, co dotąd robiliśmy. Konsultowaliśmy z mistrzem nasz program, prezentowaliśmy filmy ze szkoleń. Pracowaliśmy przede wszystkim dla naszego wojska, wykorzystując doświadczenia europejskie, i to się teraz spieło.

Bardziej od współpracy z Europą interesuje nas jednak szkolenie żołnierzy własnej armii.

Włodzimierz Kopeć: Przez kilka lat – od 2005 do 2013 roku – w poznańskim Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych przygotowaliśmy dla armii ponad tysiąc instruktorów WWBK. Ten program funkcjonuje teraz w całym szkolnictwie i absolwent Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych czy Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych przychodzi do jednostki przeszkolony w walce w bliskim kontakcie. Tam powinien tylko utrzymywać umiejętności.

W jednostkach rzeczywistość jest taka, że ci, którzy czują potrzebę i mają możliwości, szkolą się z zapalem. Inni jedynie okazjonalnie, bo z walki wręcz nie ma egzaminu. Ponadto, mimo wyszkolenia tysiąca instruktorów WWBK, nadal ich brakuje.

Włodzimierz Kopeć: Mnie się marzyło, żeby ludzie podchodzili do trenowania walki świadomie, a nie na zasadzie – muszę się uczyć, bo przyjeżdża kontrola. Stworzyliśmy program, czyli narzędzie dla wuefisty, szkoleniowca, instruktora nauki walki. A zajęcia z walki wręcz są zapisane w programie szkolenia jednostki. Cały czas brakuje jednak pewnej klamry, takiej kropki nad „i”.

Właśnie o tę kropkę mi chodzi, o kłopoty z podtrzymywaniem szkolenia w jednostkach. Warunkiem skuteczności systemu jest wykształcenie odruchów bezwarunkowych, tak zwana pamięć mięśniowa. To żołnierzowi przeszkolonemu w trakcie kursów pozostanie na lata. Czy szkolenie w walce w bliskim kontakcie jest więc dziś w naszym wojsku postawione na odpowiednim poziomie?



MJR REZ. PIOTR TARNAWSKI

Prezes Stowarzyszenia Krav Maga Polska, współautor programów walki w bliskim kontakcie



KPT. MACIEJ KUPRYJAŃCZYK

Oficer, wykładowca w zakładzie wychowania fizycznego Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu, były mistrz Polski w dżudo, główny inicjator i organizator mistrzostw Wojska Polskiego w walce w bliskim kontakcie

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (2)

Piotr Tarnawski: Chyba brakuje w naszym gronie osoby, która mogłaby odpowiedzieć, na jakim poziomie szkolenie jest prowadzone w całej armii. My tego nie oceniamy, nie mamy na to czasu.

Przed dwoma laty pisaliśmy w „Polsce Zbrojnej”, że BŁOS zdobywa w wojsku popularność, a zajęcia prowadzi... jeden wojskowy instruktor na całą armię, kpt. Włodzimierz Kopeć. Czy nadal jeździ Pan po całej Polsce?

Włodzimierz Kopeć: System nie może być oparty na jednej osobie. Moją porażką, ale raczej nie winą, jest brak jakichkolwiek struktur szkoleniowych w tej dziedzinie. Są na to rozwiązania i próbuję podsuwać przełożonym swoje propozycje.

Rozmawialiśmy przed kilku laty o szkole walki, w której są mistrzowie przygotowujący następców. Do tego potrzeba jednak struktury, systemu, etatów dla ludzi chcących rozwijać walkę w bliskim kontakcie.

Włodzimierz Kopeć: Nadal marzy mi się szkoła, jak w wielu innych armiach, ucząca walki wręcz, walki z użyciem broni, strzelania dynamicznego w konkretnej sytuacji taktycznej, wynikającej z walki w bezpośrednim kontakcie. Doszłaby do tego niezbędna, jak się okazało na misjach, taktyka i technika interwencji wojska, zatrzymywania, przeszukiwania osób i pojazdów przy różnym stopniu zagrożenia, złamanie oporu fizycznego osób, które nie chcą się podporządkować, stanowią zagrożenie, użycie środków przymusu bezpośredniego, łącznie z bronią...

Przejdźmy na chwilę do okresu, gdy przed 20 laty dopiero rozpoczynaliście poszukiwania systemu walki w kontakcie bezpośrednim na miarę nadchodzących czasów. Byliście doświadczonymi szkoleniowcami, uczyliście walki wręcz żołnierzy Żandarmerii Wojskowej i zwiadowców.

Piotr Tarnawski: Mieliśmy do czynienia z żołnierzami o wielkich ambicjach, poszukującymi nowych rozwiązań, ➔

wymuszających na swych wykładowcach aktywność. Uczestniczyłem wówczas w szkoleniach płk. dr. Krzysztofa Kondratowicza, mistrza dżu-dzitsu, będącego zarazem autorem obowiązującego w wojsku programu walki wręcz. Dalekowschodnie sztuki walki rozwijały liczne cechy, w tym duchowość człowieka, ale do osiągnięcia wysokiego poziomu wymagały wielu lat treningu.

Włodzimierz Kopeć: Jednym z autorytetów był dla mnie również płk prof. Roman Kalina, który promował w wojsku mistrzostwa szkolnictwa wojskowego i mistrzostwa wojska w dżudo. Dżudo było znakomitym uzupełnieniem szkolenia, pozwalało na wykształcanie cech motorycznych i woli walki żołnierza, ale nie było narzędziem pracy.

Czym się zakończyły wówczas wasze poszukiwania?

Włodzimierz Kopeć: Dwie dekady temu, obok sztuk i sportów walki, zaczęły się pojawiać bojowe systemy walki. Jeździł się więc na kursy i seminaria, poznawaliśmy mistrzów coraz liczniej goszczących w naszym kraju. Gdy w 1995 roku uczestniczyliśmy w pierwszym w Polsce kursie krav magi, prowadzonym przez Richarda Douieba, dostrześliśmy, że właśnie tego nam potrzeba.

Co zaproponował Douieb?

Włodzimierz Kopeć: Richard Douieb, uczeń twórcy systemu Imiego Lichtenfeldta, był znakomitym sportowcem, ale przede wszystkim komandosem z doświadczeniem wojennym. Przedstawił kompletny i weryfikowany na bieżąco system bojowy.

Wy jednak nie mieliście wówczas doświadczenia bojowego, raczej sportowe.

Włodzimierz Kopeć: Dzięki przygotowaniu sportowemu dokonaliśmy odkrycia, że mistrz ma pragmatyczne spojrzenie na ruch i na techniki. Nie trzeba zatem spędzić wielu lat w klasztorze Shaolin, żeby być skutecznym w walce.

Zaczęliście więc ćwiczyć krav magę, założyliście stowarzyszenie, ale dziecko narodziło się dopiero po dziesięciu latach, kiedy armia otworzyła się na nowe rozwiązania w tej dziedzinie.

Włodzimierz Kopeć: Na bazie krav magi, w zespole z Piotrem Tarnawskim, por. Andrzej Greinerem oraz kpt. Grzegorzem Mikłusiakiem, opracowaliśmy wówczas własną propozycję dla naszego wojska, właśnie walkę w bliskim kontakcie.

I tak WWBK stała się obowiązującym w wojsku programem. Prowadziliście w poznańskim centrum szkolenie instruktorów, ale wkrótce kursy zostały wstrzymane.

Włodzimierz Kopeć: To wynikało ze zmian w ustawodawstwie, w przepisach określających, kto w naszym kraju jakie zajęcia może prowadzić. A do systemu bojowego nie pasowały ani sport masowy, ani rekreacja ruchowa. Już sama terminologia pokazuje, że w jednych butach nam za ciasno,



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

KPT. WŁODZIMIERZ KOPEĆ

Oficer, wykładowca cyklu wychowania fizycznego i sportu w Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu, wiceprezes Stowarzyszenia Krav Maga Polska; za opracowanie i wprowadzenie systemu taktycznego walki w bliskim kontakcie uhonorowany Buzdyganem Polski Zbrojnej w 2010 roku

drugie podczas marszu z nóg spadają. Trzeba więc znaleźć swoją drogę.

Zastanawialiśmy się wówczas, czy przypadkiem walki w kontakcie nie należałoby przenieść z wychowania fizycznego do szkolenia taktycznego. Przecież trening z walki i tak prowadzi zazwyczaj dowódca kompanii czy plutonu.

Piotr Tarnawski: W programach szkolenia są piłka ręczna, siatkowa i nożna, jednoznacznie kojarzące się z wychowaniem fizycznym. Przychodzi jednakże moment, kiedy po zbudowaniu motoryki za pomocą gier zespołowych czy innych dyscyplin sportu, trzeba żołnierza ubrać w mundur, dać mu całe oporządzenie i przygotować do walki. Wyjęcie walki wręcz z wuefu byłoby zatem bardzo dobrym pomysłem.

Dodatkowego zamieszania narobił system BŁOS, który stworzyliście jako naturalne połączenie walki wręcz z uży-

ciem broni palnej. W podręczniku WWBK przekazujecie bardzo ciekawą ideę, którą przytoczę w uproszczeniu. Żołnierze przede wszystkim wykorzystują broń. Gdy jest to niemożliwe, stosują techniki walki wręcz, ale po to, żeby stworzyć sobie dystans do użycia broni.

Włodzimierz Kopeć: Uczymy, że w każdej sytuacji żołnierz przede wszystkim wykorzystuje broń, którą ma w wyposażeniu. Kiedy nie może, używa wszelkich dostępnych technik, żeby móc ponownie wrócić do broni. Buduje dystans przez odepchnięcie, zerwanie uchwytu, duszenia, żeby sięgnąć po broń i zyskać przewagę. Człowiek cały czas walczy bez względu na to, czy z bronią, czy bez.

Piotr Tarnawski: W naszym programie cały czas było działanie z karabinem w ręku. Gdy, modyfikując WWBK i rozwijając BLOS, wprowadziliśmy strzelanie, często nie rozumiano nierozłączności obu elementów. Słyszeliśmy uwagi typu: po co strzelanie w walce w bliskim kontakcie, a na doładek wuefści mieszają się do strzelania?

Mamy zatem bojowy system walki w bliskim kontakcie, ale nadal musimy pracować nad systemem szkolenia, nad dopasowywaniem przepisów do rzeczywistości. Jako dziennikarze możemy jedynie apelować o większą troskę w kształtowaniu żołnierzy wojowników. Z ofertą budującą ducha walki wystąpił kpt. Maciej Kupryjańczyk z Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu, organizując mistrzostwa armii w walce w bliskim kontakcie.

Maciej Kupryjańczyk: Ubiegłoroczny turniej, rozgrywany w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych, i tegoroczne I Mistrzostwa Wojska Polskiego w Walce w Bliskim Kontakcie potwierdziły, że rywalizacja sportowa w przyjętej przez nas wersji jest dziś najlepszym sposobem na popularyzację tej dziedziny, chociaż w formule sportowej nie używamy mundurów, sprzętu i broni.

Włodzimierz Kopeć: To, czym kpt. Maciej Kupryjańczyk się zajmuje, wynika ze wspólnych poszukiwań. Nowa dziedzina w wojsku nie mieści się w systemie bojowym, ale rozwija cechy właściwe wojownikom. Jestem przekonany, że wkrótce stanie się najbardziej popularną dyscypliną sportową w wojsku.

Bo w rzeczywistości oglądaliśmy wojskową formułę Mixed Martial Art, czyli mieszanych stylów walki albo też walki bez ograniczeń. MMA jest dziś niezwykle popularną formą walki, w której zawodnicy idą na całego...

Maciej Kupryjańczyk: Potocznie mówi się, że w MMA nie ma reguł, ale połączenie technik walki z różnych dziedzin nie oznacza dowolności. Zawodników chronią przepisy ograniczające kontuzje, sędziowie są wyczuleni na bezpieczeństwo. U nas dodatkowo wprowadziliśmy bardzo zabudowane kaski ochronne, ochraniacze nóg, grubsze, a więc amortyzujące ciosy, rękawice. Żołnierz nie może wracać po zawodach do jednostki z kontuzją i zostać wykluczony na długi czas ze służby.

Czy te wszystkie zabezpieczenia, jakie są wprowadzane, nie ujmują walce emocji?

Maciej Kupryjańczyk: Emocji nie brakowało. W turniejach uczestniczyli zarówno zawodnicy walczący na galach, jak i przeszkoleni przez instruktorów w jednostkach debiutanci. Byliśmy zaskoczeni tym, że nawet początkujący walczyli na niezłym poziomie.

Czego jeszcze potrzeba, by ta nowa dyscyplina rozwijała się w wojsku prawidłowo?

Włodzimierz Kopeć: Przede wszystkim musi oficjalnie funkcjonować w wojsku. Wówczas będzie można utworzyć normy należności, które pozwolą kupić w jednostkach wojskowych sprzęt służący do jej uprawiania.

Do uprawiania MMA w wojsku?

Włodzimierz Kopeć: Nie nazywałbym tego MMA.

We wrocławskiej szkole oficerskiej jest sekcja walki w bliskim kontakcie, która organizuje mistrzostwa. Gdy się podgląda zawodników walczących w klatce, to ewidentnie widać Mixed Martial Arts. Sami uczestnicy również mówią o MMA. Można jakoś sensownie wytłumaczyć tę różnicę?

Włodzimierz Kopeć: Tak, na najbliższym nam przykładzie walki w bliskim kontakcie i systemu krav maga. Nie zaproponowaliśmy wojsku krav magi, mimo że Piotr Tarnawski jest prezesem, a ja wiceprezesem Stowarzyszenia Krav Maga Polska, stanowiącego filię Europejskiej Federacji Krav Magi. Posiłkujemy się również w naszej pracy elementami zaczerpniętymi z džudo, karate, boks, zapasów, kick boxingu. Nie przyjmujemy jednak żadnego systemu, bo każda organizacja funkcjonująca na rynku rościłaby sobie prawa do prowadzenia interesów w wojsku. A my, jako oficerowie, stoimy przede wszystkim na straży interesów naszej armii.

Czy właśnie dlatego nie chcecie nazywać tego, co robi kpt. Kupryjańczyk, MMA?

Włodzimierz Kopeć: Tak, bo to jest marka zastrzeżona, rozwijająca się prężnie, tworząca bardzo duży biznes. A interesem armii jest stworzenie własnego produktu, służącego podnoszeniu kwalifikacji w systemach bojowych.

Piotr Tarnawski: Turnieje nie są same w sobie celem, lecz środkiem wspomagającym rozwój żołnierzy. Należy sobie również uświadomić, iż sporty walki, sztuki walki oraz systemy bojowe w pewien sposób się przenikają. Sztuki walki w swej pierwotnej formie były bojowymi systemami walki. Również sport wziął się z pola walki, z potrzeby przetrwania, z wojny i polowań. Dziś daje możliwość rywalizacji bez robiania drugiej osobie krzywdy, a jednocześnie podnosi atrakcyjność szkolenia w walce w bliskim kontakcie. Nie należy tego ze sobą mylić, ale też nie należy stawiać między jednym a drugim barier. ■

PIOTR BERNABIUK

Pójść za ciosem

Żeby nauczyć się walki w bliskim kontakcie, nie wystarczy jedno szkolenie. Trzeba się doskonalić systematycznie.

Oficer czy podoficer program walki w bliskim kontakcie (WWBK) poznaje w szkole lub na uczelni. Wypożyczony w tę groźną broń rozpoczyna służbę w jednostce. Gdyby chciał na tym poprzestać, po paru miesiącach objawiłby się wtórny „analfabetyzm”. Podobnie jest z wiedzą instruktora, który od kilku lat nikogo nie szkoli. To jednak, czy żołnierze wykorzystują swoje umiejętności w walce i szkoleniu, zależy od wielu czynników, na przykład od priorytetów dowódcy, ich entuzjazmu i przygotowania odpowiedniej liczby instruktorów.

Sprawa wydaje się w zasadzie prosta. Kompania ma w planie tygodniowym sześć godzin wychowania fizycznego. To jej dowódca ustala, jak będą wykorzystane – czy na atletykę terenową, sporty zespołowe, czy walkę wręcz. Do poprowadzenia zajęć powinien mieć specjalistę. Jeśli, przykładowo, nie ma instruktora WWBK, może skorzystać ze wsparcia żołnierzy, czasem również cywilów, z uprawnieniami w innych dziedzinach, w sportach czy sztukach walki. Nie ma tego szkolenia w oficjalnym, zatwierdzonym systemie bojowym, przygotowującym do walki. Tyle że na przykład dla saperów, łącznościowców czy logistyków być może nie ma to większego znaczenia. Niewielkie jest prawdopodobieństwo, by w ich wypadku doszło do takiej konfrontacji z przeciwnikiem, by wykorzystali WWBK jako narzędzie. Co innego żołnierze wojsk aeromobilnych, zwiadowcy czy z pododdziałów zmechanizowanych...

REALNA WALKA

Jak wygląda takie szkolenie w praktyce? W wojsku nie ma sprawdzianów czy zaliczeń z walki wręcz, nie ma więc rozwiązań systemowych i w każdej jednostce trzeba przyjąć podejście indywidualne. Okazją do przyjrzenia się szkoleniu z walki wręcz w konkretnym miejscu była prezentacja dorobku 9 Warmińskiego Pułku Rozpoznawczego podczas letniego zgrupowania jednostek rozpoznawczych i walki elektronicznej na poligonie w Wędrzynie. Zespół zwiadowców, prowadzony przez st. sierż. Tomasza Godlewskiego, przygotowywał, a następnie zaprezentował przy okazji swojego święta pokaz walki, w którym połączył elementy systemu WWBK z walką z użyciem broni palnej (BLOS) i wplotł w to elementy karate.



Tomasz Godlewski jest w jednostce głównym specjalistą w walce wręcz oraz instruktorem oficjalnego systemu WWBK. Szkolił się w tej dziedzinie pod okiem kpt. Włodzimierza Kopcia i mjr. rez. Piotra Tarnawskiego w Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu. Po zdobyciu uprawnień przez dwa lata prowadził intensywnie zajęcia, po czym wrócił do swych nauczycieli, by poszerzyć umiejętności w systemie bojowym do drugiego poziomu. Dwójka była szybkim przypomnieniem zasad z poprzedniego etapu, następnie rozwinięciem umiejętności z dołączeniem systemu BLOS, uczącego, jak bezpiecznie posługiwać się bronią.

Takie połączenie sierż. Godlewski uważa za konieczność w przygotowaniu instruktorskim. „Walka w bliskim kontakcie okazała się fantastycznym narzędziem, bo zajęcia prowadzi się w realnych warunkach, w umundurowaniu, z bronią”, wyjaśnia. „Mogłem łączyć ją ze strzelaniem, ćwiczyć następnie z żołnierzami zachowanie się w różnych sytuacjach bojowych”.

Sierż. Godlewski nie ograniczył się do WWBK, lecz uzupełniał swą wiedzę i umiejętności, uczestnicząc w stażach pozwalających poznać inne bojowe systemy walki oraz szukając w nich przydatnych w szkoleniu elementów. Systemy bojowe, łącznie z krav magą i wywodzącym się z niej WWBK, w których się specjalizuje, łączy prostota i łatwość nauczania. Równocześnie doświadczony instruktor ostrzega przed pułapką: „Nie można się tego nauczyć raz na zawsze. By wypracować pamięć mięśniową, odruchy zapewniające skuteczność, należy długo i systematycznie ćwiczyć. Konsekwentny trening pozwala stopniować trudność technik, a także pokonywać próg bólu



PIOTR BERNABIUK (2)

ST. SIERŻ. TOMASZ GODLEWSKI PRZYGOTOWAŁ I PRZEPROWADZIŁ NA POLIGONIE W WĘDRZYNIE EFEKTOWNY POKAZ WALKI. WIDZOWIE BYLI POD WRAŻENIEM WIDOWISKA, W KTÓRYM ZOSTAŁY POŁĄCZONE WWBK Z BŁOS ORAZ EFEKTOWNE ELEMENTY KARATE

w taki sposób, aby nie zniechęcić szkolonych”. Tego niestety brakuje. W kompanii dalekiego rozpoznania, gdzie poprzednio służył, szkolenie w walce było oczywistością. Nie brakowało również zapалу, ale przeszkodą w systematycznych ćwiczeniach był natłok obowiązków.

MISTRZOWSKIE WSPARCIE

Dla instruktorów prowadzących zajęcia w systemie bojowym w jednostce wsparciem są amatorzy sztuk i sportów walki. W pułku rozpoznawczym siłą cywilną, ale związaną z wojskiem, jest Jolanta Rosolińska-Mazur, instruktorka kulturalno-oświatowa w wojskowym klubie. Ponadto prowadzi dla dzieci i młodzieży ze środowiska wojskowego zajęcia z karate kyokushin. Tą sztuką walki wspiera coraz aktywniej również żołnierzy, głównie podczas popołudniowych zajęć dla chętnych. W czasie pokazów na poligonie zaprezentowała między innymi wysokie kopnięcia, bardzo trudne do wykonania w umundurowaniu i butach wojskowych.

Reprezentantem sportów walki w pułku jest ppor. Przemysław Roczek. Absolwent Wojskowej Akademii Technicznej, a w jednostce dowódca plutonu zaopatrzenia. Od ósmego roku życia trenuje oyama karate. W uprawianej przez niego formule knock-down jest to sport kontaktowy, a walka ostra i, mimo stosowania ochraniaczy, bolesna. Po kilkuletniej przerwie w karierze zawodniczej, dzięki wsparciu dowódcy wrócił do specjalistycznego treningu i startów, wkrótce od-

niósł kilka znaczących sukcesów, z trzecim miejscem w mistrzostwach kraju włącznie.

Zdobył dzięki temu popularność, a to działa jak magnes, więc zaoferował żołnierzom zajęcia z oyama karate. Pewną przeszkodą w realizacji tego pomysłu były jednak wyjazdy ludzi na kursy, szkolenia, poligony... Jak twierdzi, w wolnych chwilach koledzy nadal ćwiczą, ale trudno o systematyczność.

BRAK FACHOWCÓW

Trudność z konsekwentnym i systematycznym szlifowaniem narzędzia, jakim jest WWBK, nie wynika jedynie z braku czasu. Zapaleńcy wykorzystają bowiem każdą okazję na rozwijanie umiejętności. W trakcie poligonowego zgrupowania wielu żołnierzy po zajęciach biegało, a inni przeprowadzali w lesie trening MMA (Mixed Martial Arts, czyli mieszane sztuki walki). Sierż. Godlewski, który pełni dziś w jednostce funkcję podoficera-wuefisty (kończy też studia wychowania fizycznego), ma swoją teorię na ten temat. W jednostce, mimo sprzyjającego klimatu i wyraźnej potrzeby, na przeszkodzie w rozwijaniu sztuk walki stoi przede wszystkim brak odpowiedniej liczby instruktorów WWBK. W całym pułku jest ich zaledwie kilku, a na dodatek nie wszyscy są aktywni. Entuzjasta swojego fachu może mówić tylko za siebie, więc nie odpowie na pytanie: „Skąd wziąć fachowców?”. Przed kilku laty wyszkolono około tysiąca instruktorów, ale – jak widać – w tej dziedzinie nie można zrobić czegoś raz na zawsze. ■



JACEK SZUSTAKOWSKI

Zwarcie w oktagonie

W kalendarzu wojskowych imprez mistrzowskich na szczycie centralnym pojawiła się nowa dyscyplina – walka w bliskim kontakcie.

ŁUKASZ KRZACZKOWSKI/
STUDIOEMOTIONS.PL

Najbardziej popularnym sportem walki w naszej armii po II wojnie światowej był boks. Organizowano nawet mistrzostwa szkół oficerskich w tej dyscyplinie. W latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia regularnie odbywały się mecze pomiędzy dywizjami czy pułkami. Dowódcy przywiązywali do tej rywalizacji ogromną wagę i starali się ściągać do swoich jednostek czołowych bokserów. Ale i w halach dobrze wyposażonych w bokserski sprzęt objawiło się wiele sportowych talentów. Nie ma się co dziwić otwarciu ludowego Wojska Polskiego na boks, skoro ta dyscyplina – dzięki takim zawodnikom, jak Aleksy Antkiewicz, Leszek Drogosz, Józef Grudzień, Marian Kasprzyk czy Jerzy Kulej – dostarczała kibicom w całym kraju wiele radości.

Kiedy nasi pięściarze obniżyli loty na światowych arenach, z jednostek powoli zaczęły znikać ringi, a mistrzowskie imprezy w sportach walki odbywały się tylko w dżudo. Ta dyscyplina cieszyła się szczególnie zainteresowaniem młodzieży, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych. W wojsku też miała wielu zwolenników i ma ich zresztą do dzisiaj. W tym roku jednak dżudocy już nie wyłonią spośród siebie najlepszych w wojsku. W programie mistrzostw sporty walki na najwyższym wojskowym szczeblu reprezentuje jedynie walka w bliskim kontakcie.

NOWA JAKOŚĆ

„Stworzyliśmy system, nową jakość w wojsku związaną ze sportami walki. To właśnie głównie one kształtują, tak potrzebną żołnierzowi, psychikę wojownika. I dzisiaj z dużą satysfakcją patrzę na osiągnięcia kolegi z Wrocławia, kpt. Macieja Kupryjańczyka, który w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych stworzył pierwszą w Wojsku Polskim sekcję walki w bliskim kontakcie i zorganizował pierwsze zawody, a potem mistrzostwa w tej nowej w armii dyscyplinie”, stwierdził kpt. Włodzimierz Kopeć, laureat Buzdygana z 2010 roku za opracowanie i wprowadzenie do WP systemu walki w bliskim kontakcie.

Podczas pilotażowego turnieju, który odbył się w kwietniu 2014 roku, walczone było tylko w ringu. Zawody rozegrano według zasad zbliżonych do obowiązujących w amatorskich mieszanych stylach walki – MMA (Mixed Martial Arts). „Pomysł był odpowiedzią na zainteresowanie w wojsku rozgrywkami w tej formule”, przypomniał kpt. Kupryjańczyk. „Po zamieszczeniu informacji na stronie internetowej dostaliśmy bardzo wiele telefonów od żołnierzy zainteresowanych udziałem w imprezie. Z przykrością musieliśmy odmawiać, gdyż pierwsze zawody chcieliśmy

zrobić tylko dla uczestników z naszej uczelni oraz gości z Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych”.

Sierż. pchor. Dawid Suski, zwycięzca pilotażowych zawodów w kategorii open, tuż po ich zakończeniu był przekonany, że za rok impreza zostanie rozegrana już jako mistrzostwa. Wspominał też o swoim udziale w wojskowym czempionacie w dżudo i przyznał, że reguły rywalizacji w tej dyscyplinie są dosyć skostniałe. Wychwalał natomiast MMA za to, że jest otwarte na wielu żołnierzy uprawiających różne sporty walki.

Tomasz Drwał, pierwszy Polak, który stoczył walkę pod patronatem największej organizacji MMA na świecie, obserwował finałowe potyczki pilotażowego turnieju i miał nadzieję, że to początek czegoś nowego w naszej armii. „Od dawna myślałem o tym, że wojsko powinno u nas robić takie imprezy. Gdy mieszkałem w Stanach Zjednoczonych, zetknąłem się tam z wewnętrzną wojskową ligą MMA. Uważam, że rywalizacja sportowa w walce wręcz jest jak najbardziej wskazana dla żołnierzy. Mam nadzieję, że te zawody nie były ostatnimi, a w przyszłym roku odbędą się w formule mistrzostw wojska”, mówił wówczas sportowiec. Podkreślał też, że w Stanach Zjednoczonych wielu zawodowych mistrzów MMA wywodzi się z wojska i jest to powód do dumy dla ich dowódców.

Znany sportowiec miał dobre przeczucia. Rok po pilotażowym turnieju udało się zorganizować we Wrocławiu imprezę mistrzowską. Walki eliminacyjne toczyły się na ringu, a finałowe w oktagonie. O medale walczyło aż siedem pań. „Bardzo się cieszę, że kobiety startowały tak licznie, bo zostały obsadzone dwie kategorie wagowe. W zeszłym roku tylko ja się zgłosiłam do zawodów i nie miałam z kim rywalizować”, powiedziała ppor. Beata Grzonkowska, która rok temu była studentką wrocławskiej WSOWL. Kilka miesięcy po skończeniu uczelni zdobyła swój pierwszy medal mistrzostw WP dla reprezentacji sił powietrznych – została wicemistrzynią w dżudo. Przyznała jednak, że bardziej odpowiada jej walka w bliskim kontakcie. „Lepiej czuję się w stojce, chociaż w parterze też potrafię się odnaleźć. Bardzo się cieszę, że rywalizacja w MMA weszła do programu mistrzostw Wojska Polskiego”, dodała złota medalistka wrocławskich mistrzostw. Z rozgrywek w nowej dyscyplinie bardzo zadowolony był też st. szer. Dominik Chmiel, jej kolega z reprezentacji sił powietrznych. „Zainteresowanie sztukami walki w wojsku jest bardzo duże. Pomysł organizacji mistrzostw był jak najbardziej trafiony”, przyznał zawodnik.

Z kolei Sławomir Cypel, prezes Amatorskiej Ligi MMA, który był sędzią ringowym wrocławskich mistrzostw, chwalił organizatorów imprezy. „Niczym nie ustępowała galom cywilnym. Wojsko mile mnie zaskoczyło. Pełna profeska”, ➔



Żołnierze biorący udział w zawodach to twardziele z mocną głową i instynktem walki.

podkreślił. Przyznał też, że trafnie został opracowany regulamin rywalizacji. „Zdecydowano się na wyeliminowanie wszystkich technik, które są najbardziej kontuzjogenne. Ale i tak MMA ma tak szeroki zakres, że to wcale nie wpływało na poziom walk. Jedyna poważniejsza kontuzja, czyli skręcenie łokcia, była spowodowana nieumiejętnością padania przez zawodnika. Obyło się bez ciężkich nokautów. Ten regulamin był naprawdę trafnie dobrany. Było widowisko, piękna sportowa rywalizacja. Poziom sportowy mile mnie zaskoczył”, mówił prezes Cypel.

PIERWSI FINALIŚCI

Na I Mistrzostwach Wojska Polskiego w Walce w Bliskim Kontakcie, które odbyły się w marcu we Wrocławiu, wyłoniono dziesięciu mistrzów. W rywalizacji pań w kategorii 55 kg triumfowała ppor. Beata Grzonkowska z 16 Jarocińskiego Batalionu Remontu Lotnisk. Jej ulubionym sportem walki jest karate kyokushin. Pani podporucznik, zwana przez kolegów „Grzana”, w finale pokonała szer. Anetę Karaś, zwiadowcę dozymetrystę z 2 Batalionu Zmechanizowanego 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej. W kategorii powyżej 55 kg w oktagonie ustawionym w hali WSOWL najlepsza była szer. Marzena Michalik z batalionu dowodzenia 12 Brygady Zmechanizowanej. Była zapaśniczka Wojskowego Klubu Sportowego „Grunwald” w Poznaniu, wicemistrzyni Europy kadetek w zapasach z 2007 roku, w finałowej walce pokonała plut. Joannę Świątkiewicz. Srebrna medalistka na co dzień jest dowódcą zespołu ewakuacji medycznej w dywizjonie przeciwlotniczym 10 Brygady Kawalerii Pancernej w Świętoszowie. Od sześciu lat trenuje boks tajski – jest brązową medalistką mistrzostw Europy amatorskiej federacji boksu tajskiego z 2013 roku. W tym samym roku zdobyła też brąz na mistrzostwach Wojska Polskiego w dżudo.

Mężczyźni rywalizowali we Wrocławiu w ośmiu kategoriach wagowych. W najlżejszej – 60 kg – wygrał szer. Rafał Dawid z 15 Sieradzkiej Brygady Wsparcia Dowodzenia. Młodszy radiotelefonista w drużynie zabezpieczenia również specjalizuje się w boksie tajskim. Stoczył 80 walk amatorskich i pięć zawodowych. Jest dwukrotnym mistrzem Polski i krajów nadbałtyckich. W finale pokonał st. szer. Tomasza Petreckiego, zwiadowcę dozymetrystę z 2 Batalionu Zmechanizowanego 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej.

W kategorii 65 kg spotkało się dwóch zawodników reprezentujących 11 Lubuską Dywizję Kawalerii Pancernej. Szer. Adrian Maliński z 17 Brygady Zmechanizowanej z Międzyrzecza okazał się lepszy od szer. Macieja Zembika

z 10 BKPanc. Z kolei w kategorii 70 kg wygrał szer. Tomasz Zawadzki, zwiadowca celowniczy z plutonu rozpoznawczego 15 BZ. W finale reprezentant MMA Team Elk pokonał kpr. pchor. Filipa Rybczyńskiego z Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. Podchorąży jest trenerem zapasów w sekcji funkcjonującej w dęblińskiej uczelni.

W rywalizacji w kategorii 75 kg złoty medal zdobył st. szer. Patryk Siekiera z 12 Dywizji Zmechanizowanej. Jego rywalem w finale był szer. elew Bartłomiej Sapiecho z Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych we Wrocławiu, którego do mistrzostw przygotowywał st. sierż. Artur Michalkiewicz, mistrz Europy w zapasach w stylu klasycznym w wadze 84 kg z 2006 roku.

St. szer. Dominik Chmiel z 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Łasku triumfował w kategorii 80 kg. Zawodnik, specjalizujący się w brazylijskim dżu-dżitsu, w finale trafił na rywala, który również preferuje ten sport. Był nim sierż. pchor. Tomasz Stefaniak z Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. W wyższej kategorii, 85 kg, w finale walczył kolega Stefaniaka z WAT-u kpr. pchor. Mateusz Iwaniuk, także uprawiający dżu-dżitsu. Drugi z zawodników z warszawskiej uczelni również wywalczył srebro. Przegrał z reprezentantem gospodarzy kpr. pchor. Piotrem Zagdańskim, który od pięciu lat trenuje mieszane sztuki walki. Przed pojedynkiem o złoto w mistrzostwach WP miał on już za sobą dwa starcia zawodowe w MMA.

Mistrzem w kategorii 90 kg został szer. Dawid Kotewicz z 2 Ośrodka Radioelektronicznego w Przasnyszu. Młodszy operator z kompanii rozpoznania radiowego wygrał z sierż. pchor. Nikodemem Ziemeckim z dęblińskiej WSOSP. Z kolei w najcięższej kategorii – powyżej 95 kg – złoty medal wywalczył st. szer. Kamil Minda z 15 BZ. Młodszy radiotelefonista z 1 Batalionu Zmechanizowanego pokonał w finale st. szer. Michała Piwowarskiego, młodsze elektromechanika z Batalionu Logistycznego 12 Brygady Zmechanizowanej.

Sympatycy MMA z radością przyjęli zainteresowanie wojska mieszanymi sztukami walki. Jeden z nich napisał: „Dowódcy w naszym wojsku mają spóźniony refleks! Zorientowali się, że istnieje MMA po kilkunastu latach od jego początków w Polsce! MMA – sposób walki niezmiernie przydatny mundurowym i jednocześnie znakomita forma treningu”. Z kolei jakiś internauta wspominał, że przed kilkoma laty jego kolega, który jest żołnierzem zawodowym, został wezwany przez dowódcę swojej jednostki na dywanik za to, że wziął udział w zawodach MMA. Po mistrzostwach we Wrocławiu już nie było słyhać, by któryś z zawodników był szykanowany za udział w nich. Za to medaliści byli wyróżniani przez dowódców. ■

PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ



25. BIEG
POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO



TRIADA BIEGOWA
ZABIEGAJ O PAMIĘĆ

25.07.2015
WARSZAWA
GODZ. 2100
5, 10 KM



www.aktywnawarszawa.waw.pl

ORGANIZATOR

PARTNER STRATEGICZNY

SPONSOR TECHNICZNY

PARTNER MEDYCZNY

SPONSORZY



Bank Polski



|NA CELOWNIKU|

GENERAŁOWIE NIE MAJĄ MONOPOLU NA WIEDZĘ

Z Mirosławem Różańskim

o systemie dowodzenia armią, usprawnianiu procesu szkolenia i o tym, że warto wsłuchiwać się w głosy podwładnych, rozmawia Bogusław Politowski.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

S

tał Pan na czele dowództwa, które niedawno Pan tworzył. Czy po półtorarocznym funkcjonowaniu trzeba coś w nim poprawić? Krytycy koncepcji Dowództwa Generalnego ciągle wskazują na jakieś mankamenty.

Nie zamierzam wprowadzać rewolucyjnych zmian, a samo dowództwo powstało na drodze naturalnej ewolucji. Będę dążył do tego, by Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych funkcjonowało w taki sposób, w jaki zostało do tego zaprogramowane. Ma skutecznie przygotować siły i środki do działania zgodnie z przeznaczeniem. Tylko tyle i aż tyle.

Czy w tej instytucji w najbliższym czasie może dojść do jakichś ruchów personalnych albo strukturalnych?

Zmienił się ostatnio dowódca generalny. Czy to nie wystarczy?

Czy sprawdził się powstały w wyniku reorganizacji sposób dowodzenia armią? Korekcie jest właśnie poddawany system kierowania wojskami specjalnymi.

Nowy system kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi zakładał strukturę dowództwa z inspektoratami. Od początku 2014 roku minęło 18 miesięcy. W tym czasie z powodzeniem wykonywało ono wiele odpowiedzialnych zadań. Możemy zatem stwierdzić, że system działa. Bieżący rok jest poświęcony na analizę funkcjonowania zmian w organizacji dowodzenia. Chcę zatem poznać szczegółowe analizy, by wyciągnąć stosowne wnioski na przyszłość. Jeżeli chodzi o wojska specjalne, to im mniej o nich mówimy w przestrzeni publicznej, tym dla nich lepiej. Niemniej jednak cieszę się, że powracamy do koncepcji, którą proponowałem jeszcze jako dowódca grupy organizacyjnej Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Niedawno na pytanie, dlaczego w wojskach lądowych ciągle nie ma stanowisk snajperów, odpowiedział Pan, że zabrakło motywacji i determinacji w nadrzędnych sztabach i dowództwach. Taka powolność we wprowadzaniu zmian dotyczy nie tylko precyzyjnego strzelania. Co należy zrobić, aby decyzje dotyczące niezbędnych korekt były podejmowane szybciej?

Należy przede wszystkim zdiagnozować źródło inercji i zastosować środki zapobiegawcze. W większości tego typu wypadków decydującą rolę odgrywa czynnik ludzki.

Słynie Pan z wprowadzania innowacyjnych form szkolenia, odchodzenia od utartych schematów w dowodzeniu. Wielu sztabowców mówi, że to będą dla nich trudne czasy...

Mam pomysł na usprawnienie szkolenia w siłach zbrojnych, co niekoniecznie wszystkim się podoba. Musi być ono traktowane jak wykonywanie zadania bojowego w czasie pokoju. Kiedy żołnierze wychodzą na zajęcia, ćwiczą na poligonie, muszą mieć przeświadczenie, że ich działanie jest przemyślane i ma przynieść konkretny efekt. Nie można się ograniczać do wyjazdu na strzelnicę i oddania kilku strzałów. Tygodniowy plan, w którym znajduje się szkolenie ogniowe, z taktyki, obrony przeciwlotniczej, rozpoznania, przetrwania czy kultury fizycznej, można wykonać podczas jednych zajęć, a całość może mieć charakter pewnego scenariusza działań, według którego żołnierze będą musieli sobie radzić z rozwiązywaniem zadań. Co więcej, można w ten sposób ćwiczyć na przykład współdziałanie różnych rodzajów sił zbrojnych. Codziennie odbywają się rozmaite loty naszych samolotów czy śmigłowców. Nic nie stoi zatem na przeszkodzie, aby niemal każdego dnia przećwiczyć procedury CAS [Close Air Support – bezpośrednie wsparcie lotnicze wojsk] czy ewakuacji rannych z pola walki. To jest zadanie dla dowódców. Mają osiągnąć cel przy doborze właściwych środków. Tego będę od nich wymagał.

A czy zmieni się coś w systemie szkolenia wojsk? Kilka lat temu w jednym z wywiadów powiedział Pan: „Ćwiczenia takie jak »Eufrat« czy »Bagram« uważam za relikty przeszłości. Moim zdaniem, wielkie ćwiczenia zgrywające komponenty wcale nie są potrzebne. Elementy bojowe są dobrze przygotowane do działań przez każdą nację odrębnie. Trzeba tylko je dobrze poznać”.

Ćwiczenia z wojskami przynoszą korzyści samym żołnierzom, jeżeli są prowadzone na poziomie plutonu czy kompanii. Wszystko, co dzieje



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Będę się starał jak najczęściej bywać w jednostkach. Przede wszystkim chcę poznać opinie szeregowych, podoficerów i oficerów młodszych

się ponad tym poziomem, z udziałem „boots on the ground”, to doskonalenie sztabów i dowództw przy mniejszych korzyściach dla pozostałych szkółących. Oczywiście są nam potrzebne i jedno, i drugie. Najważniejsze jednak, z punktu widzenia przygotowania modułu batalionowego, są szkolenia na szczeblu kompanii oraz zgrywania w ramach batalionu.

Żołnierze z 11 Dywizji Kawalerii Pancernej często mówią, że gen. Różański wolał dowodzić w polu niż siedzieć za biurkiem. Czy po kilku latach pracy w instytucjach centralnych MON-u coś się zmieniło?

Cały czas jestem tym samym człowiekiem i dowódcą. Będę się starał jak najczęściej bywać w jednostkach wojskowych i rozmawiać nie tylko z dowódcami. Przede wszystkim chcę poznać opinie szeregowych, podoficerów i oficerów młodszych. Generałowie nie mają monopolu na wiedzę. Poza tym takie rozmowy często są bardzo inspirujące. Tworzenie barier między dowódcami i podwładnymi nie wpływa dobrze na wykonywanie zadań. Konsekwencja i egzekwowanie obowiązków oraz dialog z podwładnymi to klucz do właściwych relacji i budowania autorytetu dowódcy.

Czy doświadczenia, które zdobył Pan, dowodząc Brygadową Grupą Bojową podczas operacji w Iraku, pomogą w kierowaniu ponad 80 tys. żołnierzy?

Każde doświadczenie, które żołnierz zdobywa przez lata służby, jest cenne, jeśli potrafi on wyciągnąć wnioski. Dzięki operacjom poza granicami kraju zmieniliśmy swoje wyposażenie oraz taktykę działania, szczególnie małych zwojnych i autonomicznych pododdziałów bojowych. Teraz jednak trzeba skupić się na dwóch zasadniczych filarach budowania bezpieczeństwa państwa: własnych zdolnościach obronnych oraz zaangażowaniu w umacnianie naszych relacji w ramach NATO. To jednak nie są odrębne kwestie. Ja traktuję je jako naczynia połączone. Z jednej strony – dalsza profesjonalizacja sił zbrojnych, inwestycje w najnowocześniejszy sprzęt i uzbrojenie, a z drugiej – bardzo mocne zaangażowanie we wspólne manewry wojsk NATO w Europie. W ostatnich miesiącach śledzimy zwiększoną ich aktywność w Polsce. Takie ćwiczenia, jak „Noble Jump”, „Saber Strike” czy „Baltops” to tylko przykłady odpowiedzi sojuszu, będące wypełnieniem postanowień szczytu NATO w Newport.

Obycie wojenne pomaga także lepiej rozumieć sytuację na wschodzie Ukrainy. Nie bez powodu wielu ludzi uważa, że wojsko dostało kompetentnego dowódcę na trudne czasy...

Taka opinia cieszy. Poczekajmy jednak z ocenami trzy lata.

Wielu dowódców jednostek, mimo doświadczeń misyjnych, ciągle myli morale z dyscypliną. Są zadowoleni z ludzi w czystych mundurach i głośno trzaskających obcasami, nawet jeśli ci nie do końca sprawdzają się w działaniu. Jak zmienić proporcje między tymi dwoma aspektami?

Wojsko jest organizacją zhierarchizowaną, gdzie zarządzanie opiera się na rozkazach. Nie zwalnia to oczywiście dowódców i podwładnych od myślenia. Ci pierwsi podejmują decyzje. Na tej podstawie sztaby określają zadania, które wykonują jednostki bojowe, zabezpieczenia lub wsparcia. Na każdym poziomie dowodzenia oraz miejscu muszą być osoby zarówno zdyscyplinowane, jak i zmotywowane czy kreatywne. Ja bardzo lubię krnąbrnych inteligentów.

W jednostkach narzeka się na ciągle rosnącą biurokrację. Jako dowódca 17 Brygady Zmechanizowanej rozpoczął Pan małą rewolucję, polegającą na odchodzeniu od



Trzeba skupić się na dwóch filarach budowania bezpieczeństwa państwa: własnych zdolnościach obronnych oraz umacnianiu relacji w ramach NATO

kwitów na rzecz cyfrowego obiegu dokumentów i informacji. Czy teraz będzie Pan kontynuować ten proces na najwyższych szczeblach kierowania wojskami?

Oczywiście, że tak. Kiedyś twierdzono, że wprowadzenie komputerów zmniejszy liczbę wytwarzanych dokumentów. Niestety, czasami mam wrażenie, że jest wręcz przeciwnie. Jestem przekonany, że w tej dziedzinie jest jeszcze sporo do zrobienia.

W polskiej armii podoficerowie – dowódcy najniższych szczebli ciągle nie mają właściwej rangi. Czy nowy dowódca generalny to zmieni?

Zmienić mentalność? Należy konsekwentnie wprowadzić zmiany, które planowaliśmy jeszcze w okresie funkcjonowania grupy organizacyjnej Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Ich pomysłodawcami oraz inicjatorami byli sami podoficerowie. Nie zamierzam robić nic więcej. Oni wiedzą najlepiej, czego potrzebują. My jako dowódcy powinniśmy im umożliwić osiągnięcie tego. Potrzebujemy znających się na rzeczy starszych podoficerów dowództw.

Sporo kontrowersji w wojsku wywołują kontrakty szeregowych. Po kilkunastu latach służby wielu doświadczonych żołnierzy musi odejść do cywila. Czy wojsko stać na takie marnotrawstwo? Bogatsze od naszej armie stwarzają szeregowym formalną możliwość dłuższej służby, tak by odchodzili z niej z już nabytymi prawami do emerytury.

Pamiętajmy, że jako państwo powinniśmy dbać o gromadzenie rezerw mobilizacyjnych, w tym osobowych. Ponadto szeregowi powinni być źródłem rekrutowania podoficerów. Wiele razy, zwłaszcza w mediach społecznościowych, zwracano mi uwagę na tryb i sposób rekrutacji do szkół. Na pewno się tym zajmę jako jedną z pierwszych spraw. Nadal uważam też za aktualne stworzenie warunków do tego, aby umiejętności zdobyte w wojsku stały się zawodem w cywilu.

Dla wojska ostatnie miesiące są bardzo intensywne. Trwa dynamiczna modernizacja sprzętu, na polskich poligonach szkolą się tysiące żołnierzy armii sojuszniczych. Czy w tych kwestiach akceptuje Pan dotychczasowe postanowienia, czy też wprowadzi jakieś korekty?

Ciągłość dowodzenia polega nie na negowaniu całej rzeczywistości, lecz kontynuowaniu głównego nurtu. Moim zadaniem jest przygotowanie naszych jednostek do działania na rzecz ochrony polskich granic i terytorium oraz przyjęcia do wyposażenia nowoczesnego sprzętu. Oba te elementy będą wymagały wysiłku wszystkich osób zaangażowanych w ten proces. Jak już wspomniałem wcześniej, mam swoje pomysły i wizje, o których nie boję się mówić i które będę konsekwentnie wdrażał.

W mediach pojawiły się spekulacje, że jeśli nominacja nie była uzgodniona z prezydentem elektą, to niebawem czeka wojsko kolejna zmiana na stanowisku dowódcy generalnego, bo doświadczenie, wiedza i dobry życiorys wojskowy to za mało w dzisiejszej polityce. Czy uchyli pan rąbka tajemnicy na ten temat?

Nie chcę komentować plotek czy spekulacji. Nie mam takiego zwyczaju. Warto jednak podkreślić, że wielokrotnie zdarzało się, że najwyżsi dowódcy, wyznaczeni przez jednego prezydenta, z powodzeniem współpracowali latami także z innymi zwierzchnikami sił zbrojnych. Moim zadaniem jest przygotować armię do działania i to jest dla mnie celem nadrzędnym. Będę do niego dążył bez względu na koniunkturę polityczną w Polsce. Niech dowódcy i żołnierze robią to, co do nich należy, a polityką niech zajmują się politycy. Wtedy, jestem przekonany, najlepiej przygotujemy nasze wojsko do obrony granic. ■

WIZYTÓWKA

GEN. DYW. MIROSŁAW RÓŻAŃSKI

Jest dowódcą generalnym rodzajów sił zbrojnych. Ostatnio pełnił służbę na stanowisku radcy koordynatora w pionie sekretarza stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej. Stał na czele zespołu do spraw wdrażania nowego systemu zarządzania, kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi, a następnie grupy organizacyjnej Dowództwa Generalnego. Dowodził między innymi 17 Wielkopolską Brygadą Zmechanizowaną oraz 11 Lubuską Dywizją Kawalerii Pancernej. Był dowódcą Brygadowej Grupy Bojowej podczas misji w Iraku. Pełnił obowiązki zastępcy szefa Zarządu Planowania Strategicznego – P5 Sztabu Generalnego Wojska Polskiego oraz obowiązki dyrektora Departamentu Strategii i Planowania Obronnego MON.



TADEUSZ WRÓBEL

Manewry z przesłaniem

Seria ćwiczeń „Allied Shield” to tylko jeden z elementów szerszego planu wzmocnienia militarnej obecności NATO na wschodniej flance.

Niedawno w Polsce przeprowadzono największe od czasu naszego przystąpienia do NATO wielonarodowe ćwiczenia wojskowe. Ale „Allied Shield” to nie jedne manewry, lecz cała seria ćwiczeń, ściśle ze sobą powiązanych, które się odbywały na różnych poligonach i na wodach Bałtyku. Co więcej, nie ograniczały się one do obszaru naszego kraju, lecz objęły także terytorium Rumunii, Litwy, Łowy i Estonii. Takie kompleksowe ćwiczenia, o tak szerokim zasięgu, stanowią potwierdzenie, że strategia, którą przyjęto we wrześniu 2014 roku podczas szczytu NATO w Newport, jest wdrażana w życie zgodnie z tym, co przewiduje plan na rzecz gotowości do działań. Skala tej operacji to też jasny sygnał polityczny dla władz Rosji, że Organizacja Traktatu Północnoatlantyckiego poważnie traktuje sprawy bezpieczeństwa wszystkich swych członków.

Sytuacja na wschodnich rubieżach sojuszu północnoatlantyckiego w związku z coraz agresywniejszymi zachowaniami

Rosji spowodowała, że znowu musi on przykładać większą wagę do działań związanych z artykułem 5 traktatu waszyngtońskiego i tak szkolić swe siły zbrojne, by były przygotowane jak najlepiej do działań obronnych o charakterze połączonym. Dlatego podczas „Allied Shield” jednocześnie szkolili się żołnierze wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Ze względu na niepokojącą sytuację na wschód od granic państw NATO, od 2014 roku w Polsce, Rumunii, na Litwie, Łotwie i w Estonii stale są obecne rotacyjnie wojska sojuszników. Z tego samego powodu NATO zdecydowało się też na inne posunięcia, takie jak stworzenie połączonych sił zadaniowych bardzo wysokiej gotowości (Very High Readiness Joint Task Force – VJTF) i znaczące powiększenie liczebności Sił Odpowiedzi NATO (NATO Response Force – NRF), a także utworzenie komórek dowódco-łącznikowych w państwach wschodniej flanki. „NATO musiało zareagować... i reaguje, wdrażając projekt największego wzmocnienia wspólnych sił sojuszu od →



ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ

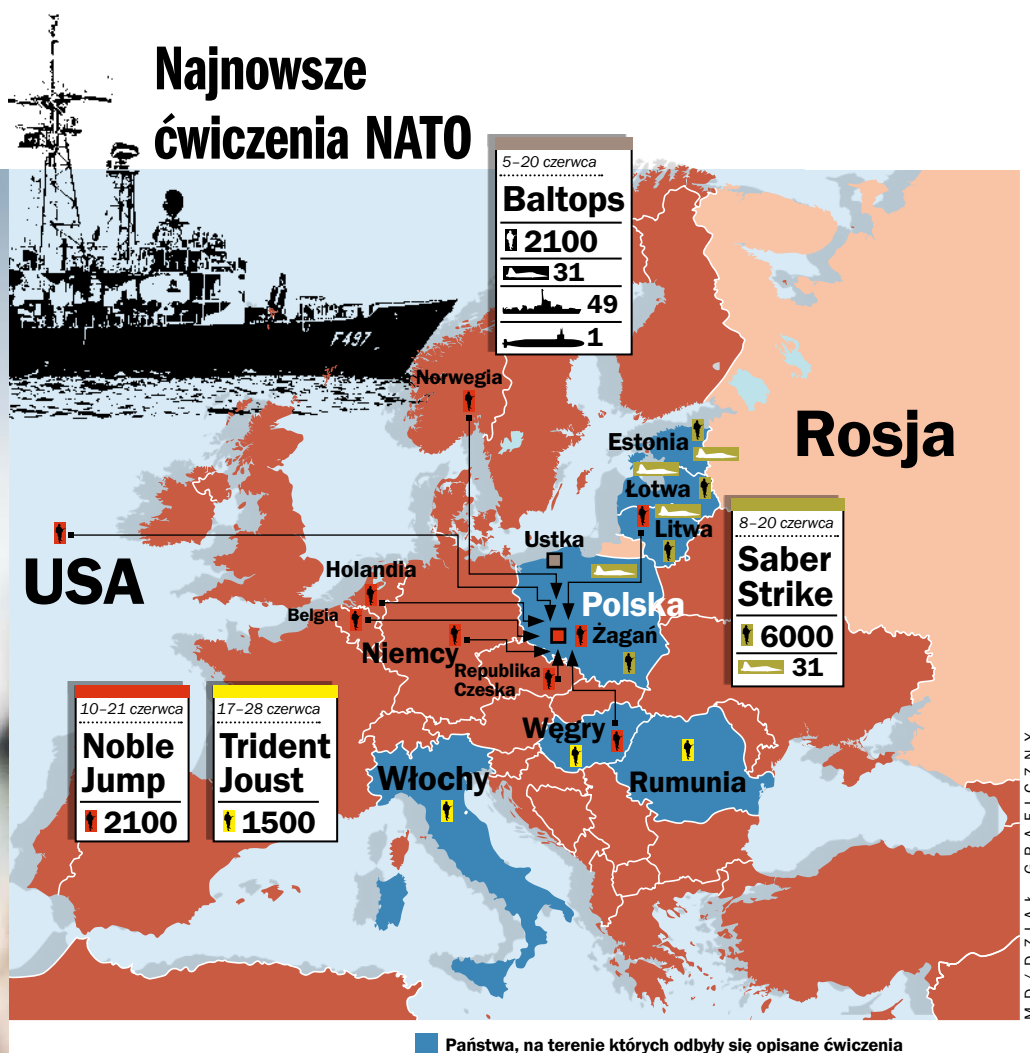
czasów zimnej wojny”, powiedział sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg w czasie wizyty u uczestników ćwiczeń „Noble Jump” na poligonie w Żaganiu.

TRZY W JEDNYM

Doroczne ćwiczenia natowskie na Bałtyku mają długą historię. „Baltops» jest organizowany już po raz 43. Tegoroczne ćwiczenia są jednak jednymi z największych”, podkreślał wiceadm.

James Foggo, dowódca Morskich Sił Uderzeniowych i Wsparcia NATO (Naval Striking and Support Forces NATO – STRIKFORNATO). W morskich manewrach uczestniczyło 17 państw – oprócz członków sojuszu trzy kraje partnerskie: Finlandia, Szwecja i Gruzja. Pojawili się też nieproszeni goście... Już pierwszego dnia uczestników ćwiczeń obserwowały rosyjskie samoloty, a ich śladem podążały trzy okręty Floty Bałtyckiej.

Najnowsze ćwiczenia NATO



PODCZAS
„ALLIED SHIELD”
JEDNOCZEŚNIE
SZKOLILI SIĘ
ŻOŁNIERZE
WSZYSTKICH
RODZAJÓW SIŁ
ZBROJNYCH.

„W tym roku na »Baltopsie« będziemy skoncentrowani na tym, by rozwijać mobilność oraz interoperacyjność, a także, by w stanowczy sposób zademonstrować jednoś i gwarancje bezpieczeństwa wobec naszych partnerów”, zapowiedział na początku ćwiczeń wiceadm. Foggo. Dodał też, że organizatorom manewrów przyświecają intencje pokojowe.

W ramach „Baltopsu” ćwiczone zintegrowaną operację usankcjonowaną przez rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ. Siły międzynarodowe miały za zadanie przywrócić pokój i stabilizację w regionie. Scenariusz manewrów przewidywał

ustanowienie wyłącznej strefy bezpieczeństwa, która była niedostępna dla żeglugi. A potem nastąpiły działania na lądzie. Przeciwczono zatem szerokie spektrum operacji morskich i desantowych. „W tym roku udało się nam rozszerzyć formułę: współpracowaliśmy w dziedzinach, w których od dawna tego nie robiliśmy. Ze względu na liczbę uczestników ćwiczenia były też bardziej złożone niż zwykle”, przyznawał na specjalnej telekonferencji zorganizowanej na pokładzie USS „San Antonio” kadm. Tim Lowe z Royal Navy, zastępca dowódcy STRIKFORNATO. Choć scenariusz „Baltopsu” dotyczył operacji przywrócenia pokoju, to ćwiczone tam elementy działań mogą być przydatne także w trakcie działań wojennych. Manewry były zatem okazją do lepszego zgrania we wspólnych operacjach okrętów różnych marynarek wojennych.

Równoległe z „Baltopsem” na terenie czterech państw – Litwy, Łotwy, Estonii oraz Polski – odbywały się ćwiczenia „Saber Strike”, których organizatorem było Dowództwo Amerykańskich Wojsk Lądowych w Europie (United State Army Europe – USAREUR). Według klasyfikacji Sojuszniczego Dowództwa Operacyjnego (Allied Command Operations – ACO) były to poligonowe ćwiczenia wojsk na szczeblu kompanii i dowódczo-sztabowe szczebla brygadowego. Uczestniczyło w nich ponad 6 tys. żołnierzy z 13 państw NATO. W Polsce, na poligonie w Drawsku Pomorskim, ćwiczyło 2,5 tys. z nich. Scenariusz „Saber Strike” zakładał prowadzenie międzynarodowej operacji lądowej na mocy artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego.



NA 2015 ROK ZAPLANOWANO W SUMIE PONAD **200 WSPÓLNYCH** **ĆWICZEŃ I SZKOLEŃ** NASZYCH ŻOŁNIERZY Z SOJUSZNIKAMI, ZARÓWNO W POLSCE, JAK I ZA GRANICĄ

„Wspólny trening jest doskonałą okazją do wymiany doświadczeń między jednostkami reprezentującymi różne kraje NATO”, podsumował płk Piotr Bieniek, kierownik polskiej części ćwiczeń, na co dzień zastępca dowódcy 15 Brygady Zmechanizowanej. „Ponadto, dzięki zaangażowaniu w »Saber Strike«, nie tylko poznajemy procedury obowiązujące u naszych zagranicznych partnerów, lecz także sprawdzamy możliwości naszych pododdziałów oraz testujemy wyposażenie”.

Niezwykłą wagę miały też ćwiczenia na poligonie w Żaganiu, które były sprawdzianem połączonych sił zadaniowych bardzo wysokiej gotowości, znanych jako szpica NATO. „Noble Jump” było okazją do skontrolowania ich zdolności do szybkiego przemieszczenia się we wskazany rejon działań. „Po raz pierwszy równie ważne jak działania operacyjne i taktyczne są sprawność oraz terminowość dotarcia wojsk sojuszniczych z kilku państw na teren działań”, mówił płk Artur Kępczyński, szef zespołu koordynacyjnego wsparcia przez państwo gospodarza (Host Nations Support). W Żaganiu żołnierze z dziewięciu państw ćwiczyli według scenariusza zakładającego konflikt z udziałem kilku krajów. Zarówno same manewry, jak i rosnące zainteresowanie państw udziałem w VJTF, rozwiało wyrażane w przeszłości obawy, że projekt ten pozostanie tylko na papierze.

W czerwcu 2015 roku w Europie Środkowej odbył się nie tylko cykl ćwiczeń „Allied Shield”, lecz także innego rodzaju manewry, w tym związane z certyfikacją nowej zmiany NRF. W Wałczu na ćwiczeniach „Steadfast Cobalt” szkoliło się około tysiąca łącznościowców z ponad 20 państw. W Drawsku Pomorskim z kolei ponad 1300 żołnierzy wojsk chemicznych. Oprócz Polaków byli tam Słowacy i Węgrzy. Co ciekawe, pierwszy raz w Polsce prowadzono ćwiczenia z użyciem prawdziwych środków bojowych – biologicznych, chemicznych i radioaktywnych (live agents). Na Węgrzech odbyły się w czerwcu ćwiczenia logistyków sił zbrojnych Grupy Wyszehradzkiej.

ROZWIJANIE NOWYCH ZDOLNOŚCI

Manewry „Allied Shield” stanowią tylko jedno z wielu posunięć NATO w reakcji na agresywną politykę Rosji, której najdotkliwszym przejawem jest konflikt we wschodniej

Ukrainie i aneksja Krymu. Jednym z pierwszych było rozmieszczenie wojsk, jeszcze przed szczytem sojuszu w Walii, w tym jednostek lotniczych, w państwach członkowskich leżących na wschodniej flance. Będzie to stała obecność rotacyjna, czyli wojska będą w danym miejscu cały czas, ale zmieniają się jednostki wojskowe. I tak w Łasku na takiej zasadzie wylądowały amerykańskie F-16. Ze względów politycznych, ale też ekonomicznych, nie zdecydowano się na budowę stałych baz. W Polsce jednak wkrótce powstanie pierwsza instalacja – amerykańska baza obrony przeciwrakietowej w Redzikowie.

Od pewnego czasu trwa też wzmacnianie kadrowe struktur dowódczych Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie, co pozwoli podnieść kategorię jego poziomu gotowości. „Miejmy nadzieję, że nigdy nie będzie to potrzebne, ale jeśli doszłoby do konfliktu, to korpus mógłby przejąć misję, dowodząc formacjami, takimi jak połączone siły zadaniowe bardzo wysokiej gotowości, i wchodziłby w szerszy program obrony zbiorowej”, stwierdził przed kilkoma miesiącami podczas wizyty w jego siedzibie naczelny dowódca sił zbrojnych NATO w Europie gen. Philip Breedlove.

W czasie pobytu w Polsce na początku czerwca kanadyjski premier Stephen Harper zapowiedział, że do Szczecina trafią wojskowi z jego kraju. Minister obrony Jason Kenney ujawnił też, że Kanada rozważa włączenie się do szpicy NATO. Już w trakcie ćwiczeń w Żaganiu pojawiła się z kolei informacja, że Wielka Brytania zwiększy swój udział w VJTF, wydzielając jeszcze 500 żołnierzy. Tym samym w tzw. szpicy będzie 3 tys. Brytyjczyków. Sojusz podjął też decyzję o rozbudowie NRF z 13 tys. do 30 tys. żołnierzy. Przedsięwzięcia te są elementami przyjętego w Newport planu działań na rzecz wzmocnienia gotowości (Readiness Action Plan – RAP).

Innym przykładem zwiększającej się obecności wojskowej sojuszu we wschodnich państwach członkowskich są jednostki integracyjne NATO (NATO Force Integration Units – NFIU), których powołanie w styczniu 2015 roku zapowiedział Jens Stoltenberg. W Polsce postanowiono ulokować je w Bydgoszczy. Liczące 40–50 wojskowych NFIU, mają być załączkami dowództw i pełnić funkcje łącznikowe

między strukturami NATO a siłami zbrojnymi państw, w których powstaną. Amerykanie zadeklarowali, że oddelegują oficerów do wszystkich takich jednostek. Początkowo zapowiedziano, że powstaną one nie tylko w Polsce, ale także w Bułgarii, Rumunii, na Litwie, Łotwie i w Estonii. Niebawem zainteresowanie utworzeniem NFIU zasygnalizowały Węgry i Słowacja.

W czerwcu 2015 roku pojawiła się też informacja, że Stany Zjednoczone zamierzają rozmieścić ciężki sprzęt wojskowy w państwach Europy Środkowej. W dzienniku „New York Times” podano, że chodzi o wyposażenie dla brygady w sile od 3 tys. do 5 tys. żołnierzy. Oznacza to około 1200 pojazdów, w tym prawie 250 czołgów M1A2, bojowych wozów piechoty Bradley i samobieżnych haubic. W gazecie przypomniano, że będzie to podobne rozwiązanie, jakie przyjęto w wypadku Kuwejtu po pierwszej wojnie z Irakiem. „Wojskowi amerykańscy kontynuują przegląd najlepszych miejsc na składowanie tych materiałów, konsultując się z naszymi sojusznikami”, zacytowano w dzienniku rzecznika Pentagonu płk. Stevena H. Warrena. Zastrzegł on jednocześnie, że nie podjęto jeszcze żadnej decyzji w tej sprawie. „Rozmowy o zlokalizowaniu w naszym kraju magazynów ze sprzętem amerykańskiego wojska trwają. Decyzja wkrótce zapadnie”, potwierdził informację z „New York Timesa” wicepremier, minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak.

Według tej gazety w każdym z państw nadbałtyckich, na Litwie, Łotwie i w Estonii, ma być składowany sprzęt dla kompanii liczącej 150 żołnierzy, w Bułgarii, Polsce, Rumunii i być może na Węgrzech dla kompanii lub 750-osobowego batalionu. Rozmieszczenie ciężkiego sprzętu w sześciu lub siedmiu krajach Europy Środkowej to nie tylko gest polityczny. Będzie ono miało też wymiar praktyczny. Ułatwi wspólne szkolenia wojsk amerykańskich z ich armiami, gdyż teraz przy okazji każdego manewru trzeba przerzucać ciężkie uzbrojenie do naszego regionu.

Zapowiedź rozmieszczenia amerykańskiego sprzętu wojskowego w Europie Środkowej spotkała się z krytyką ze strony Rosji, która twierdzi, że byłoby to złamanie przez NATO porozumień dwustronnych zawartych przed przyjęciem do sojuszu Polski, Czech i Węgier. Moskwa krytykuje też rotacyjną obecność wojsk sojuszniczych na wschodniej flance oraz tworzenie baz obrony przeciwrakietowej w Polsce i Rumunii. Politycy rosyjscy grożą kontrposunięciami. Z drugiej strony kpią z obaw, że ich kraj mógłby zaatakować któregoś z członków NATO. Sekretarz stanu w MON Czesław Mroczek nie jest zaskoczony reakcją Moskwy na wdrażanie ustaleń ubiegłorocznego szczytu NATO, które uważa za dobrą odpowiedź na zagrożenia w naszej części Europy. „Musimy przyzwyczaić się do sytuacji, w której aktywniejsza działalność NATO w naszym regionie będzie coraz częściej spotykała się z niezadowoleniem Rosji i jakimiś próbami kontrreakcji. Wdrożenie postanowień z Newport jest sposobem realizacji zapewnienia bezpieczeństwa w naszym regionie i dlatego nie przejmowałbym się każdym przejawem rosyjskiego niezadowolenia”, uważa wiceszef MON. ■

WSPÓŁPRACA:

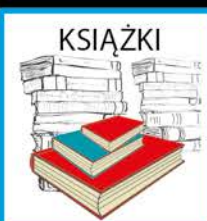
ŁUKASZ ZALESIŃSKI, BOGUSŁAW POLITOWSKI,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK,
KRZYSZTOF WILEWSKI

CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA

im. Marszałka Józefa Piłsudskiego



BIBLIOTEKA
CYFROWA

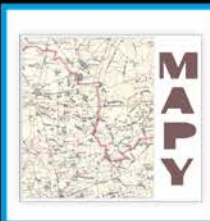


BIBLIOGRAFIE

UDOSTĘPNIANIE



INFORMACJA
NAUKOWA



www.cbw.pl



ZNAK NORMALNOŚCI

Z Robertem Kupieckim

o znaczeniu intensyfikacji ćwiczeń NATO w Polsce, kolektywnej obronie i stałej rotacyjnej obecności wojsk sojuszniczych w naszym kraju rozmawiają Anna Dąbrowska i Tadeusz Wróbel.

Jakie znaczenie ma zwiększenie liczby ćwiczeń NATO odbywających się w Polsce i naszym regionie?

Sojusz obronny przeprowadzający regularne ćwiczenia wojskowe to znak normalności. Było przecież anomalią, że przez kilkanaście ostatnich lat przesunął on regularne organizowanie dużych manewrów na drugi, a nawet trzeci plan swojej działalności.

Co było tego powodem?

Prowadzone w tym czasie operacje w Iraku i Afganistanie. To one stały się teatrem działań i miejscem wykuwania interoperacyjności wojsk NATO. Nie zmienia to faktu, że w tym czasie nie odbywały się systematycznie większe ćwiczenia, podczas których trenowano by scenariusze związane z artykułem 5 traktatu waszyngtońskiego. Wiele osób w Europie uważało, że era zagrożeń agresją zbrojną na naszym kontynencie należy do przeszłości, zatem wysiłek wojskowy i finansowy można przesunąć w inne rejony świata i na inny typ zadań, jak misje stabilizacyjne. Teraz pod wpływem wydarzeń rozgrywających się na wschodzie Europy nastąpiła intensyfikacja ćwiczeń, co jest jednocześnie jasnym sygnałem politycznym. NATO pokazuje, że kolektywna obrona jest fundamentem działań sojuszu.

Czyli tegoroczne ćwiczenia są powrotem do podstawowej roli NATO – przygotowań do działań obronnych?

Nie nazwałbym tego powrotem. Misja kolektywnej obrony to bowiem istota NATO. Prawda, że w ostatnich latach przytłumiona innymi zadaniami i może nadmiarem optymizmu co do trwałości zasad dotyczących ładu w Europie. Ot choćby takich, jak nienaruszalność granic państwowych czy zakaz używania siły do rozwiązywania problemów. Obecne zwiększanie liczby ćwiczeń jest odpowiedzią na nowe potrzeby NATO. Po pierwsze, ćwicząc, wysyłamy sygnał, że jako sojusznicy jesteśmy razem i gwarantujemy sobie nawzajem bezpieczeństwo. Po drugie, rozwijamy wspólne zdolności wojskowe. Po trzecie, utrwalamy interoperacyjność naszych wojsk i sztabów wypracowaną w toku działań sojuszniczych ostatnich lat.

Z ćwiczeniami wiąże się stała rotacyjna obecność wojsk sojuszniczych w naszym kraju. Jakie znaczenie ma ona dla Polski i Europy Środkowej?

Jest elementem aktywności sojuszniczej na wschodniej flance. Od 1999 roku, czyli otwarcia się NATO na nowych członków ze wschodu, ta obecność była zaniedbywana. Odzwierciedlało to czasy optymizmu lat dziewięćdziesiątych,

kiedy sądzono w sojuszu, że już nic mu nie grozi. Wtedy między innymi obniżano budżety obronne. Wydarzenia kilku ostatnich lat – od czasu wojny rosyjsko-gruzińskiej w 2008 roku – brutalnie jednak rozwiały te złudzenia. Dziś rosnąca stała rotacyjna obecność jest racjonalną finansowo formą zapewnienia sojusznikom gwarancji bezpieczeństwa.

Obecność rotacyjna nie równa się jednak stałym dużym bazom wojskowym...

W razie takiej potrzeby można ją szybko rozbudować do niezbędnego poziomu. Rotacyjna obecność to zresztą tylko jeden z elementów procesu wojskowej adaptacji NATO. Pozostałe to wzmacnianie struktur dowodzenia, w tym roli Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie. Ma on być przygotowany do dowodzenia operacjami sojuszniczymi o dużej skali, a także szpicą NATO, kiedy pojawiłaby się w naszym regionie. Kolejnym elementem tego procesu są jednostki integracyjne, czyli załączki struktur dowodzenia [NATO Force Integration Units – NFIU] powstające w sześciu–ośmiu państwach wschodniej flanki. Stałe składy sprzętu wojskowego, wzmocnienie planowania obronnego i kryzysowego oraz wiele innych przedsięwzięć. Nie wykluczałbym też, w perspektywie kilku lat, wzmocnienia stałej obecności wojskowej NATO wzdłuż wschodniej granicy, choć prawdopodobnie nie będzie powrotu do dużych baz wojskowych z czasów zimnej wojny. W tle oczywiście są rozważania polityczne i budżetowe naszych sojuszników.

Istotna jest także współpraca z USA.

Owszem. Dlatego zwiększa się obecność amerykańska w natowskich strukturach dowodzenia na polskim terytorium. Amerykanie między innymi wysłał do dowództwa szczecińskiego korpusu kilkunastu oficerów, w tym generała brygady. Swoich oficerów delegują też do polskiego

NFIU. W Polsce powstaną składy ciężkiego sprzętu wojskowego. Ponadto na naszym terytorium ciągle są obecne rotacyjnie amerykańskie siły powietrzne w ramach Aviation Detachment. Niemal bez przerwy w naszym kraju ćwiczą też oddziały amerykańskie. W przyszłym roku rozpocznie się budowa bazy obrony przeciwrakietowej w Redzikowie. Spodziewamy się ożywienia współpracy wojskowej i przemysłowej w związku z realizacją programu „Wisła”, opartego na amerykańskim zestawie przeciwnocnym i przeciwrakietowym Patriot.

Stale bazy budzą nadal w wielu krajach NATO większe kontrowersje niż rotacyjna obecność. Rosyjska propaganda działa...

Rosja od miesięcy prowadzi coś na kształt wojny informacyjnej z Zachodem. Niezależnie od tego, co uczynią poszczególne państwa czy NATO jako całość, rosyjska propaganda przedstawi to tak, jak zażyczą sobie czynniki decyzyjne w Moskwie. Dlatego nie przejmowałbym się publicznymi wojskowymi czy politycznymi ocenami Rosji dotyczącymi działań NATO. Sojusz ma robić swoje.

Rosjanie odbierają rotacyjną obecność wojsk amerykańskich jako krok do stworzenia stałych baz, co według nich będzie złamaniem aktu stowiącego NATO–Rosja z 1997 roku.

Warto przypomnieć, że jest to deklaracja o charakterze politycznym, a nie akt prawa międzynarodowego. Zawiera wzajemne zobowiązania i jego zapisów nie można traktować inaczej niż wyraz intencji poczyniony w określonej sytuacji międzynarodowej. Ponadto zobowiązania podjęte przez Rosję zostały przez nią pogwałcone. Dzisiejsza Rosja jest agresywna, wspiera wojskowo rebeliantów na wschodzie Ukrainy, podejmuje setki prowokacyjnych działań na morzu i w powietrzu blisko granic NATO, narusza zasady prawa międzynarodowego, łamie swoje zobowiązania wobec sojuszu. W takich warunkach trudno oczekiwać, że zrezygnuje on ze wzmacniania wschodniej granicy, co ograniczałoby możliwości kolektywnej obrony lub zmniejszało poczucie bezpieczeństwa części sojuszników. Argumentacja, że byłaby to słuszna polityka, jest absurdalna.

NATO zachęciło do takiego myślenia, ponieważ nie reagowało na wcześniejsze łamanie przez Rosję zobowiązań międzynarodowych. Przykładem jest szybki powrót do normalności w stosunkach NATO–Rosja po jej agresji na Gruzję.

Szybkie przywracanie zawieszonych stosunków z Rosją było tradycją w sojuszu północnoatlantyckim. Przed konfliktem gruzińsko-rosyjskim krótkotrwale zawieszenie prac Rady NATO–Rosja miało miejsce w związku z interwencją sojuszu w Kosowie. Reakcja NATO na konflikt rosyjsko-ukraiński jest ostrzejsza i nie będzie szybkiego powrotu do normalnych relacji z Moskwą, czyli takich jak sprzed tego konfliktu.

Eksperci zajmujący się Rosją uważają, że tamtejsi politycy inaczej interpretują niektóre gesty niż zachodni. Traktują dążenie do ugody jako przejaw słabości.

Niewątpliwie mamy do czynienia ze zderzeniem dwóch kultur politycznych. W relacjach z Zachodem Rosja reprezentuje taki sposób myślenia – jeśli otrzymujesz wszystko, a druga strona nie oczekuje niczego w zamian, to nie masz dla niej szacunku. ■

WIZYTÓWKA

ROBERT KUPIECKI

Jest podsekretarzem stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej. Wiele lat pracował w dyplomacji, był między innymi zastępcą ambasadora w Stałym Przedstawicielstwie RP przy NATO i UE w Brukseli oraz polskim ambasadorem w USA. Uczestniczył w procesie akcesji Polski do NATO i negocjacjach dotyczących umieszczenia amerykańskiej instalacji tarczy antyrakietowej w Polsce. Specjalizuje się w problematyce bezpieczeństwa międzynarodowego i obronności.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Ostrzenie szpicy

Pole bitwy wygląda jak wielka scena. Jednocześnie trwa kilka wojennych epizodów. Żołnierze niczym aktorzy chcą wypaść jak najlepiej. Nagrodą nie będą owacje. Gra toczy się przecież o życie. Na szczęście tylko ćwiczebnie.

Krótko po wschodzie słońca byli już na nogach. Spali w wozie. Pół siedząc, pół leżąc próbowali wypocząć przed ważnym zadaniem. Kierowca-mechanik miał najlepiej, najwięcej miejsca, najwygodniej. Za to zaraz po toalecie i szybkim śniadaniu to przede wszystkim on miał mnóstwo pracy. Oględziny wozu, sprawdzenie poziomu oleju, płynów, paliwa, układu jezdnego... „Byłoby głupio gdyby w tak ważnym dniu, w czasie kontrataku, czołg dowódcy batalionu nagle odmówił posłuszeństwa. To niemożliwe”, st. szer. Marcin Zając, działonowy, jakby odganiał złe myśli.

Załoga czołgu Leopard 2A4 ma świadomość, że jest malutkim trybikiem wielkiej maszyny, która za kilka godzin ruszy do ważnego militarnego przedsięwzięcia. Przynależność do wielonarodowej szpicy NATO traktuje jako potwierdzenie wartości swojego batalionu. Siły, która w razie agresji pierwsza zostanie użyta do obrony granic.

KWESTIA ZAUFANIA

Ppłk Paweł Michalski prowadzi pierwszą w tym dniu odprawę ze swoim sztabem i dowódcami kompanii. Później rozkazy będą płynęły już tylko przez radio. Jednym ze stojących przy mapie w centrum dowodzenia jest kpt. Marcin Markowski. To jemu i jego ludziom przypadło do wykonania najważniejsze zadanie. Gdy niemiecka kompania zmechanizowana na lewej flance i norweska na prawej zatrzymają nacierającego przeciwnika i umocnią się w obronie, on z odwodu, na czele swojego stada leopardów, przeprowadzi kontratak.

Aby nie było zbyt łatwo, pokonując kilkukilometrowy dystans natarcia, będą musieli przejechać przez wąskie przejścia w polu minowym, które

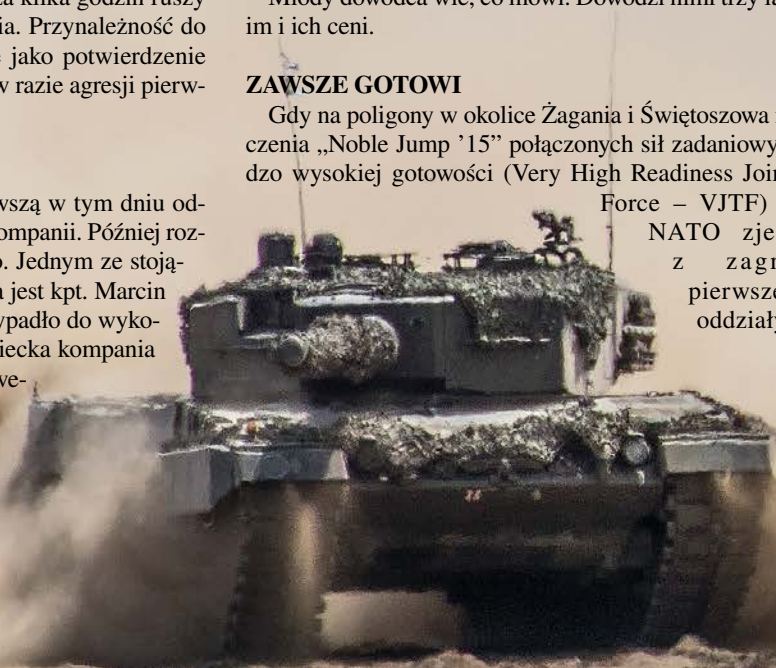
powstaną po wybuchu ładunków wydłużonych, wystrzelonych przez saperów. Później na drodze stanie głęboki rów przeciwczołgowy. Załogi pokonają go po mostach towarzyszących ustawionych przez Norwegów. Podczas kontrataku muszą uważać na wszystko. Na przedpolu, jak w prawdziwym boju, będą się ukazywały czołgi, transportery i dobrze uzbrojeni żołnierze przeciwnika. Cele muszą niszczyć skutecznie ogniem ze 120-milimetrowych armat i pokładowych karabinów maszynowych MG.

„Mam dobrych dowódców plutonów, mam doskonale załogi. Lata treningów i ćwiczeń dały nam pewność w działaniu”, zapewnia kpt. Markowski.

Młody dowódca wie, co mówi. Dowodzi nimi trzy lata. Ufa im i ich ceni.

ZAWSZE GOTOWI

Gdy na poligony w okolicy Żagania i Świątoszowa na ćwiczenia „Noble Jump '15” połączonych sił zadaniowych bardzo wysokiej gotowości (Very High Readiness Joint Task Force – VJTF) szpicy NATO zjeżdżały z zagranicy pierwsze pododdziały, pan-



cerniacy ppłk. Michalskiego z 1 Batalionu Czołgów 10 Brygady mieli czas na ostatnie przygotowania. Roboty nie było zbyt dużo. „Od dawna wchodzimy z jednych ćwiczeń w drugie. Jesteśmy tak wytrenowani, że pytamy tylko, jaka jest nazwa kolejnych manewrów, gdzie mamy jechać, abyśmy mogli pobrać odpowiednie mapy, i jakie zadanie mamy wykonać”, mówi półżartem doświadczony dowódca.

Oprócz 130 pancerniaków ppłk. Michalskiego – trzonu 400-osobowych sił polskich biorących udział w militarnym przedsięwzięciu, w pole wyjechał także 30-osobowy pluton z Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej z Mińska Mazowieckiego i pluton ogniowy artylerii z 10 Brygady.

Do prowadzonych operacji militarnych zostali także włączeni polscy lotnicy. W ćwiczeniach wzięły udział dwa myśliwce F-16 z 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego z Poznania, dwa śmigłowce transportowe Mi-17 z 7 Eskadry Działalności Specjalnych z Powidza, dwa śmigłowce szturmowe Mi-24 z 1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych z Inowrocławia oraz para tych maszyn z Pruszcza Gdańskiego.

Na terenie poligonu znalazł się także zespół zadaniowy z Jednostki Wojskowej Komandosów z Lublińca oraz grupa operacyjna z Centrum Operacji Specjalnych. Udział specjalistów nie był przypadkowy. „W tej chwili w NATO dowodzimy siłami reagowania specjalnego, dlatego znaleźliśmy się w szpicy. W jej skład wchodzi pododdziały wojsk specjalnych z 15 państw. W razie kryzysu naszym obowiązkiem jest planowanie i przygotowanie operacji specjalnych, dowodzenie nimi i udział w nich”, mówi gen. dyw. Piotr Patalong, inspektor wojsk specjalnych.

Komandosi z Lublińca otrzymali zadanie szczególne. Przed głównym uderzeniem wojsk, z rąk dywersantów musieli uwolnić zakładników. W opanowaniu obiektu i przeprowadzeniu szybkiej akcji z udziałem śmigłowców pomagali im komandosi z Litwy i Holandii. Wynik nie był zaskoczeniem. Ludzie z tak dużym doświadczeniem z wojen w Iraku i Afganistanie nie mogli inaczej niż dobrze wykonać zadania.

Akcją specjalną innego rodzaju była operacja zniszczenia stanowiska dowodzenia agresorów tuż przed rozpoczęciem głównego natarcia. Do tego zadania zostały wyznaczone pododdziały aeromobilne z Czech i Holandii. Nasi południowi sąsiedzi szturmowali stanowisko dowodzenia przeciwnika,

wykorzystując swoje lekkie, aczkolwiek dobrze uzbrojone, wozy terenowe. Holendrzy zaś na miejsce szturm desantowali się, korzystając z amerykańskich śmigłowców Black Hawk UH-60. I ten epizod został zakończony sukcesem. Szturmani zadziałali szybko i sprawnie.

Kompanie zmechanizowane z Niemiec i Norwegii do zatrzymania wojsk agresora wyszły z lasu. Niedaleko, w ukryciu, jako odwód czekała kompania kpt. Markowskiego. Kpr. Kamil Woch jeszcze raz zrobił oględziny swojego wozu. Bardzo ważnego, bo wozu dowodzenia. W czasie kontrataku pojadą w nim oficerowie sztabu batalionu. W trakcie będą pracować na mapach, przez radio odbierać meldunki z pola walki, wydawać polecenia.

„Nie jest łatwo, bo już kilka dni i nocy jesteśmy w polu. Pogoda jest zmienna i nie pomaga. Ćwiczenia są istotne, ale traktujemy je jak wiele innych. To, że będą nas obserwować bardzo ważni przełożeni, nie robi na nas specjalnego wrażenia. Każdy ma zrobić co do niego należy i tyle”, mówi kapral.

Gdy kilkadziesiąt minut później ruszył kontratak ze „Wzgórza Prezydenckiego” świętoszowskiego poligonu, obserwowały go dziesiątki ważnych osób. Był wśród nich sekretarz generalnym NATO Jens Stoltenberg oraz polski minister obrony Tomasz Siemoniak.

Militarny pojedynek zakończył się zgodnie z oczekiwaniami. Kompanie agresora zostały rozbite i zmuszone do wycofania poza granice kraju.

DZIEKUJEMY – ZAPRASZAMY

Gdy po udanej walce na poligonie trwały spotkania, konferencje prasowe i pokaz sprzętu, którym dysponuje szpica, w kancelariach i salach odpraw logistyków podjęto już przygotowania do bezpiecznego wyjazdu wojsk z naszego kraju. Jak zapewnia płk Artur Kępczyński, szef zespołu koordynacyjnego HNS (Host Nation Support) – zespołu do spraw roli Polski jako państwa gospodarza – zabezpieczenie wyjazdów nie jest odbiciem lustrzanym ich przyjmowania. Ładowanie sprzętu do drogi, jego odpowiednie zabezpieczanie zawsze jest trudniejsze niż wyładunek. Trzeba dobrze zaplanować wszystkie transporty i konwoje. Mimo natłoku zadań cel jest jeden: w ciągu zaledwie kilku dni po szkoleniu wszystkie wojska sojusznicze mają w sposób płynny i skoordynowany opuścić terytorium Polski.

Żegnając żołnierzy z Niemiec, Belgii, Czech, Holandii, Norwegii, Litwy, Węgier i USA, którzy razem z naszym wojskiem udowodnili, że są gotowi bronić wschodniej flanki NATO, a tym samym naszego kraju, mówimy – dziękujemy, z zastrzeżeniem, że gdyby coś, to – zapraszamy. ■

RAFAŁ MNIEDŁO / 11 LDKPANG



KRZYSZTOF WILEWSKI

Wielonarodowa kanonada

Podczas ćwiczeń „Saber Strike 2015” dowódcy plutonów i kompanii z 30 państw uczą się, jak w operacji międzynarodowej najsukuteczniej wykorzystywać środki wsparcia ogniowego.

Dowództwo amerykańskich wojsk lądowych w Europie (United States Army Europe – USAREUR) od 2010 roku organizuje ćwiczenia „Saber Strike”. Jak wyjaśnia kapitan Spencer Garrison z zespołu prasowego USAREUR, najważniejszym celem tego szkolenia jest zgrywanie pododdziałów z różnych państw NATO, z położeniem nacisku na poprawę interoperacyjności wojsk krajów leżących w rejonie Morza Bałtyckiego.

Do tej pory te ćwiczenia odbywały się wyłącznie na terenie byłych republik nadbałtyckich: Litwy, Łotwy i Estonii, ale w tym roku Amerykanie zaproponowali, aby do grona gospodarzy dołączyła Polska. Początkowo planowano, aby w naszym kraju przeprowadzono nie tylko szkolenie z wojskami, lecz także ćwiczenia dowódczo-sztabowe. Jak wyjaśnia płk Piotr Bieniek, zastępca dowódcy 15 Brygady Zmechanizowanej, który został wyznaczony na kierownika polskiej części „Saber Strike”, nie zgodziliśmy się jednak na taki wariant. „Mielibyśmy zbyt mało czasu, aby się do niego właściwie przygotować. Zdecydowano zatem, że organizujemy na swoim terenie wyłącznie ćwiczenia z wojskami”.

INTEROPERACYJNOŚĆ W POLU

Tło taktyczne ćwiczeń „Saber Strike 2015” było identyczne, jak w innych szkoleniach operacji „Allied Shield” (Sojusznicza tarcza). Wojska NATO, na mocy artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego, wobec ataku na jedno z państw członkowskich rozpoczęły lądowo-powietrzną operację obronną na Litwie, Łotwie i w Polsce. Estonia uczestniczyła w ćwiczeniach w ograniczonym stopniu – z jej lotniska operowało jedynie lotnictwo.



DO ĆWICZEŃ W POLSCE ZGŁOSIŁY SIĘ, OPRÓCZ STANÓW ZJEDNOCZONYCH, NIEMCY, DANIA I FRANCJA.

Najliczniejszy, bo składający się z około 700 żołnierzy, kontyngent zadeklarowali nasi zachodni sąsiedzi. Oprócz dwóch kompanii piechoty zmotoryzowanej, dysponujących kołowymi transporterami opancerzonymi Fush i Boxer oraz plutonem transporterów opancerzonych Marder (oba pododdziały z 291 Batalionu Piechoty), Bundeswehra wystawiła grupę wsparcia ogniowego, w której rolę wcieliła się bateria niemieckich armatohaubic PzH 2000 kalibru 155 mm uzupełniona o moduł ogniowy wieloprowadnicowych wyrzutni raketowych Mars 1 z 295 Batalionu Artylerii. Dowódcą komponentu niemieckiego został ppłk Ralf Hammerstein. Drugi pod względem liczebności kontyngent, nieco ponad 650 żołnierzy, zgłosili Amerykanie. Oprócz wzmocnionej plutonem moździerzy M-120 kalibru 120 mm kompanii czołgów Abrams M1 z 3 Brygady Pancernej USA wystawili kompanię z 173 Brygady Powietrznodesantowej oraz silny komponent lotniczy. W szkoleniu użyto samolotów F-16, A-10 i C-17 oraz śmigłowców wojsk lądowych: transportowych UH-60 Black Hawk i bojowych AH-64 Apache. Amerykanami dowodził kpt. Walter Biner. Polski kontyngent na ćwiczeniach „Saber Strike 2015” tworzył, oprócz dwóch par samolotów F-16, mocno okrojony 2 Batalion z 15 Brygady Zmechanizowanej, składający się z kompanii BWP-1 oraz plutonów: czołgów T-72, rozpoznawczego, przeciwpancernych pocisków kierowanych Spike, saperów oraz pododdziału obrony przeciwlotniczej. Razem nieco ponad 500 żołnierzy. Udział naszej armii był jednak znacznie większy. Trzeba bowiem pamiętać jeszcze o setkach logistyków zaangażowanych w ćwiczenia, ponieważ to my byliśmy państwem gospodarzem. Polakami dowodził płk Piotr Bieniek. Najmniejszy kontyngent, bo liczący niecałe 300 żołnierzy, wystawili Duńczycy. Skierowali oni do ćwiczeń kompanię czołgów Leopard 2A5 oraz bezzałogowe statki powietrzne. Duńczykami dowodził ppłk Peter Nilsen. Francuzi wycofali się z ćwiczeń.

Na poligonie drawskim żołnierze z czterech nacji mieli najpierw zatrzymać nacierającego przeciwnika, a później przejść do kontrataku. Ćwiczenia, także część odbywająca się na terytorium naszego kraju, zostały podzielone na dwa tygodniowe etapy. Najpierw poszczególne komponenty narodowe trenowały samodzielnie, a potem zgrywały się ze swoimi odpowiednikami z innych państw. Artylerzyści z Niemiec z Amerykanami, czołgiści z Polski i Danii razem z pancerniakami z USA, BWP-1 z naszej 15 Brygady z niemieckimi fushami i boxerami. Jak podkreślał płk Piotr Bieniek, zgrywanie odbywało się od najniższego do najwyższego szczebla i było szczególnie istotne w wypadku artylerii.

Na potrzeby ćwiczeń zostało utworzone centrum koordynacji przestrzeni powietrznej. „Dowodził nim kapitan marines, który miał do swojej dyspozycji przedstawicieli sił powietrznych, sił lądowych, artylerii niemieckiej, artylerii amerykańskiej, polskich koordynatorów naszej przestrzeni powietrznej – JTAC-ów – oraz koordynatorów niemieckich i duńskich, którzy operowali bezzałogowcami”, opowiada płk Bieniek. „Wszystko w jednej komórce i zarządzane przez jednego człowieka, który dysponował przestrzenią w kwestii użycia nie tylko statków powietrznych, lecz także artylerii.

SILA OGNI

Drugi tydzień ćwiczeń to było właściwie jedno wielkie strzelanie. Najpierw odbywało się w ramach pojedynczych kompanii, a na koniec przeprowadzono wielki test ognia wielonarodowego batalionu, który utworzyły wszystkie komponenty

narodowe. Wtedy jako pierwsze do akcji wkroczyło lotnictwo. Najpierw nieprzyjacielskie pozycje zaatakowały polskie i amerykańskie jastrzębie – samoloty F-16, wsparte „zabójcami czołgów”, czyli maszynami A-10. Później do boju ruszyły śmigłowce wojsk lądowych armii Stanów Zjednoczonych – szturmowe AH-64 Apache. Jak podkreślał płk Bieniek, samoloty, których użyto w „Saber Strike”, uczestniczyły również w manewrach „Baltops”. „Choć nie ma pomiędzy tymi ćwiczeniami żadnego związku operacyjnego, to dla oszczędności używane są te same środki wsparcia lotniczego, czyli samoloty polskie i amerykańskie”, wyjaśniał płk Bieniek.

Następnie zagrzmiały działa. Jak wyjaśniał por. Maximilian Beenisch z zespołu prasowego niemieckiego batalionu artylerii, haubice PzH 2000 razem z wyrzutniami raketowymi Mars 2 oraz amerykańskimi moździerzami zatrzymały przeciwnika i przygotowały pole do działania dla pododdziałów pancernych i zmechanizowanych. Wtedy pierwsze skrzypce zagrały amerykańskie abramsy i duńskie czołgi Leopard 2A5. Nasze T-72 odgrywały jedynie rolę wsparcia dla pododdziałów zmechanizowanych 15 BZ, czyli BWP-1 oraz transporterów niemieckiej piechoty zmotoryzowanej.

Jak podkreślał jednak kpt. Spencer Garrison, w „Saber Strike” najważniejsze były nie flagi na mundurach, nie lepsze czy gorsze zadania, lecz efekt wspólnej operacji. „Niemiecka i amerykańska artyleria, polskie i amerykańskie lotnictwo, siły lądowe z trzech krajów. To była klasyczna operacja połączona, podczas której zostały wykorzystane siły i możliwości wielonarodowych oddziałów NATO”, podkreślał amerykański oficer. ■

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

TRZY ŻYWIÓŁY

Na kilka godzin zawładnęli wodą,
powietrzem i lądem. Prawie 700 żołnierzy
ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii,
Szwecji i Finlandii wylądowało
na poligonie w Ustce.

TOMASZ MIELCZAREK / 7BOW



Desant morski to jedna z najbardziej skomplikowanych operacji, jakie można sobie wyobrazić. Aby się powiodła, każdy z elementów musi być idealnie dograny w czasie”, podkreśla kadm. Roy Kitchener z Dowództwa Morskich Sił Uderzeniowych i Wsparcia NATO (STRIKFORNATO), które organizuje manewry „Baltops 2015”.

Wraz z grupą dziennikarzy stoimy na jednej z wydmy przy plaży w Ustce i czekamy na lądowanie sił sojuszniczych. Za naszymi plecami – zamaskowani żołnierze, którzy będą bronić Wybrzeża. Na horyzoncie majaczą sylwetki okrętów. Na tle gigantów, amerykańskiej jednostki desantowej USS „San Antonio” i brytyjskiego śmigłowcowca HMS „Ocean”, coraz wyraźniej odcina się ORP „Lublin”. Polski okręt transportowo-minowy właśnie skierował się ku brzegowi. Jednocześnie z pokładu HMS „Ocean” poderwały się śmigłowce Chinook, Apache i Lynx.

Tak zaczyna się kluczowy epizod ćwiczeń. Największych, jakie od lat NATO prowadzi na Bałtyku.

MORSKA JAZDA NA PODUSZCZE

ORP „Lublin” dociera w pobliże brzegu. Staje w odległości 200, może 300 m od niego i opuszcza rampę rufową. Chwilę później wprost do morza zjeżdża po niej transporter pływający PTS. Do plaży dociera po kolejnych kilku minutach. Kiedy znajdujący się w nim żołnierze piechoty morskiej z Finlandii wyskakują na ląd, nad ich głowami przelatuje z hukiem klucz szwedzkich odrzutowców Gripen, a potem para F-16. Za moment Finowie rozstawiają stanowisko ogniowe i będą ubezpieczać kolejne desantujące się oddziały. Takich międzynarodowych połączeń będzie dziś całe mnóstwo.

Tymczasem do akcji wkraczają Brytyjczycy i Amerykanie. Jako pierwsze brzeg osiągną kutry desantowe LCVP Mk 5 z HMS „Ocean” (każdy z nich jest w stanie przetrząsnąć około 40 żołnierzy piechoty morskiej lub dwa pojazdy). Podczas przeprawy morzem towarzyszą im szwedzkie łodzie desantowo-szturmowe CB-90. Niemal równocześnie z wody wyjeżdżają amerykańskie pływające transportery opancerzone AAV-7, które dotarły tutaj z pokładu USS „San Antonio” (one z kolei zabierają od 20 do 40 marines).

Jednak najlepsze dopiero przed nami. Kiedy desant trwa, na horyzoncie pojawiają się dwa pojazdy, które mkną po Bałtyku, wzbijają tumany wody. Ale może takie sformułowanie niezbyt dokładnie oddaje istotę rzeczy. Bo pojazdy nie tyle płyną, ile nieznacznie unoszą się nad powierzchnią morza. Oto amerykańskie poduszki LCAC. Nieco ponad tydzień wcześniej, podczas wizyty na pokładzie USS „San Antonio”, miałem okazję obejrzeć je z bliska.

DESANT NA PÓŁNOCY, DESANT NA POŁUDNIU

Niezwykłe było już samo wejście na okręt. Nabrzeża zagranicznych portów, z których korzystają Amerykanie, szybko zamieniają się w pilnie strzeżone twierdze. W Gdyni miejsce, gdzie zacumował USS „San Antonio”, zostało otoczone szczelną barierą z kontenerów. Wejścia pilnowali strażnicy i, dodatkowo, przechadzający się po samym pokładzie uzbrojeni po zęby żołnierze. Fotografować? Nie ma mowy. Robienie zdjęć było możliwe dopiero później, kiedy po sprawdzeniu dokumentów i porównaniu ich z listą przygotowaną przez ambasadę przekroczyliśmy wreszcie barykadę. Od tej chwili

USS „San Antonio” stopniowo odsłaniał przed nami swoje tajemnice. Rzecz jasna, nie wszystkie. Pokłady wypełnione transporterami opancerzonymi, lotnicy morscy pucujący jeden z wystawionych na pokład śmigłowców, piaskowe mundury piechoty morskiej (USS „San Antonio” zabiera na pokład prawie 700 marines) mieszają się z niebieskimi mundurami US Navy (załoga okrętu liczy 360 marynarzy), no i dwa poduszki, które teraz, w Ustce w szybkim tempie zbliżają się do brzegu.

Jeszcze moment i jeden po drugim wślizgują się na plażę, a nas owiewa chmura wodnego pyłu i piasku. Silniki pojazdów zostają wyłączone, ze znajdujących się u spodu poduszek uchodzi powietrze, a na brzeg poczynają zjeżdżać transportery opancerzone.

„Tego rodzaju operacje w międzynarodowej obsadzie trenujemy kilka razy w roku. Do tego dochodzą jeszcze ćwiczenia poszczególnych armii sojuszu”, wyjaśnia kadm. Kitchener. „W poprzednich latach desant pojawiał się też w scenariuszach »Baltopsu«”, dodaje.

Podczas tegorocznej edycji w Ustce wylądowało około 700 żołnierzy ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Szwecji i Finlandii. Kilka dni wcześniej operacja desantowa została przeprowadzona w Szwecji.

ROSJA PODGLĄDA

Desant pod Ustką przyciągnął licznych obserwatorów. Wśród nich byli polski wicepremier i minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak oraz szef brytyjskiego resortu obrony Michael Fallon. Na polskie wybrzeże przyjechał też gen. Philip Breedlove, dowódca wojsk NATO w Europie.

„Jestem dumny z żołnierzy”, podkreślił podczas konferencji prasowej i dodał, że dopiero co zakończona operacja desantowa to doskonały przykład na współpracę pomiędzy żołnierzami z różnych krajów i różnych rodzajów wojsk.

Manewry „Baltops 2015” wywołały poruszenie w Rosji. Amerykańscy wojskowi kilkakrotnie przyznawali, że w ślad za ćwiczącymi na Bałtyku okrętami podążały rosyjskie korwety. Siły NATO były też obserwowane z powietrza. W dniu desantu resort obrony Wielkiej Brytanii poinformował, że stacjonujące w Estonii odrzutowce Typhoon w ciągu zaledwie 24 godzin przechwyciły trzy samoloty z Rosji.

Ćwiczenia zbiegły się też w czasie z wygłoszoną przez Władimira Putina zapowiedzią, że Rosja zwiększy swój arsenał nuklearny o 40 rakiet międzykontynentalnych. „Za sprawą tych ćwiczeń chcemy pokazać naszą gotowość do odpowiedzi na tego typu nieodpowiedzialną retorykę”, podkreślał podczas konferencji w Ustce gen. Breedlove. „Musimy umieć ze sobą współpracować, wspólnie ćwiczyć, właśnie z powodu takich zachowań”, dodał.

Manewry „Baltops” są organizowane od 1972 roku. Gdy zaczęły być prowadzone pod egidą „Partnerstwa dla pokoju”, dołączyła do nich między innymi Polska. Od 1993 roku nasza marynarka wojenna bierze w nich udział regularnie. W tym roku wystawiła dziewięć okrętów.

Łącznie w tegorocznej edycji „Baltopsu” wzięło udział 49 okrętów, przeszło 60 samolotów i śmigłowców, a także 5,6 tys. żołnierzy z 17 krajów NATO i państw z nim współpracujących.

Ćwiczenia wystartowały w Gdyni, gdzie odbyła się faza portowa, a zakończyły w niemieckiej Kilonii. ■



Ministrowie obrony narodowej: Danii – Nicolai Wammen, Polski – Tomasz Siemoniak oraz Niemiec – Ursula von der Leyen, podczas spotkania trójstronnego w Kwaterze Głównej Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie. Pierwszy z lewej dowódca WKPW gen. broni Bogusław Samol, 25 kwietnia 2015 roku

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Szczeciński bastion

Zmiany w wielonarodowym korpusie
to reakcja na wydarzenia na Ukrainie.

Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni od 1 czerwca 2015 roku zmienił strukturę. To pierwszy krok do tego, aby stać się dowództwem wysokiej gotowości bojowej. Podwyższenie gotowości oznacza, że czas przewidziany na wykonanie zadania skróci się ze 180 do (maksymalnie) 90 dni. Te zmiany to realizacja postanowień ubiegłorocznego szczytu sojuszu w Walii. „Stawiamy na korpus i zrobimy wszystko, by był realną strukturą służącą NATO i obronie Polski”, zapowiedział minister obrony Tomasz Siemoniak w trakcie wizyty w Szczecinie.

Przypomnijmy, że podczas szczytu w Newport NATO postanowiło odpowiedzieć na agresywne działania Rosji w Europie Wschodniej. Zachodnioeuropejscy członkowie sojuszu nie zgodzili się, aby w państwach tzw. wschodniej flanki (w Estonii, na Łotwie, Litwie, w Polsce, Rumunii i Bułgarii) stacjonowali na stałe żołnierze NATO, co otworzyłoby także drogę do rozbudowy w tych krajach natowskiej infrastruktury.

SZPICA PO SZCZECIE

Na szczycie przyjęto plan na rzecz wzmocnienia gotowości (Readiness Action Plan), który



**W SZCZECINIE,
gdzie mieści się
dowództwo
Wielonarodowego
Korpusu Północno-
Wschodniego,
stacjonują żołnierze
z 15 krajów.**

miał zwiększyć poczucie bezpieczeństwa państw wschodniej flanki. Opiera się on na dwóch filarach. Pierwszym jest ciągła, lecz rotacyjna obecność sojuszu w tych krajach. Drugi to podniesienie gotowości Sił Odpowiedzi NATO (NATO Response Force – NRF). W ich ramach wydzielono połączone zadaniowe siły bardzo wysokiej gotowości (Very High Readiness Joint Task Force – VJTF), czyli tzw. szpicę. W tej części planu znalazło się także podniesienie gotowości bojowej Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego, który będzie odpowiadać za dowodzenie siłami NATO – jeśli zostaną użyte w naszej części Europy. Zgodnie z decyzjami sojuszu, będzie on mógł dowodzić szpicą, gdy w 2016 roku osiągnie pełną gotowość operacyjną do prowadzenia tego typu działań. „Utworzenie sił natychmiastowego reagowania, prowadzenie ćwiczeń rotacyjnych i rozbudowa logistyki natowskiej na terytorium nowych państw członkowskich to dobre posunięcia”, ocenił w jednej z analiz Marcin Zaborowski, dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Nie zmieni to jednak, według niego, w zasadniczy sposób równowagi sił w regionie.

Szczegóły wdrożenia w życie planu podniesienia gotowości NATO doprecyzowali ministrowie obrony państw wchodzących w skład sojuszu. Podczas spotkania w lutym 2015 roku ustalili, że szpica będzie składać się z wielonarodowej brygady, liczącej 5 tys. żołnierzy podzielonych na pięć batalionów, wspieranych przez siły powietrzne, morskie oraz specjalne. Pierwsza część tych sił ma być gotowa do działania w czasie od 48 do 72 godzin. Wstępną gotowość operacyjną szpica osiągnie na początku roku 2016, pełną – rok później. Państwem ramowym została w tym roku RFN, a dowodzenie operacjami przejął 1 Korpus Niemiecko-Holenderski z Monastyru. W razie potrzeby wsparcie w powietrzu i na morzu zapowiedziały Wielka Brytania, Francja, Hiszpania i Belgia.

„Ministrowie zdecydowali, że w przyszłości nasz korpus mógłby być odpowiedzialny za dowodzenie Siłami Odpowiedzi NATO oraz szpicą, a także siłami do użycia w dalszej kolejności [Initial Follow-On Forces Group – IFFG], tworzonymi przez dwie brygadowe grupy bojowe. Jedna z nich byłaby gotowa do użycia po 30 dniach, druga – po 45”, mówi mjr Zbigniew Garbacz, oficer sekcji prasowej Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego.

To jednak przyszłość. Zadanie na dziś, a raczej na jutro, gdy korpus osiągnie podwyższony stopień gotowości bojowej, polega na synchronizacji działań jednostek integracji sił sojuszu (NATO Force Integration Units – NFIU), czyli jednostek łącznikowych, które mają wspierać VJTF, na przykład pomagając w przerzucie żołnierzy i przygotowaniu baz. Dowództwa NFIU (liczące około 40 oficerów, połowa z państwa gospodarza, druga połowa z innych krajów), które będą pod komendą korpusu, przewidziano w czterech krajach NATO: w Estonii, na Litwie i Łotwie oraz w Polsce (taka jednostka powstaje w Bydgoszczy). „Obecnie kładzie się nacisk na dowodzenie jednostkami NFIU”, mówi płk Frank Ennen, szef sekcji politycznej Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego.

WIELKA ROZBUDOWA

Aby Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni sprostał zadaniom, które przed nim postawiono, musi zostać rozbudowany. W Szczecinie, gdzie mieści się dowództwo,



MSZ WYZNACZA ZADANIA

GŁÓWNE ZADANIA W 2015 ROKU ZWIĄZANE ZE ZWIĘKSZENIEM POLSKIEGO BEZPIECZEŃSTWA W RAMACH NATO:

- zwiększenie do 30 tys. liczebności Sił Odpowiedzi NATO (NRF);
- powstanie szpicy, czyli tymczasowych sił natychmiastowego reagowania, które docelowo mają liczyć do 5 tys. żołnierzy i być gotowe do dyslokacji w ciągu dwóch–trzech dni;
- Polska rotacyjnie z Niemcami, Francją, Włochami, Hiszpanią i Wielką Brytanią ma być państwem ramowym przyszłych sił natychmiastowego reagowania, czyli szpicy.

stacjonują żołnierze z 15 krajów. W najbliższych miesiącach liczba służących tu osób zwiększy się z prawie 200 do około 400 i będą one pochodzić z ponad 20 krajów (polskich oficerów jest dziś 80, a będzie 200). Jak mówi mjr Garbacz, „napływ żołnierzy powinien się zakończyć w grudniu 2015 roku”.

W grudniu 2014 roku odbyła się konferencja planistyczna, na której dyskutowano o nowych stanowiskach. Zaproponowano je nie tylko państwom wchodzącym dziś w skład korpusu, lecz także innym. Pozytywnie odpowiedziały Wielka Brytania, Francja, Holandia, Grecja i Turcja. Do Szczecina przybyli już Brytyjczycy (od kwietnia nad koszarą powiewa ich flaga). Oczekiwani są żołnierze z kolejnych państw. Zainteresowanie zadeklarowały Finlandia i Kanada.

Zwiększony zakres obowiązków korpusu wymaga zmiany jego struktury. Dotychczas funkcjonowały grupa dowódcza (dowódca, zastępca, szef sztabu) oraz dziewięć dywizji (czyli oddziałów), zajmujących się między innymi rozpoznaniem, planowaniem, treningami, współpracą cywilno-wojskową, finansami, łącznością oraz obsadą stanowisk w jednostce. Od 1 czerwca 2015 roku szef sztabu zyskał trzech zastępców – generałów, którzy będą odpowiedzialni za kierowanie poszczególnymi pionami: operacyjnym, planowania i zabezpieczenia.

„Żeby dowodzić operacją połączoną, czyli kilkudziesięcioma tysiącami żołnierzy, musimy mieć do tego ludzi. Konieczne jest zatem powiększenie i rozbudowanie istnieją-

SOLIDARNY KORPUS

Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni, którego Kwatera Główna mieści się w Szczecinie, jest strukturą wojskową NATO. Utworzył go w 1999 roku Dania, Niemcy i Polska. Podobnie jak inne kwatery wielonarodowe, podlega bezpośrednio trzem państwom założycielom. Obecnie należy do niego 15 krajów. W czasie pokoju działa tylko sztab, finansują go armie Polski, Niemiec i Danii. Kluczowe stanowiska w grupie dowódczej przypadają rotacyjnie państwom założycielskim. Dowódcą korpusu, wyznaczonym na trzyletnią kadencję, od grudnia 2012 roku jest polski gen. broni Bogusław Samol.

cych komórek”, tłumaczy mjr Garbacz. Podwojenie liczby personelu to także konieczność rozbudowy infrastruktury. Do 2018 roku na terenie koszar bałtyckich powstanie nowy budynek oraz centrum komputerowe wyposażone w nowoczesny sprzęt.

Obecnie korpus może być wykorzystywany w ramach obrony kolektywnej krajów sojuszu północnoatlantyckiego, operacjach reagowania kryzysowego, wspierania pokoju i usuwania skutków klęsk żywiołowych. „Dzięki nowej strukturze będziemy mogli wykonywać zadania podczas operacji połączonych sił NATO, a także jako dowództwo połączone dla mniejszych operacji połączonych”, podkreśla szef sztabu korpusu, niemiecki gen. Lutz Niemann, który jest odpowiedzialny za jego rozbudowę i restrukturyzację. Generał nie ukrywa, że to spore wyzwanie dla szczecińskiej jednostki. Korpus może dowodzić wojskami o różnej liczebności. „Na podstawie analizy tego, jakie siły powinny być użyte w danym regionie, zostaną nam przydzielone jednostki, z którymi będziemy musieli w określonym czasie osiągnąć zdolność do działania”, tłumaczy gen. Niemann.

W czasie pokoju zadaniem korpusu (wykonywanym od połowy tego roku) jest także monitorowanie sytuacji na wschodniej flance NATO. „Wstępną gotowość chcemy osiągnąć w lipcu. Będziemy obserwować, co się tam dzieje, analizować, jakie mogą być zagrożenia dla sojuszu, i te informacje przekazywać do dowództwa NATO”, mówi płk Frank Ennen.

EGZAMIN W PRAKTYCE

Aby żołnierze szpicy, którzy mają przybyć przed większymi siłami z sojuszu, zdołali dotrzeć do zaatakowanego kraju w 48 godzin, konieczne jest zgranie oddziałów, a to jest możliwe dzięki ćwiczeniom. Po szczycie w Newport pojawiły się spekulacje, czy NATO zdoła zareagować w ciągu 48 godzin od pojawienia się kryzysu w jednym z państw członkowskich. O takich wątpliwościach pisano między innymi w niemieckim tygodniku „Der Spiegel”, powołując się na przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów, gen. Martina Dempseya, który miał powiedzieć, że „żołnierze byłoby gotowi do akcji w 48 godzin tylko wtedy, gdy spaliby w mundurach”.

Wątpliwości zostały jednak rozwiane po przeprowadzeniu pierwszych manewrów. Odbyły się one wiosną, pod kryptonimem „Noble Jump” (Szlachetny skok). Pozwoliły ocenić

przygotowanie sił szybkiego reagowania. Pierwszy etap przeprowadzono w Niemczech, drugi, w czerwcu, na terytorium Polski, w Żaganiu. W pierwszej fazie sprawdzano, jak szybko jednostki mogą się przemieścić w rejon działań, w drugiej – zdolność do szybkiego rozlokowania elementów szpicy.

„Sojusznice oddziały są w stanie szybko przygotować się do działania w miejscu ewentualnego kryzysu”, ocenił na łamach „Wall Street Journal” płk Mariusz Lewicki, który w ramach szpicy odpowiadał za planowanie. Ćwiczeniom z uwagą przyglądali się także oficerowie szczecińskiego korpusu, bo to oni w przyszłości mogą być odpowiedzialni za dowodzenie tymi jednostkami.

Testem dla Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego przed podwyższeniem gotowości bojowej będą jedne z największych w historii tej jednostki ćwiczenia „Compact Eagle 2015”. Te wspomagane komputerowo dowódczo-sztabowe manewry odbędą się w listopadzie w Warszawie i okolicach. Według służb prasowych korpusu, wezmą w nich udział sztaby dwóch dywizji, pięciu brygad i dwóch batalionów, a także ponad 1500 żołnierzy z kilku państw. Podczas manewrów żołnierze sprawdzą w praktyce nową strukturę jednostki i procedury.

Scenariusz przewiduje, że fikcyjny kraj zaatakował jedno z członków NATO. Na pomoc spieszą natychmiast siły reagowania NATO, które inicjują obronę, a Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni, wraz z podległymi jednostkami, przygotowuje się do przeprowadzenia kontrataku.

W GOTOWOŚCI

Na początku lipca 2016 roku w Warszawie odbędzie się szczyt NATO. „Do tego czasu osiągniemy pełną gotowość operacyjną do dowodzenia siłami NFIU i VJTF”, zapewnia płk Frank Ennen. „Potem będziemy się dalej rozwijać, do końca 2017 roku, jako korpus wysokiej gotowości”. Minister Tomasz Siemoniak zapowiadał (m.in. podczas wizyty w Waszyngtonie), że chcemy takiej struktury sojuszu północnoatlantyckiego, żeby można było szybko reagować na potencjalne zagrożenia. Zmiany zachodzące w korpusie są zgodne z naszymi oczekiwaniami. W 2017 roku ma się on stać głównym ośrodkiem koordynacji działań polityczno-wojskowych, dotyczących obrony terytorium północno-wschodniej flanki NATO. ■

**PODCZAS
SZCZYTU
W NEWPORT NATO
POSTANOWIŁO
ODPOWIEDZIEĆ
NA AGRESYWNE
DZIAŁANIA ROSJI
W EUROPIE
WSCHODNIEJ**

NORBERT BĄCZYK

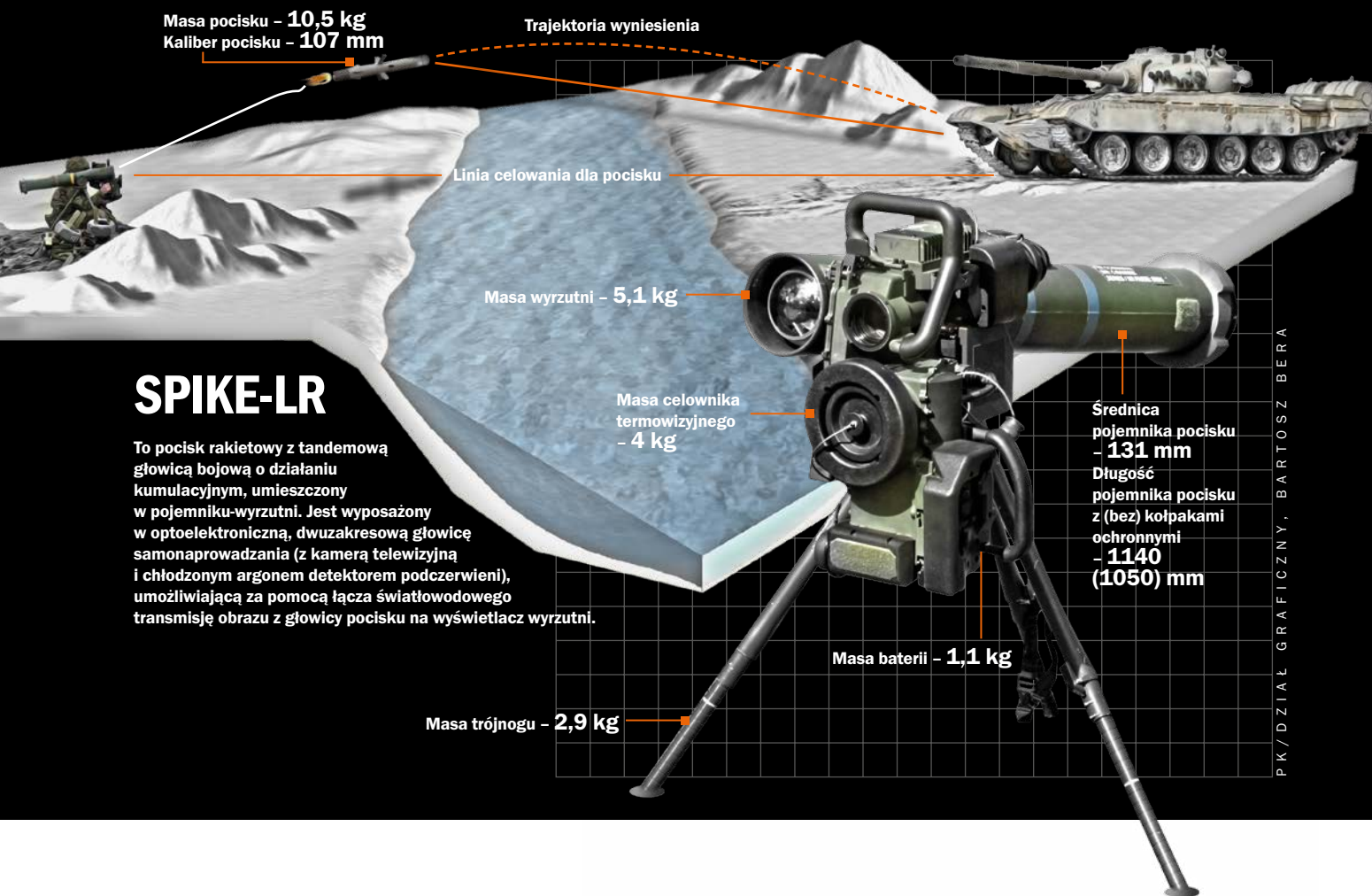
Strzał bez pudła

Rozpoczęły się już negocjacje w sprawie zakupu kolejnej partii ppk Spike-LR. Wstępnie mówi się o tysiącu nowych rakiet, które mają trafić między innymi na wozy bojowe Rosomak.

To był jeden z trzech głównych kominów inwestycyjnych polskiego wojska w pierwszej dekadzie XXI wieku, czyli wtedy, gdy zaczęliśmy zaspokajać nasze aspiracje, jeśli chodzi o obecność w NATO. Kontrakt na 264 przenośne wyrzutnie przeciwpancernych pocisków kierowanych (ppk) Spike-LR (long range) oraz 2675 rakiet Spike Dual podpisano w grudniu 2003 roku, a zrealizowano, z wykorzystaniem licencyjnej linii produkcyjnej ulokowanej w zakładach Mesko SA, w latach 2004–2013. Zakup izraelskich spike'ów oznaczał modernizację naszego arsenału środków przeciwpancernych, bo wraz z nim dostaliśmy nowoczesny kierowany pocisk przeciwpancerny tzw. trzeciej generacji (pracujący także w trybie „wystrzel i zapomnij”), znacznie bardziej zaawansowany od wcześniejszych ppk Malutka, Fagot czy Metys.

Spike może razić cele, które są niewidoczne dla jego operatora ze stanowiska ogniowego. Zamontowana w pocisku kamera przekazuje obraz do celowniczego, który naprowadza go na wybrany cel, a sam pozostaje niewidoczny (tryb „odpal–obserwuj–aktualizuj”). W głowicy są kamery termowizyjna i telewizyjna, a pocisk może lecieć po dwóch trajektoriach – niskiej i wysokiej. Top attack umożliwia rażenie górnych, czyli słabiej opancerzonych, warstw wozów bojowych. Zresztą, mając zdolność przebicia pancerza odpowiadającego przeciętnie grubości ponad 700 mm stali pancernej, spike z powodzeniem razi i inne strefy pancerza nowoczesnych czołgów. Ta broń szybko zyskała dobrą opinię, choć nie obyło się bez kontrowersji. Padały uwagi, że nie zawsze sprawdza się w polskich warunkach (wilgoć, zamglenie), a obserwowana czasem smuga →





SPIKE-LR

To pocisk rakietowy z tandemową głowicą bojową o działaniu kumulacyjnym, umieszczony w pojemniku-wyrzutni. Jest wyposażony w optoelektroniczną, dwuzakresową głowicę samonaprowadzania (z kamerą telewizyjną i chłodzonym argonem detektorem podczerwieni), umożliwiającą za pomocą łącza światłowodowego transmisję obrazu z głowicy pocisku na wyświetlacz wyrzutni.

kondensacyjna ciągnąca się za raketą może zdradzać położenie wyrzutni. Faktycznie była to burza w szklance wody. Warto też pamiętać, że pociski i wyrzutnie, kupowane przez wojsko i używane już od ponad dekady, doczekały się wielu usprawnień i modyfikacji, będących efektem uwag użytkownika.

STUDNIA BEZ DNA

Dzięki wspomnianej umowie, dostarczając przenośne wyrzutnie, zaspokojono potrzeby kompanii wsparcia w pododdziałach zmechanizowanych, zmotoryzowanych i aeromobilnych. Nadal istnieje potrzeba doposażenia użytkowanych w siłach zbrojnych kołowych transporterów opancerzonych (KTO) Rosomak oraz bojowych wozów piechoty (BWP) – dysponując one starszego typu ppk Malutka. Rakiety w odmianie o większym zasięgu potrzebne są również do śmigłowców uderzeniowych. Niestety, przez ponad dziesięć lat ani śmigłowce, ani rosomaki, pomimo wielu analiz i badań, nie doczekały się nowych ppk. Tymczasem pierwotny kontrakt trwał do 2013 roku i zakłady Mesko zakończyły dostawy raket przeciwpancernych dla Sił Zbrojnych RP.

Teraz może się to zmienić. Na jednej z niedawnych konferencji poświęconych modernizacji armii gen. bryg. Sławomir Pączek przedstawił analizę, według której w najbliższych latach chcemy zdobyć kolejnych tysięcy pocisków Spike. Zostałyby w nie uzbrojone przede wszystkim rosomaki. Przypomnijmy, że w zespole przemysłowym pod przewodnictwem Huty Stalowa Wola trwają prace nad zdalnie sterowanym stanowiskiem wieżowym (ZSSW), uzbrojonym w automatyczną,

30-milimetrową armatę szybkostrzelną oraz zintegrowaną, podwójną wyrzutnię ppk Spike. Na początek armia chce kupić nieco ponad 200 ZSSW do rosomaków.

Ponadto są plany uzbrojenia w ppk części rosomaków z dotychczasowymi, załogowymi wieżami Hitfist-30P. Negocjacje z Polską Grupą Zbrojeniową i zależnymi od niej Mesko SA ułatwia oczywiście to, że ppk Spike jest bronią doskonale już naszej armii znaną. Po ewentualnym podpisaniu nowego kontraktu jeszcze w tym roku wspomniane tysiąc pocisków mogłoby zacząć trafiać do naszych arsenałów, począwszy od 2017 roku (pierwsze dostawy dwa lata po podpisaniu kontraktu). Tak więc rocznie byłoby to 200–250 raket, choć termin realizacji całości można przyspieszyć. Mesko może wyprodukować nawet 400–500 raket w ciągu roku, ale kontrakt wieloletni jest bardziej uzasadniony ekonomicznie. Na razie wymieniona przez gen. Pączkę liczba pocisków ma charakter deklaracyjny, czyli jest odzwierciedleniem intencji Ministerstwa Obrony Narodowej, może się więc jeszcze zmienić. Jednakże takie pociski zdecydowanie chcemy kupić. Po roku 2020 zaś trzeba będzie rozprzeć się za jeszcze nowocześniejszymi ppk.

„Program ppk Spike będzie kompletny, gdy pozyskamy wyrzutnie i pociski do rosomaków, w pierwszej kolejności w odmianie z ZSSW, której prototyp jest już gotów, oraz dla śmigłowców. Przy czym w tej drugiej wersji byłyby wskazane ppk o większym zasięgu, na przykład do 8 km lub więcej”, stwierdza płk Jarosław Kraszewski, szef Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii. „Wdrożenie spike’ów było jednak od początku kompletnym programem, realizowanym jako program opera-

GDY DZIESIĘĆ LAT TEMU ŻOŁNIERZE PIERWSZY RAZ STRZELALI NA POLIGONIE ZE SPIKE'ÓW, ŻARTOWALI: OTO „LECI DOBRE MIESZKANIE”

cyjny. Uwzględniono w nim nie tylko kupno samych pocisków i wyrzutni, lecz także system szkoleniowy, serwis oraz polonizację broni, czyli przeniesienie jej wytwarzania do rodzimych zakładów zbrojeniowych”. Prace nad modyfikacjami spike'ów trwają cały czas. „Chcemy, aby pociski miały co najmniej dwa niezależne od siebie systemy naprowadzania, nad którymi w pełni będziemy sprawować kontrolę. Dlatego prace zmierzają w tym kierunku, z udziałem między innymi WAT-u i zakładów Mesko”, wyjaśnia płk Kraszewski.

DOŚWIADCZENIA DEKADY

Gdy dziesięć lat temu żołnierze pierwszy raz strzelali na toruńskim poligonie ze spike'ów, żartowali, że oto „leci dobre mieszkanie”. Cena tych pocisków była wówczas zbliżona do kosztów kupna M4. Zaawansowane technicznie rakiety, których podzespoły powstają w wielu nowoczesnych zakładach przemysłowych w różnych częściach Europy i w Izraelu, do tanich nie należą. Początkowo liczba rocznych strzelań z ppk Spike była bardzo mała, a to rodziło wątpliwości, czy ich obsługi będą dobrze przygotowane do użytkowania tej broni. Obawy te podsycali informacje o pudłowaniu w czasie ćwiczeń poligonowych – z powodu a to stresu operatora, a to złych warunków atmosferycznych.

„Początkowa, relatywnie niewielka liczba rocznie wystrzelonych spike'ów wynikała z tego, że ta broń dopiero wchodziła do wyposażenia wojska. Jednak wraz z jej dostępnością systematycznie rosła liczba wystrzelonych ppk. O ile w 2004 roku było to siedem pocisków, o tyle w roku 2014 prawie 100.

W tym roku także planujemy wystrzelić 100 pocisków”, informuje płk Waldemar Janiak, szef Oddziału Gestorstwa i Rozwoju Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii. „Strzelamy bardzo dużo, właściwie najwięcej spośród europejskich użytkowników spike'ów. Interesuje nas przede wszystkim osiąganie określonych zdolności. To jest ważniejsze niż koszty amunicji”, stwierdza płk Kraszewski.

Operatorów ppk Spike obowiązuje dość intensywne szkolenie. Aby żołnierz został dopuszczony do strzelania, musi wykonać wcześniej 2 tys. strzałów na тренаżerach, zarówno w toruńskiej szkole, jak i macierzystych jednostkach. Ćwiczenia odbywają się na dwóch тренаżerach, wewnętrznym – IDT, i zewnętrznym – ODT. A do szkolenia taktycznego używa się gabarytowo-masowych makiet wyrzutni. Raz w roku, w celu wymiany doświadczeń, w Toruniu są też organizowane tzw. zgrupowania centralne pododdziałów wyposażonych w wyrzutnie. Wówczas opracowuje się nowe zadania ogniowe oraz analizuje filmy z wcześniejszych strzelań. Takie zgrupowanie kończy się „na ostro”, czyli oddaniem strzałów pociskami bojowymi przez kilkanaście obsłóg z jednostek wojskowych z całego kraju. „Wdrożyliśmy nowe urządzenia rejestrujące MDVR 3200”, wyjaśnia płk Janiak. „Nagrywają one obraz z głowicy pocisku od chwili jego uzbrojenia do momentu trafienia w cel oraz zapewniają pomiar kluczowych danych telemetrycznych. Wykorzystuje się je później w szkoleniu”.

Polska armia jest członkiem Spike User Club, skupiającym użytkowników tej broni. Wymieniają oni między sobą doświadczenia. Mamy dużo takich pocisków i używamy ich od ponad dziesięciu lat, więc nasz głos jest znaczący w tym gronie. „Jako jedni z nielicznych strzelaliśmy z ppk Spike na azy-mut, czyli w warunkach, gdy operator nie widzi celu, a dopiero później pocisk zostaje nakierowany na konkretny obiekt”, opisuje płk Janiak. „Strzelamy też do celów położonych na linii horyzontu, do celów ruchomych, z pomieszczeń, w nocy, a nawet do obiektów znajdujących się na morzu. Co ciekawe, spike nieźle sobie radzi również wtedy, gdy nie ma dobrej pogody i są wysokie fale”.

BROŃ NA LATA

Na ppk Spike jest dziesięć lat gwarancji, a można go użytkować przez 30 lat. Oznacza to, że rakietom dostarczonym w latach 2004–2005 już się ona skończyła. Pociski z tej puli zostały poddane programowi starzeniowemu. „Dla nas najważniejsze jest zaufanie żołnierzy do broni”, wyjaśnia płk Kraszewski. Dzięki temu, nawet po wygaśnięciu gwarancji, systematycznie kontrolowane, ppk Spike nadal pozostaną w pełnej gotowości.

Należy mieć nadzieję, że zapowiadany już od dawna, a obecnie negocjowany, nowy zakup ppk Spike dojdzie do skutku. Potrzebujemy takich rakiet dla naszych wojsk zmechanizowanych i zmotoryzowanych, a w pierwszej kolejności – do roso-maków. Wdrożenie ZSSW znacząco wzmocni potencjał przeciwpancerny, zwłaszcza pododdziałów piechoty zmotoryzowanej, bo dziś w każdym jej batalionie jest raptem po kilka wyrzutni ppk Spike, a brygady na roso-makach własnych czołgów nie mają. Oczywiście w trakcie walki żołnierze mogą liczyć na wsparcie innych środków walki, w tym artylerii czy własnych czołgów z brygad kawalerii pancernej oraz zmechanizowanych, ale siły średnie i lekkie nie zawsze będą mogły czekać na pomoc tych ostatnich. Wówczas ogień własnych pododdziałów może się okazać kluczowy. ■

TADEUSZ WRÓBEL

Misje poza limitem

Polska od dawna angażuje się w pomoc humanitarną dla ludzi z różnych państw świata, których dotknęły klęski żywiołowe.

Wrejony, gdzie nastąpiło trzęsienie ziemi, wysyłamy ratowników Państwowej Straży Pożarnej wraz psami wyszkolonymi do wyszukiwania ludzi znajdujących się pod gruzami. Strażacy docierają tam samolotami transportowymi sił powietrznych. Są one wykorzystywane też do przewozów pomocy materialnej dla ofiar klęsk żywiołowych i wojen. Gdy na szczeblu rządowym zostanie podjęta decyzja o zaangażowaniu się w misję ratowniczą lub humanitarną i potrzebie użycia wojskowych statków powietrznych, są uruchamiane odpowiednie procedury. Podstawowym dokumentem jest decyzja ministra obrony narodowej z 31 grudnia 2013 roku w sprawie trybu wykorzystania wojskowych statków powietrznych przez dysponentów limitu nalotu. Zgodnie z nią dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, za pośrednictwem inspektora sił powietrznych, wydziela maszyny na podstawie składanych przez dysponentów zapotrzebowań. Gdy chodzi o loty międzynarodowe, powinny one być złożone co najmniej 15 dni roboczych przed datą przewozu (w wypadku materiałów niebezpiecznych jest to 30 dni). Potrzebny jest bowiem czas na uzyskanie zgody poszczególnych państw na przelot wojskowego samolotu czy śmigłowca nad ich terytorium. Terminy jej wydania są różne. Niektóre kraje żądają, by występować o takie pozwolenie nawet miesiąc przed lotem.

WYJĄTKI OD REGUŁY

Przewidziano kilka odstępstw od tej zasady. Dotyczą one sytuacji związanych z ewakuacją medyczną, ratowaniem życia i zdrowia ludzi, jak też niesieniem pomocy, na przykład w wypadku klęsk żywiołowych czy konfliktów zbrojnych. Elastyczność jest konieczna, bo nie da się przewidzieć takich zdarzeń, jak chociażby tegoroczne trzęsienie ziemi w Nepalu, do którego doszło 25 kwietnia 2015 roku.

Użycie wszystkich statków powietrznych, między innymi na potrzeby reagowania kryzysowego i misji humanitarnych, odbywa się na podstawie podpisanych wcześniej porozumień między organami administracji państwowej lub organizacji pozarządowych a Ministerstwem Obrony Narodowej, określających tryb i warunki wykorzystania maszyn. Może być też pisemna zgoda szefa tego resortu po otrzymaniu wniosku w tej sprawie od podmiotów zewnętrznych. Wtedy dowódca jednostki, z której pochodzi statek powietrzny, występuje do szefa Oddziału Koordynacji Wyko-

rzystania Przestrzeni Powietrznej Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych o rozpoczęcie procesu uzyskiwania zgody państw obcych na przelot.

DŁUGOLETNI ZAANGAŻOWANIE

Wojsko od lat wspiera operacje reagowania kryzysowego. W tym roku największą taką akcją był w przewóz ratowników z PSP do Nepalu. Pięć lat wcześniej Polacy zaangażowali się również w pomoc po wielkim trzęsieniu ziemi w innej części świata – na Haiti. 15 stycznia 2010 roku grupę 54 ratowników z dziesięcioma psami oraz 4 t sprzętu ratowniczego i logistycznego przewieziono samolotem Tu-154M do San Domingo w sąsiedniej Dominikanie. Stamtąd strażacy dotarli na miejsce katastrofy łądem. Z kolei w końcu grudnia 2003 roku C-295M zawiózł ratowników do Iranu, gdzie trzęsienie ziemi zniszczyło niemal całkowicie miasto Bam. W 2001 roku, przy okazji podobnej katastrofy naturalnej w Indiach, pomoc niósł Tu-154M. Wojskowi lotnicy wspierali też działania ratownicze po dwóch wielkich trzęsieniach ziemi, które w sierpniu i listopadzie 1999 roku dotknęły Turcję.

Od lat jest też przyjęte, że maszyny mające zabrać do Polski kończących misję ratowników przewożą w rejon klęski między innymi żywność, medykamenty, namioty czy ubrania dla tamtejszych mieszkańców. W sierpniu 2014 roku polski hercules dostarczył pomoc humanitarną Irakijczykom, którzy z powodu czystek etnicznych i prześladowań na tle religijnym przez ekstremistów z Państwa Islamskiego musieli porzucić domy i szukać schronienia na terenie irackiego Kurdystanu. Wiosną ubiegłego roku lotnictwo wojskowe pomogło też dostarczyć pomoc humanitarną do rozdartej konfliktem wewnętrznym Republiki Środkowoafrykańskiej. W 2013 roku zaś transportowiec C-130 został użyty do przewozu do Turcji darów dla ofiar wojny domowej w Syrii, które zebrała Polska Akcja Humanitarna. Wojsko współpracuje bowiem z wieloma organizacjami pozarządowymi, które pomagają ludziom dotkniętym przez katastrofy naturalne lub wojny w różnych częściach świata. Są to między innymi Caritas Polska, Polski Czerwony Krzyż, Polska Misja Medyczna i Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej. Wojskowe samoloty przewożą też pomoc humanitarną zorganizowaną przez instytucje państwowe, takie jak Agencja Rezerw Materiałowych, Ministerstwo Obrony Narodowej czy Państwowa Straż Pożarna. ■



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Loty specjalne

PERSONEL MISJI HUMANITARNEJ
SAMOŁOTU C-130E HERCULES

Pięć samolotów transportowych i kilkudziesięciu żołnierzy poleciało do oddalonego o 6 tys. km Nepalu. Ruszyli z pomocą mieszkańcom, którzy ucierpieli podczas ostatniego trzęsienia ziemi.

To jedna z najbardziej odległych misji humanitarnych, jaką wykonali żołnierze w historii naszej jednostki”, mówi płk pil. Krzysztof Cur, dowódca 8 Bazy Lotnictwa Transportowego w Balicach. To właśnie on na początku maja dowodził komponentem lotników z 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego, którzy ruszyli z pomocą do Nepalu. Do Katmandu poleciały dwa transportowce C-130 Hercules z 33 Bazy z Powidza i trzy samoloty CASA C-295M z 8 Bazy z Balic oraz 50 żołnierzy, wśród nich dowódcy załóg, drudzy piloci, technicy pokładowi, loadmasterzy, nawigatorzy i ratownik medyczny z zespołu ewakuacji medycznej. „O wylocie do Nepalu dowiedzieliśmy się 30 kwietnia. Czasu na przygotowanie było niewiele”, przyznaje płk Cur.

SZEŚĆ TYSIĘCY NA LICZNIKU

„Dopiero co wróciliśmy z Finlandii, skąd transportowaliśmy do Muzeum Lotnictwa w Krakowie unikatowy samolot myśliwski Caudron CR.714. Każdy odliczał czas do długiego weekendu. W Grupie Działań Lotniczych w Powidzu panował zgiełk... Chwilę później dostaliśmy nowe zadanie. Za 24 godziny mamy znaleźć się w oddalonym o ponad 6 tys. km Nepalu”, opisuje por. pil. Tomasz Kozłowski z 33 Bazy.

Przygotowania ruszyły w obu jednostkach. Na początek ustalono trasę przelotu. Na jej podstawie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zabiegało o zgody dyplomatyczne na udostępnienie przestrzeni powietrznej danego kraju lub lądowanie. Według przepisów, o takie pozwolenie należy występować z kilkunastodniowym wyprzedzeniem. Ponieważ jednak chodziło o pomoc humanitarną (Relief Flight), procedury skrócono.

Ustalono, że herculesy wystartują z Warszawy, a casy ruszą z Balic. Transportowce musiały przelecieć nad terytorium Słowacji, Węgier, Bułgarii, Turcji, Gruzji, Kazachstanu, Azerbejdżanu, Turkmenistanu, Uzbekistanu, Afganistanu, Pakistanu i Indii. „Jeden dzień zajęło nam uporanie się ze sprawami organizacyjnymi. Sporo uwagi poświęciliśmy także na przygotowanie lotnicze. Musieliśmy sprawdzić każde lotnisko na trasie, zweryfikować obowiązujące tam procedury, zapoznać się z mapami. Sprawdzaliśmy także, jaka będzie pogoda”, tłumaczy mjr Sławomir Byliniak, dowódca załogi jednego z samolotów C-295M.

Ostatecznie, do Nepalu wystartowało 2 maja pięć maszyn. Na ich pokładach lecieli przedstawiciele MSZ-et, Caritasu oraz około 40 t ładunku. Za dostarczenie pomocy humanitar-



nej odpowiadały różnego rodzaju fundacje. Pośród darów dla potrzebujących znalazły się między innymi koce, żywność i środki chemiczne. „Z przekazów medialnych wiedzieliśmy, że w Nepalu brakuje niemal wszystkiego, a ponad 30-stopniowe upały i wstrząsy wtórne są dla mieszkańców dużym problemem”, dodaje por. Kozłowski.

OBÓZ W NOWYM DELHI

Polscy żołnierze wylądowali w stolicy Indii i założyli tam swego rodzaju obóz. „Do Delhi casy doleciały po 15 godzinach, a herculesy po około 11. Byliśmy wykończeni. Przywitały nas potworny upał i bardzo wilgotne powietrze. O czwartej rano termometry wskazywały 42°C”, opisuje mjr Byliniak z 8 Bazy. „Po ponad 24 godzinach pracy w przesiąkniętych potem kombinezonach marzyliśmy tylko o odpoczynku”, uzupełnia por. Kozłowski. Zgodnie z przyjętym wcześniej planem piloci stacjonowali w Indiach, a do oddalonej o nieco ponad 1000 km stolicy Nepalu – Katmandu, mieli latać dwa razy na dobę. „Lotnisko w Delhi jest duże i pozwala na postój większej liczby samolotów. W Katmandu było to po prostu niemożliwe”, tłumaczy płk Krzysztof Cur. „Do Nepalu z pomocą ruszyły samoloty z całego świata, przez co lotnisko wprowadziło ograniczenia w ich przyjmowaniu. Dlatego, kiedy jeden lądował tam z pomocą humanitarną, kilka innych czekało w tzw. holdingu w powietrzu”, dodaje dowódca 8 Bazy. Oficer tłumaczy także, że lądowanie w Katmandu wymagało od pilotów ogromnej precyzji.

Nie było łatwo. „Spałem po dwie godziny na dobę”, wyjawia pułkownik. „Telefony dzwoniły bez przerwy. Bardzo trudno było uzgodnić godzinę wylotu do Katmandu, bo przez te upały każdy chciał latać w nocy”.

„Leciliśmy nad chmurami na wysokości 6300 m, a niebo na wschodzie rozświetlało gamą wszystkich odcieni czerwieni. Nawigator pokazywał nam, który z wyrastających tak strzeliście ośmiotysięczników to Mount Everest. Nie było jednak już czasu na podziwianie piękna Himalajów, bo zaraz lądowanie”, relacjonuje por. Kozłowski.

Gdy piloci przebili się przez chmury, dostrzegli zrujnowane miasto otoczone stromymi zboczami gór. Pas startowy w Katmandu został zniszczony, pełno na nim kolein, które na szczęście nie były problemem dla dużego herculesa. „Kołowaliśmy do płaszczyzny, gdzie jak najszybciej trzeba było się rozładować. Czas był ważny, bo w powietrzu od kilkudziesięciu minut czekały kolejne samoloty”, opisują piloci.

UPALNA MISJA

Podczas kilkudniowego pobytu wykonali sześć lotów, przewieźli 41 t ładunków. Z Delhi do Katmandu latali wyłącznie pomiędzy 23 a trzecią w nocy i przez kilka godzin od czwartej rano. „W czasie upałów jest rzadsze powietrze. Można powiedzieć, że samolot nie ma się czego trzymać. Zmniejsza się także sprawność silników. Tak naprawdę im wyższa temperatura, tym mniej kilogramów możemy przewozić”, mówi mjr Sławomir Byliniak. Pilot

TO BYŁO NAJWIĘKSZE TRZĘSIENIE ZIEMI W NEPALU OD PONAD 80 LAT.

Do wstrząsu o sile 7,9° w skali Richtera doszło 25 kwietnia 2015 roku. Epicentrum znajdowało się w środkowej części kraju i objęło tereny zaludnione, między innymi stolicę kraju, Katmandu. Po wstrząsie głównym nastąpiło kilkanaście słabszych wstrząsów wtórnych. Doszło do ogromnych zniszczeń. Świat zareagował bardzo szybko. Do Katmandu przyleciały samoloty wojskowe z Indii, przywożąc kilkadziesiąt ton żywności, sprzętu i ratowników. Pomoc wysłały także między innymi Francja, Niemcy, Chiny, Pakistan, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Tajlandia, Singapur, Rosja oraz Japonia i Kanada.

Z Polski poleciały do Nepalu wojskowe samoloty z różnymi artykułami – jedzeniem, kocami, środkami chemicznymi. Ruszyły z pomocą także dwie grupy polskich ratowników: kilku z Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej oraz 81 strażaków Państwowej Straży Pożarnej, wchodzących w skład grupy poszukiwawczo-ratowniczej HUSAR. Wzięli ze sobą 11 t sprzętu ratowniczego i leków, a także 12 psów poszukiwawczych.

wyjaśnia także, że w trakcie lotów trzeba wziąć pod uwagę nie tylko wysokość terenu i temperaturę. Istotne są także parametry lotniska oraz samolotu. „Założa oblicza możliwości maszyny, jej zdolność do startu i lądowania oraz pominięcie ewentualnych przeszkód terenowych z jednym sprawnym silnikiem. By bezpiecznie pilotować maszynę, nie możemy doprowadzać do przekroczenia instrukcyjnych ograniczeń”, dodaje oficer.

„Taka misja to także doskonały sprawdzian dla naszego lotnictwa transportowego”, podkreśla płk Cur. „Po raz kolejny udowodniliśmy, że jesteśmy przygotowani i wyszkoleni do wykonywania różnego rodzaju zadań. Tym razem ruszyliśmy w daleką podróż, w zupełnie inny klimat”.

„Gdy wracaliśmy do domu, zatrzymaliśmy się na jednym z lotnisk w Bułgarii. Podeszli do nas miejscowi lotnicy i pogratulowali przeprowadzonej misji”, wspomina mjr Byliniak. „Mówili, że darzą nas szacunkiem za to, że w tak krótkim czasie nasz kraj zorganizował operację tak daleko od domu”. ■



EUROPEAN COMMISSION

Lotnisko w stolicy Nepalu jest otoczone wysokimi górami, a niezbyt długi pas nie pozwala pilotom na żadne błędy.

Ze względu na duży ruch lotniczy w Katmandu płk Cur zdecydował, że pomoc humanitarną z Indii do Nepalu będą dostarczać wyłącznie samoloty C-130. „Hercules może zabrać na pokład więcej ładunku i szybciej pokona trasę do Nepalu. Mimo to załogi C-295M były utrzymywane w ciągłej gotowości”, przyznaje płk Cur. Jako dowódca komponentu musiał koordynować przeloty pomiędzy Nowym Delhi a Katmandu. Uzgadniał z przedstawicielami polskiej ambasady możliwości wystartowania, kontaktował się także z przedstawicielami różnych fundacji oraz strażakami, którzy ruszyli do Nepalu z misją ratunkową. Jeśli chodzi o tych ostatnich, bardzo dobrze wspomina współpracę z bryg. Marcinem Kopyńskim i bryg. Mariuszem Feltyńskim.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Nie byłem twardzielem

Z Iraku i Afganistanu przywiózł ponad 8 tys. zdjęć.
Dziś pokazuje je na wystawach i spotkaniach z młodzieżą.
Opowieści o misji to także rodzaj terapii.



Przejechane kilkaset kilometrów czuć w kościach. Sierż. rez. Szymon Mutwicki jest zmęczony, ale zadowolony, bo wie, że najbliższe kilkadziesiąt godzin spędzi z kolegami z misji. „Służyłem tam z ludźmi, na których do dziś mogę liczyć. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, mówi z przekonaniem.

Sześć lat temu Szymon przeszedł do rezerwy, ale w sercu nadal jest żołnierzem. „I tak pozostanie”, zapewnia. 29 maja tacy jak on obchodzą swoje święto – wprowadzony w 2012 roku ustawą Dzień Weterana Działań poza Granicami Państwa. Jako żołnierz 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej Szymon służył dwukrotnie poza granicami kraju. Pierwszy raz w Iraku w 2004 roku, trzy lata później w Afganistanie. Na obu misjach był kierowcą. Dziś jest członkiem Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju i ma nadany przez MON status weterana poszkodowanego.

TO JEST JEGO ŚWIĘTO

Pierwsze obchody Dnia Weterana odbyły się w 2012 roku we Wrocławiu, rok później gospodarzem uroczystości był Szczecin. W tym roku kilkuset weteranów z Iraku i Afganistanu, ale także z wcześniejszych misji, tych pod błękitną flagą ONZ-u, oraz funkcjonariuszy służb mundurowych zjechało do Bydgoszczy. Szymon uważa, że to ważne, aby podczas takich uroczystości pokazywać społeczeństwu, kim są weterani misji zagranicznych i co robili w trakcie operacji z dala od kraju. „Pokazujemy, że weteran nie pojechał na wojnę zabijać, ale pomagać i walczyć o czyjąś wolność”, podkreśla. Dlatego 29 maja zaznaczył w swoim kalendarzu na czerwono. To jego święto. Był zatem na obchodach Dnia Weterana we Wrocławiu i w Szczecinie, w tym roku pojechał do Bydgoszczy, a w przyszłym wybierze się do Krakowa, bo tam odbędą się centralne uroczystości związane z tym świętem.

Już na pierwszym spotkaniu we Wrocławiu poczuł, że jest wśród swoich. „Poznałem wtedy Janka Koczara, weterana misji z Bośni w 1996 roku. Normalny facet. Byłem zaskoczony, gdy następnego dnia zobaczyłem go w krótkich spodenkach i z protezą zamiast nogi. „»Stary, nie przejmuj się«!”, klepnął

mnie po plecach”, wspomina Szymon. Z Wrocławia wrócił naładowany pozytywnymi emocjami. Wtedy pomyślał, że żołnierze tak poszkodowani jak Janek są lepszymi ludźmi, bo potrafili dać mu emocjonalnego kopa. Znowu chciało mu się żyć, postanowił więcej się nad sobą nie użalać. Dlatego, gdy dojeżdżał do Bydgoszczy, cieszył się, że znowu spotka się z kumplami. Z Tomaszem Roźniatowskim, któremu w Afganistanie przewrócony transporter zmiażdżył lewą rękę, z Jackiem Żebrykiem, który podjął walkę z hejterami w sieci obrażającymi żołnierzy na misjach, z Januszem Raczym, któremu 100-procentowy uszczerbek na zdrowiu nie przeszkadza w działalności społecznej.

Co roku scenariusz obchodów Dnia Weterana jest podobny: msza w intencji żołnierzy na misjach, apel pamięci, wręczenie odznaczeń. W tym roku miejscem głównej ceremonii był bydgoski Stary Rynek, a żołnierskiego pikniku – Wyspa Młyńska. Ze spotkania ministra Tomasza Siemoniaka z weteranami, które odbyło się w gmachu bydgoskiej opery, Szymon zapamiętał zapewnienie, że „mamy wasze sprawy w centrum uwagi przez cały rok” oraz słowa o „wspierciu państwa, wdzięcznego za to, że dla niego narażali życie i zdrowie”.

NA ZAWODACH BLIŻEJ WOJSKA

Odbywające się w przeddzień Dnia Weterana zawody strzeleckie są dla wielu okazją nie tylko do spotkania dawno niewidzianego kumpla. W tym roku w trzech konkurencjach: strzelanie z broni długiej, z pistoletu wojskowego kalibru 9 mm oraz z beryla, startowało 130 zawodników. „Organizujemy zawody strzeleckie, aby podtrzymać koleżeńskie więzi wśród weteranów, jak również między środowiskiem weteranów a armią, którą z powodu odniesionych ran wielu z nas musiało opuścić”, wyjaśnia ideę tej rywalizacji Tomasz Kloc, prezes Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju.

Weterani zwolnieni do rezerwy mogą znowu poczuć się żołnierzami. „Gdy na zawodach dotykam beryla, przypomina mi się misja w Afganistanie. Zapominam na chwilę, że jestem byłym żołnierzem”, mówi Szymon.

W czasie spotkań na strzelnicy nigdy nie wspominają „tamtego dnia”, gdy wybuchał ajdik, gdy dostali się pod ostrzał. ➔

**„GDY NA
ZAWODACH
DOTYKAM
BERYLA,
PRZYPOMINA
MI SIĘ MISJA
W AFGANISTANIE.
ZAPOMINAM
NA CHWILĘ, ŻE
JESTEM BYŁYM
ŻOŁNIERZEM”**

„Rozmawiamy o tym, co się dzieje dziś”, mówi Szymon. O kłopotach w pracy, kłótni z żoną. Te spotkania i rozmowy z kolegami są tak samo ważne jak strzelanie. To także okazja do rozmowy o swoich problemach – z urzędnikami Ministerstwa Obrony Narodowej, oficerami Dowództwa Generalnego czy dowódcami jednostek.

W tym roku zawody strzeleckie zostały poświęcone pamięci mjr. Jacka Kosteckiego, lekarza, który zginął podczas służby na III zmianie w Iraku. „To przecież medycy wojskowi ratowali życie żołnierzy na misjach oraz dbali o nasze zdrowie”, mówi Szymon.

DWA RAZY NA WOJNIE

Do Iraku Szymon pojechał 29 stycznia 2004 roku. 14 lutego zamachowiec samobójca próbował wtargnąć samochodem na teren bazy Charlie w Al-Hilli. Zanim wartownik przy bramie zdążył zareagować, 800 kg materiałów wybuchowych wyleciało w powietrze. „Takie zdarzenie na początku misji sprawia, że stajesz się czujny”, uważa Szymon. Wierzył jednak, że polskim żołnierzom nic się stać nie może, bo przecież przybyli tu, aby pomagać, a nie zabijać. Jednak śmierć była blisko, między innymi 7 maja zginął dziennikarz telewizyjny Waldemar Milewicz.

Kiedy wrócił z Iraku, żona zapytała: „Pojedziesz jeszcze raz?”. Odpowiedział, że tak, do Afganistanu. Gdy dowódca ogłosił, że są zapisy na tę misję, zgłosił się, ale żony nie uprzedził. Miała żal. Dziś wie, że słusznie. Stara się odbudować relacje z żoną. „Chyba czas wracać do domu”, taką dedykację napisał w książce o weteranach misji, którą jej podarował. Dziś się zastanawia: „Może gdybym nie pojechał do Afganistanu, ona nie wyjechałaby do Holandii? Może musieliśmy się rozwieść, aby znowu ze sobą być?”.

Gdy powraca we wspomnieniach do misji afgańskiej, pierwszym obrazem, jaki widzi, są wysokie góry. Zobaczył je z lądującej casy. Na ich ośnieżone groźne szczyty patrzył potem także z bazy. Oszalał huk przelatujących F-16. Wiedział już, że nie będzie to łatwa misja.

Był kierowcą hummera w grupie OMLT, czyli takiej, która zajmuje się szkoleniem armii afgańskiej. Jeździł wąskimi górskimi drogami, które wiły się wokół szczytów jak serpentyny. Razem z afgańskimi żołnierzami spędzali czasami w górach kilka dni, po drodze odwiedzali wioski, przekazywali ich mieszkańcom pomoc humanitarną.

Szczęście dopisywało im do 14 sierpnia 2007 roku. Wtedy podczas patrolu zginął pierwszy polski żołnierz w Afganistanie – por. Łukasz Kurowski. Dla Szymona była to pierwsza śmierć kolegi na misji. Walące w kolumnę samochodów pociski, krew wsiąkająca w pustynny piasek – te obrazy powracały potem w snach. Kiedyś pomyślał, że gdyby miał tam wrócić, to tylko w to miejsce, gdzie zginął Łukasz. Wówczas postanowił, że zostaje w Afganistanie do końca misji, choć niektórzy koledzy z patrolu wrócili do kraju. Dziś wie, że to była zła decyzja. Każdy nadjeżdżający samochód był zagrożeniem. „Nie znałem wcześniej takiego strachu”, przyznaje. Półtora roku po powrocie z Afganistanu odszedł z wojska.

TRUDNA DIAGNOZA

„Wojna rozwalila mi życie”, uważa Szymon. Problemy zaczęły się już po powrocie z Iraku, ale wtedy ich nie dostrzegł. „Przecież żołnierze to twardziele”, myślał. Dziś wie, że każdy



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

wraca z wojny z ranami, ale u niektórych ich nie widać. Żołnierze po traumatycznych przeżyciach często nie chcą przyznać, że potrzebują wsparcia psychologicznego, a czasami nie zdają sobie z tego sprawy. Po powrocie z Afganistanu sam już dostrzegł, że stał się nerwowo, łatwo wyprowadzić go z równowagi. Nie mógł spać, a gdy już zasnął, śniły mu się ataki na patrol. Patrzył w okno i milczał. Nie słyszał, że żona coś do niego mówi. Lekarz, do którego się zgłosił, postawił diagnozę: PTSD.

Ponad rok spędził w Klinice Psychiatrii i Stresu Bojowego w Wojskowym Instytucie Medycznym. Tam nauczył się opowiadać o swoich przeżyciach. Koszmary jeszcze czasem powracają. Szymon się budzi, wstaje, sen odpływa. Za chwilę spokój. Pod koniec 2014 roku, gdy w Warszawie rozpoczęła działalność Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa, Szymon powiedział dziennikarzom, że ma nadzieję, że „będzie on służyć wszystkim tym, którzy na misjach zostali ranni nie tylko fizycznie, ale i psychicznie”.

KTO JE POKOCHA

Po misji w Iraku i Afganistanie w fotograficznym archiwum Szymona zebrało się ponad 8 tys. zdjęć związanych z woj-skim, krajobrazów, portretów. Dzieci natomiast na misji były dla Szymona drogowskazem. Tam, gdzie się bawiły, mniejsze było prawdopodobieństwo wybuchu miny pułapki czy ostrzału. Gdy kolumna samochodów wjeżdżała do wioski i kierowca widział gromadkę dzieciaków, czuł się pewniej. Kiedy na jednym z portali społecznościowych zamieścił kilka fotografii afgańskich dzieci, kolega namówił go na szerszą prezentację.

SZYMON MUTWICKI WIE, ŻE KAŻDY WRACA Z WOJNY Z RANAMI, ALE U NIEKTÓRYCH ICH NIE WIDAĆ. ŻOŁNIERZE CZĘSTO NIE ZDAJĄ SOBIE Z TEGO SPRAWY

I tak doszło do wystawy na ten temat „Afganistan, kto je pokocha”. W selekcji materiału pomogli specjaliści ze Zbąszyńskiego Centrum Kultury – wybrali 40 najlepszych ujęć. „Mnie samemu trudno było dokonać wyboru. Każde zdjęcie wiąże się z jakąś historią, wzbudza emocje”, przyznaje Szymon. Gdy przegląda fotografie, stara się omijać te, na których widzi uśmiechniętego Łukasza, albo te, które zrobił w dniu ataku rebeliantów.

Swoje najlepsze zdjęcie zrobił przypadkowo podczas patrolu w okolicach bazy Gardez. Przy drodze bawiły się dzieci, a Szymon skierował obiektyw aparatu w stronę stojącej na poboczu dziewczynki. Nacisnął migawkę, nie spodziewał się, że wyjdzie fotografia podobna do tej, jaką opublikowano w „National Geographic”. Ilekroć na nią patrzy, zastanawia się, czy mała Afganka ma oczy smutne, czy wesołe. Wzrok przyciąga jej tajemnicze spojrzenie. Dotychczas zdjęcia były prezentowane na kilku wystawach, w tym w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Szymon planuje kolejne ekspozycje.

Temat afgańskich dzieci przewija się także podczas spotkań z młodzieżą. Weteran opowiada uczniom o Afganistanie i Iraku. Tłumaczy, po co jeździmy na misje, co to jest ajdik, co oznaczają skróty ISAF i QRF. Pokazuje zdjęcia, opowiada

o życiu w bazie, także o śmierci Łukasza Kurowskiego, bo uważa, że jest mu to winny. Tak wyraża szacunek do kolegi, który nie wrócił z Afganistanu. „Uczniowie pytają o wszystko: co jadłem, ile zarobiłem, jak bawią się afgańskie dzieci”, mówi Szymon.

MEDAL Z ZASKOCZENIA

Společną aktywność Szymona dostrzegli koledzy. Gdy po zakończeniu zawodów na strzelnicy garnizonowej zwycięzcy poszczególnych konkurencji odebrali puchary i dyplomy, Tomasz Kloc, prezes Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych poza Granicami Kraju, wyczytał jego nazwisko. Szymon Mutwicki dostał pamiątkowy medal za zaangażowanie w prace tej organizacji. „Byłem totalnie zaskoczony”, przyznał. Z jednej strony docenia piękny gest – „uhonorowanie tego, co robię”. Z drugiej jednak uważa, że robi za mało, że mógłby więcej.

29 maja, po zakończeniu uroczystych obchodów Dnia Weterana, Szymon wsiada do samochodu, aby wrócić do domu. Czeką na niego ośmioletnia Talibka, kotka przygarnięta po powrocie z Afganistanu. Gdy jej pan zjawi się po dwóch dniach nieobecności, obrażona fuknie na powitanie. Tego dnia wieczorem Szymon zaczyna też tęsknić już za kolejnym spotkaniem z weteranami. ■

kadr

|ĆWICZENIA|

PIOTR BERNABIUK

DRUŻYNA INDYWIDUALISTÓW

Umiejętności żołnierzy są niezwykle ważne,
ale liczy się przede wszystkim praca zespołowa.



PIOTR BERNABIUK



Stary tor „francuski” najeżony przeszkodami, okazał się dla plutonu nie tylko ciężką przeprawą, ale również złożonym problemem organizacyjnym.

W

ostatnich dniach maja na poligonie w Wędrzynie zwiadowcy rozegrali zawody użyteczno-bojowe o puchar dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych. W kilkudniowych zmaganiach, w tym w rywalizacji w strzelaniu sytuacyjnym i na długich dystansach, prowadzeniu obserwacji, pokonywaniu niezwykle wymagającego toru „francuskiego”, przepraw wodnych oraz dwudniowej, wyjątkowo ciężkiej pętli taktycznej zwyciężył zespół 12 Dywizji Zmechanizowanej, prowadzony przez por. Szczepana Tierentiewa.

W nowej formule, bo w tym roku zamiast drużyn startowały plutony, szczególnym wyzwaniem było dowodzenie zespołami, rozkładanie ich sił na liczącej około 80 km pętli.

Por. Tierentiew, od lat znakomity sportowiec w biegach na orientację i patrolowych, w rywalizacji zwiadowców był znany jako „król czwartych miejsc”. Radość była więc wielka! Nie ukrywa, że gdy dowiedział się o sukcesie w środku nocy, po obliczeniu wyników, nie mógł już spać do rana.

Rankiem porucznik chętnie o nim mówił: „Zwyciężył cały pluton, bo choć wydawał się zlepkiem indywidualności, działał jak jedna sprawna maszyna. Chciałoby się wszystkich żołnierzy wymienić i im podziękować, ale gdy już trzeba wybierać, to niezastąpiony był mój zastępca, weteran zawodów st. kpr. Piotr Kulczyński, siła napędowa zespołu. Podporę stanowili również weterani zmagających rozpoznawczych, st. szer. st. szer. Andrzej Grelewski, Emilian Trela, Karol Czerwiński i Dawid Zblewski.

Nie ustępowała im drużyna st. kap. Radosława Flisika, w niej st. szer. Marcin Kutra oraz st. szer. Adam Garbowski, którzy jako jedyny zespół wykryli wszystkie cele i precyzyjnie określili ich położenie. Wygranie tej ważnej konkurencji pozwoliło uwierzyć nam wszystkim w zwycięstwo. Przed pętlą taktyczną prowadziliśmy jednym punktem. Ten jeden punkt zmobilizował wszystkich do szaleńczego wyścigu, słowa stały się zbędne, nikt nie szczędził wysiłku, potu, ale przede wszystkim nóg. Czuliśmy oddech przeciwników na plecach, lecz nie oddaliśmy prowadzenia aż do mety. Co było najtrudniejsze? Czekanie na wyniki!”

PIOTR BERNABIAK (5)

kadr

DWUDNIOWA
PĘTLA TAKTYCZNA
WYCISKAŁA POT
ZE ZWIADOWCÓW,
A NADTO STANOWIŁA
SPRAWDZIAN
Z TAKTYKI,
Z GOSPODAROWANIA
WŁASNYMI SIŁAMI



**W NOWEJ FORMIE ZAWODÓW
SZCZEGÓLNYM WYZWANIEM BYŁO
DOWÓDZENIE ZESPOŁAMI**





JACEK SAGAN

Z płk. Andrzejem Różyńskim

o efektach reformy, zobowiązaniach sojuszniczych
i perspektywach dalszego rozwoju wojsk
rozpoznawczych i walki elektronicznej rozmawia Piotr Bernabiuk.

Jaki jest stan naszego rozpoznania po zmianach organizacyjnych i utworzeniu wojsk rozpoznawczych i walki elektronicznej?

Gdy na ostatniej konferencji dowódców i szefów ISTAR [Intelligence Surveillance Target Acquisition & Reconnaissance] w Danii przedstawiłem obecną strukturę rozpoznania i walki radioelektronicznej w Polsce, uczestnicy byli nią zaskoczeni i zafascynowani.

Gdzie jest skumulowany ten potencjał?

W Białymstoku, w 18 Pułku Rozpoznawczym, mamy sześć kompanii patrolowych i po trzy w pozostałych pułkach, czyli dwanaście kompanii rozpoznania lekkiego i średniego, stanowiących ogromny potencjał w rozpoznaniu patrolowym. Ponadto sześć kompanii dalekiego rozpoznania, również w pułkach, odgrywa bardzo ważną rolę, gdyż nieustannie zwiększa się zasięg środków rażenia.

Tyle że dziś rozpoznanie patrolowe to jedynie część sił rozpoznawczych...

Szkolimy także oficerów sztabu, zajmujących się analizami danych rozpoznawczych. W naszych trzech pułkach oficerowie na bieżąco przygotowują się do objęcia wyższych stanowisk. Tego często się nie dostrzega, ale bez doświadczonych sztabowców nie ma co marzyć o nowoczesnym rozpoznaniu.

Nowoczesne rozpoznanie to również zobowiązania sojusznicze. Na czym zatem polega ISTAR?

NATO nie ma własnych, autonomicznych struktur rozpoznania. Zakłada wykorzystanie potencjału armii państw współpracujących. Ważne jest zatem, by w działaniach sojuszniczych narodowe elementy wywiadu i rozpoznania do siebie pasowały. Poszczególne systemy muszą osiągnąć jednakową zdolność operacyjną, określaną właśnie jako ISTAR.

Przygotowania do utworzenia w naszym kraju brygady ISTAR rodzą obawę, że powstanie ona kosztem pułków rozpoznawczych.

Chciałbym tu przede wszystkim zwrócić uwagę na potencjał ludzki. Przeformowując pułk na batalion, wchodzący w skład planowanej brygady, możemy zachować mniej więcej taką samą liczbę pododdziałów bojowych. Batalion jednakże nie będzie miał już tak liczego sztabu i oficerów z wysokimi stopniami. Na stanowisku sztabowym będzie porucznik, maksymalnie kapitan, niemogący się równać wiedzą i doświadczeniem z podpułkownikiem w sztabie pułku. Takie obniżenie stopni na ważnych stanowiskach wpłynęłoby negatywnie na rozwój i przyszłość rozpoznania.

Czy zachwiałby się wówczas przyjęty model rozwoju tego rodzaju wojsk?

Posiadając sztabę średniego poziomu taktycznego, sztaby pułków i ośrodków rozpoznania radioelektronicznego, mamy zachowane wszystkie szczeble dowodzenia, a przy tym gwarancję odpowiedniego rozwoju i wzrostu jakości kadry.

Jeśli w tej drabinie pojawią się dziury, to przykładowo, na wysokim szczeblu będziemy mieli kapitana, który może sobie nie poradzić z zadaniami.

Czy można więc uformować brygadę dla ISTAR, nie naruszając potencjału pułków?

Takiej jednostki nie musimy nazywać brygadą, bo za tym słowem kryje się struktura brygadowa, zbyt sztywna organizacyjnie w wypadku wojsk rozpoznawczych i walki radioelektronicznej.

Jak więc możemy nazwać taką jednostkę?

Po prostu jednostką wojskową JISTAR [Joint Intelligence Surveillance Target Acquisition & Reconnaissance], jak uczyniono to w wojskach specjalnych. Wówczas będziemy mogli zachować stan posiadania, zachować pułki. Przy otwartej formule możemy coś zmodyfikować, dostosować na przykład do potrzeb NATO, bez przeszkód utworzyć grupę analiz średniego poziomu, słowem – zintegrować rozproszone elementy stosownie do współczesnych, ciągle zmieniających się potrzeb.

Czy nowa jednostka byłaby w Białymstoku?

To jest kwestia do dyskusji. Przy dzisiejszej komunikacji, a także ze względu na zasięg środków rażenia, trochę traci na znaczeniu to, czy jednostka jest ulokowana 100 km od potencjalnego przeciwnika, czy 400 km. Współczesna pełnowymiarowa wojna polegałaby przede wszystkim na uderzeniach na cele położone bardzo głęboko, na infrastrukturę krytyczną, a nie na bezpośrednim starciu na linii frontu.

Ile prawdy jest w opinii, że formując pułki, zabrano uszy i oczy dywizjom...

Oczywiście, przydałyby się bataliony rozpoznawcze w dywizjach, ale nie możemy mieć wszystkiego. Dziś każdy batalion ma pluton rozpoznawczy, każda brygada kompanię, do tego poszczególne kompanie z pułków rozpoznawczych są przypisywane do dywizji i szkolą się razem w czasie ćwiczeń. Jesteśmy więc w stanie doskonale zaspokoić potrzeby poszczególnych związków taktycznych, jednocześnie mając niezbędny potencjał dla poziomu operacyjnego.

A jaki jest efekt integracji rozpoznania?

Z chwilą, kiedy przeszliśmy na nowy system JISTAR, wykonaliśmy też skok mentalny w samym sposobie pracy. Odeszliśmy od rozpoznania na rzecz rodzajów wojsk. Użytkaliśmy na przykład lepszą jakość i szybkość rozpoznawania celu oraz potwierdzania jego wyników z różnych źródeł. Mamy też wspólne bazy danych i zarządzanie zintegrowaną informacją. To są nowe wartości, osiągnięte przez ostatnie półtora roku od czasu wprowadzenia reformy.

Przeformowanie wojsk to nie wszystko. Konieczne jest też odpowiednie wyposażenie żołnierzy. Czy nadal trzeba się zmagać z biedą?

Zacznę od narzekania. W rozpoznaniu kluczową sprawą jest czas, a nas nie ograniczają finanse, lecz wydłużone procedury pozyskiwania sprzętu, które przyczyniają się do tzw. moralnego starzenia się technologii. Nie chcę jednak, aby rozmowy o sprzęcie dotyczyły tylko wprowadzania nowości.

Z chwilą, kiedy przeszliśmy na nowy system JISTAR, wykonaliśmy też skok mentalny w samym sposobie pracy – odeszliśmy od rozpoznania na rzecz rodzajów wojsk

Bo ciągle macie stary sprzęt...

Boli, że nadal mamy beerdeemy i bewuery [BRDM, BWR – bojowe wozy rozpoznawcze]. Ale je mamy i one jeżdżą, a perspektywa otrzymania nowej platformy gąsienicowej, na której moglibyśmy zamocować systemy rozpoznawcze, jest odległa. Współpracując z Inspektorem Wsparcia Sił Zbrojnych, zajmujemy się zatem łataniem dziur.

Czy jest to nieustająca modernizacja?

W dość dramatycznej już sytuacji wspólnie opracowaliśmy zasady nie tyle modernizacji – bo na to jest potrzebna nowa dokumentacja, wydłużająca proces w czasie – ile modyfikacji sprzętu przeznaczonego do remontu. Dzięki temu od przyszłego roku będziemy mieli pierwsze gotowe do użytku bewuery z lepszymi systemami, chociażby ze stacją radiolokacyjną taktycznego rozpoznania pola walki, z urządzeniami dalmierzowymi, pomiarowymi, do autonawigacji, rozpoznania skażeń czy łączności.

A co z nowym sprzętem? Widać jakieś światło w tunelu?

Podpisano umowy na kołowy LOTR (lekki opancerzony transporter rozpoznawczy) w kilku wersjach, bo również z systemem bezwieżowym i bezzałogowym, z nowymi systemami uzbrojenia, w wersji 6x6 o wysokiej mobilności.

A co z bezzałogowcami?

Mamy nadzieję na wprowadzenie jeszcze w tym roku lądowego bezzałogowego systemu rozpoznawczego Tarantu →

la. W zależności od zamontowanych sensorów, będziemy mogli używać go do rozpoznania, a także do niszczenia ważnych obiektów. Podczas zgrupowania poligonowego mieliśmy też pokaz bezzałogowych środków latających Koliber, które mogą rozpoznawać obiekty, a po wyposażeniu w ładunki kumulacyjne (EFP) o bardzo dużej sile rażenia – też je niszczyć.

Czyli dla nowoczesności nie ma alternatywy?

Rozwiązaniem jest ucieczka do przodu, jak najszybciej do nowoczesności. Musimy pamiętać również o tym, że siły i środki potencjalnego przeciwnika nie są jednorodne. Nie możemy pochopnie wycofywać starych elementów, bo często są niezbędne i jedyne do prowadzenia rozpoznania w danym paśmie czy w systemach, które u niego funkcjonują.

Czyli nie przejdzie do przeszłości zwiadowca z lornetką, wypatrujący przeciwnika?

Zwiadowca nadal ma lornetkę i wypatruje przeciwnika, ale zajmuje się również wyszukiwaniem, określaniem i nomenkowaniem celów, nadawaniem im priorytetów, przypisywaniem do konkretnych sił i środków rażenia, ogniowych lub elektronicznych. Współpracując z artylerią, czołgami czy lotnictwem, nie tylko naprowadzi środki ogniowe, lecz także odpowie na pytanie, jakiego rodzaju uzbrojenia, powierzchniowego czy precyzyjnego, ma użyć pilot dolatujący do celu. To jednak nie wszystko. Musi też określić skutki uderzenia, bo bez tego nie wiemy, czy osiągnęliśmy cel.

Na zwiadowcę jest więc nakładana wielka odpowiedzialność.

Tak, bo od niego zależą również ewentualne skutki uboczne uderzenia, a nikt go nie zwolni z przestrzegania prawa, szczególnie podczas misji stabilizacyjnych poza granicami kraju, gdzie nie jesteśmy stroną walczącą. W takiej sytuacji, w takim stopniu, w jakim jest to możliwe, unikamy prowadzenia ognia, zarówno ze względów humanitarnych, jak i z powodu skutków prawnych. Jeśli zatem zdecydujemy się na uderzenie, musimy wszystko mieć starannie udokumentowane.

Jakie najważniejsze zadanie stoi obecnie przed wojskami rozpoznawczymi i walki elektronicznej?

Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni, sformowany na podstawie umów między Polską, Niemcami i Danią, powinien w krótkim czasie osiągnąć wyższą gotowość operacyjną w ramach NATO. Aby do tego doszło, powinien na bieżąco dostawać odpowiednie informacje. Dotyczy to również szpicy NATO (Very High Readiness Forces – VJTF). Tworzymy także nową jakość rozpoznania obrazowego IMINT (Imagery Intelligence), w tym satelitarnego. ■

PEŁK ANDRZEJ RÓŻYŃSKI JEST SZEFEM
ZARZĄDU ROZPOZNANIA I WALKI
ELEKTRONICZNEJ DOWÓDZTWA
GENERALNEGO RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

MICHAŁ PIETRZAK

Ubiorczy dylemat

Właśnie zaprzepaściliśmy
szansę przywrócenia
szczególnie bliskiego polskiej
tradycji wojskowej
przedwojennego kroju
munduru galowego.

Dla wielu żołnierzy wprowadzenie nowego wzoru ubiorów galowych było sporym zaskoczeniem. Warto zatem przyrzeć się temu wydarzeniu. Okazuje się bowiem, że w przeciwieństwie do oficjalnie publikowanych na łamach prasy oraz w witrynach internetowych peanów, opinie na temat nowego munduru nie są aż tak przychylne. Świadczą o tym posty czytelników pod artykułami, gdzie negatywnych wypowiedzi jest znacznie więcej niż pozytywnych. „De gustibus non est disputandum”, głosi sentencja, zatem moje votum separatum nie będzie dotyczyć oceny wyglądu nowego ubioru galowego, do którego za jakiś czas się przyzwyczaimy, lecz samej koncepcji oraz trybu jego wprowadzania.

TRADYCJA LUB NOWOCZESNOŚĆ

Pytanie pierwsze, które należy zadać, brzmi: dlaczego wprowadzeniu nowego kroju nie towarzyszyła szersza debata publiczna? Wszak ubiór wojskowy, szczególnie galowy, jest ważnym symbolem. Oglądając przedwojenne zdjęcia, łatwo identyfikujemy żołnierzy po charakterystycznym dla tego okresu mundurze wzór 1919 (i po jego późniejszych odmianach), który zaprojektowano w trakcie wojny polsko-bolszewickiej i który uosabiał nasze piękne zwycięstwo w tym starciu.

Założenie, kształt i ostateczny wygląd nowego munduru galowego powstały w zaciszu Pracowni Umundurowania Wojskowego Ośrodka Badawczo-Wdrożeniowego oraz Szefostwa Służby Mundurowej Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych. Nie towarzyszyła temu żadna szersza, ogólnie dostępna w przestrzeni publicznej dyskusja, co jest nie do przyjęcia, gdyż mundur jako symbol nie jest sprawą tylko wąskiego

grona specjalistów służby mundurowej. Kontrastuje to z wzorcowym sposobem prac nad mundurem polowym wzór 2010, które przeprowadzono z udziałem specjalistów cywilnych, a także żołnierzy, a ich przebieg był na bieżąco relacjonowany na łamach prasy militarnej.

W 2012 roku, w czasie Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego przedstawiono dwa warianty nowego munduru i zbierano opinie. Dwa projekty to jednak bardzo mało. Ostatecznie wprowadzony wzór jest nieco zmodyfikowaną wersją jednego z tych dwóch prototypów. Dlaczego nie zorganizowano na przykład konkursu, jak w wypadku obywatelskiego projektu „Rogatywkę czas nosić”?

Kolejne pytanie bezpośrednio wynika z poprzedniego: dlaczego, wprowadzając nowy mundur galowy, zaprzeczono możliwość powrotu do modelu krojem przypominającego ten z czasów II Rzeczypospolitej? Można bowiem w tej dziedzinie pójść dwiema drogami. Jedną to stworzenie munduru nowoczesnego, o ciekawym wyglądzie, z zamiarem podkreślenia dążeń sił zbrojnych do pójścia z duchem czasu. Tę metodę wybrali w 1935 roku Niemcy. Podobnie postąpili w 2008 roku Rosjanie. Warto zaznaczyć, że w obu wypadkach w pracach nad umundurowaniem brali udział znani projektanci mody. Najbardziej awangardowym ubiorem galowym jest wprowadzany w siłach powietrznych USA ceremonial uniform, mający podkreślać nowoczesność tej formacji.

Druga droga to stworzenie takiego munduru, który krojem i barwą nawiązywałby do czasów świetności danych sił zbrojnych. Amerykański army service uniform, będący odpowiednikiem naszego munduru galowego, jest granatowy, a oficerowie noszą oznaczenia swoich stopni w taki sam sposób, jak w okresie wojny secesyjnej, w której ugruntowała się amerykańska tradycja militarna.

Pięknym przykładem wykorzystania munduru do krzewienia tradycji jest brytyjski full dress uniform. W siłach zbrojnych Wielkiej Brytanii oraz wielu krajach Wspólnoty Narodów mundur galowy nawiązuje do epoki wiktoriańskiej, gdy armia, obok floty, była podporą brytyjskiej hegemonii. Zaznaczyć należy, że mundury są zróżnicowane w zależności od rodzaju wojsk, a nawet konkretnych jednostek. Stanowią emanację tradycji wojskowych, wizytówkę państwa (wszak każdy rozpoznaje charakterystycznych wartowników gwardii w czerwonych kurtkach i czarnych niedźwiedziach czapkach) oraz są elementem protokołu dyplomatycznego dworu dynastii panującej.

Trudno znaleźć odpowiedź na pytanie, do czego swoim wyglądem nawiązuje nowy polski mundur galowy. Król nie przystaje ani do mundurów przedwojennych, ani do tych wykorzystywanych przez polskich żołnierzy we Francji

i w Wielkiej Brytanii, gdzie z konieczności przerabiano na nasze potrzeby zapasy gospodarzy. Układ i wygląd kieszeni nie odpowiadają żadnemu ze znanych wzorów. Wprowadzono za to kolorowe patki na kołnierzach, które w wojsku na obczyźnie nosili tylko generałowie i oficerowie dyplomowani. Do tego połączono je z korpusówkami, wywodzącymi się z Wojska Polskiego z okresu PRL-u. Nowy mundur nie jest ani nowoczesny, ani nie nawiązuje krojem do ubiorów historycznych.

Z SZABLĄ U BOKU

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku żołnierze Jednostki Wojskowej GROM podjęli próbę odnowienia tradycji noszenia mundurów galowych nawiązujących krojem do polskiego wzoru 36. Występowali w nich publicznie podczas świąt państwowych. Szkoda, że ta idea nie została podchwyciona i wprowadzona w życie. Można było przywrócić do świadomości publicznej wizerunek żołnierza polskiego z okresu, gdy nasze wojsko nie było poddane wpływom sowieckim. Byłaby to świetna okazja ku temu, by wprowadzić mundur bazujący na kroju przedwojennym z granatowymi spodniami (szaserami), pasem galowym, a nawet szablą, z którą występują żołnierze Wielkiej Brytanii i USA, polscy zaś – nie.

Ostatnie pytanie dotyczy zasadności wprowadzania nowego munduru galowego. Skoro nie nawiązuje on do tradycji największych osiągnięć Wojska Polskiego (czym niewątpliwie było zwycięstwo w 1920 roku), a dotychczas stosowany

cieszył się estymą społeczną i bardzo dobrze się prezentował, to czy wprowadzanie nowego było zasadne? Czy naprawdę jest aż tak potrzebny? Pytanie to jest jednym z częściej zadawanych na forach internetowych.

Koszty wprowadzenia kolejnego rodzaju umundurowania można było spożytkować na bardziej potrzebne żołnierzom elementy ubioru polowego, na przykład softshelle czy czapki polowe. Oczywiście wydatki zwią-

zane z kupnem nowego zestawu poniosą żołnierze z przyznawanych im równoważników mundurowych, ale warto zaznaczyć, że w praktyce strój ten będzie używany tylko przez przedstawicieli sztabów i kadre oficerską, bo w jednostkach liniowych żołnierze na ogół uczestniczą w uroczystościach w szyku w mundurach polowych, a wojskowe oddziały gospodarcze mają ogromne problemy z wyposażeniem szeregowych i podoficerów w dotychczas obowiązujące elementy umundurowania, nie wspominając o nowych. ■

KPT. MICHAŁ PIETRZAK SŁUŻY W 12 DYWIZJI ZMECHANIZOWANEJ.



KPT. JAKUB RYCHCIŃSKI

W wojsku służy od: 2000 roku.



Data i miejsce urodzenia:
16 marca 1980 roku,
Wrocław.

Tradycje wojskowe: dziadek był członkiem AK, ale nie zdążyłem z nim o tym porozmawiać.

Stanowisko: dowódca kompanii.

Jednostka wojskowa: Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych im. gen. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu.

Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: zreorganizowałbym częściowo system kształcenia przyszłych oficerów.

Zostałem żołnierzem, bo:
zawsze lubiłem wyzwania i ekstremalne warunki.



Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś instruktorem sportów ekstremalnych.

Edukacja wojskowa: w latach 2000–2004 Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych, specjalność dowodzenie wojskami zmechanizowanymi (studia inżynierskie); 2015 – studia podyplomowe w WSOWL w dziedzinie zarządzania kryzysowego w systemie bezpieczeństwa państwa.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się: to, że ciągle się zmienia.



Przełomowe wydarzenie w życiu:
narodziny córki Maliny.

Misje i ćwiczenia: do tych najważniejszych należą ćwiczenia w ramach „Partnerstwa dla pokoju” w Armenii w 2003 roku, IV zmiana misji w Iraku w 2005 roku oraz VIII zmiana misji ISAF w Afganistanie w 2010 roku.



Moja książka życia: jest ich wiele, ale duże wrażenie wywarło na mnie „Akwarium” Wiktora Suworowa.

Niezapomniany film: „Black Hawk Down”.



Ścieżka dźwiękowa z tego filmu towarzyszyła mi przez całą misję w Iraku.

Najlepsza broń: niezawodny kbk AKMS.



Co robię po służbie: jeżdżę na motocyklu, latam na „kajcie” lub jeżdżę na desce. Podobno także dobrze gotuję.

JAROSŁAW
RYBAK

Nostalgiczny weekend

PO KRÓTKIM POBYTCIE
W **WOJSKOWYM DOMU**
WYPOCZYNKOWYM WIEM, ŻE
NADAL SĄ W POLSCE MIEJSCA
ŻYWCEM WYJĘTE Z FILMÓW
STANISŁAWA BAREI



Dotarliśmy do celu w piątek ciut po godz. 19. Recepcjonistka w WDW zapytana o restaurację wyjaśniła, że najbliższy posiłek jest planowany następnego dnia od 8.00, gdyż stołówka wydaje kolacje do 18.00. Dziwna to polityka kierownictwa obiektu mogącego pomieścić 400 gości. Każdy z nich, chcąc cokolwiek zapełnić żołądek, musi zostawić pieniądze u konkurencji. Na pocieszenie usłyszeliśmy, że w zamian za kolację możemy dostać suchy prowiant. Ostatecznie wymieniliśmy piątkową kolację na niedzielny obiad. Jak to w wojsku: sztuka jest sztuka. Nie zjadłeś po przyjeździe, zjesz przed wyjazdem.

Apartament prezentował się wytwornie: salon, duża sypialnia, aż dwie łazienki. Schłodnie i czysto. Do tego z balkonu piękny widok na Giewont i Czerwone Wierchy. Do relaksu zachęcały szklanki, kieliszki do wina i wódki. Żona chciała się napić herbaty. Niestety, obok eleganckiego czajnika nie było jakiegokolwiek saszetki z herbatą czy kawą. Brakowało też najmniejszej butelki z wodą mineralną. Spałem już w kilku apartamentach, stąd wiem, że woda, kawa i herbata (jako dodatek do czajnika) powinny być standardem.

Na pocieszenie w jednej z łazienek był prysznic z hydromasażem. Super! Tylko że drzwi się nie domykały. Żeby woda nie zalewała podłogi, strumień należało zablokować własnym ciałem. Jako osobnik o nie najdrobniejszej budowie, nie miałem z tym problemu. Ale broniąc łazienki przed wodą, mogłem masować tylko prawą część pleców. Żona stwierdziła jednak, że bym nie narzekał, bo lepsza jedna zrelaksowana strona niż żadna. Przy okazji przypomniało mi się, że bohater filmu „Nie ma róży bez ognia” w jednej ze scen też stał się częścią instalacji hydraulicznej...

Rano w stołówce usiedliśmy przy pierwszym wolnym stoliku. Zawartość obfitego szwedzkiego stołu okazała się smaczna. Śniadaniową sielankę przerwała pani kelnerka, która głosem odbiegającym od dyskretnego, poinformowała, że zajęliśmy nie swój stół. I tu poznaliśmy kolejną tajemnicę WDW: goście są ściśle przyporządkowani do miejsc. Siedzimy więc jak trusie, gdy pani głośno zastanawia się, co robić, a pozostali stoółkowicze zmuszeni są tego słuchać. Na domiar złego pojawiają się prawowici użytkownicy stolika. Bojąc się wywodu dotyczącego zabrudzenia obrusa, dyskretnie zasłaniałem łokciem zastanę płamę. Ostatecznie skończyło się lepiej niż dla jednego z bohaterów „Misia”, konsumującego kaszę w barze mlecznym...

To WDW ma kapitalną lokalizację, wyremontowane wnętrza, potencjał. Ale czegoś tam brakuje. Znajomy generał, znający się na zarządzaniu (wiem, dla wielu czytelników zestawienie „generał” i „zarządzanie” brzmi niewiarygodnie), stwierdził, że może jest to oferta wynikająca z modelu biznesowego skierowanego do ludzi, którzy w latach młodości urlopy spędzali w WDW. Jeżdżą tam z nostalgii. Dobrze znana atmosfera daje im poczucie bezpieczeństwa, a schludne wnętrza – komfortu. Być może. Ale właśnie dlatego klienci przyzwyczajeni do oferty „sektora cywilnego” mogą przyjechać tam dwa razy: pierwszy i ostatni. Nie wszystkim odpowiada pobyt w muzeum inspirowanym filmami Barei. ■

JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

| PRZEGLĄD |

TADEUSZ WRÓBEL

AZJATYCKI POTENTAT

Indie starają się ograniczyć swą zależność od importu uzbrojenia i sprzętu wojskowego, ale ich przemysł obronny nie ma możliwości, by produkować broń bez wsparcia z zagranicy.



→ U.S. NAVY

W

edług Międzynarodowego Sztokholmskiego Instytutu Badań nad Pokojem, w latach 2010–2014 wartość indyjskiego importu wzrosła o 140% w stosunku do poprzedniej pięcioletki. Hindusi, którzy są jednym z największych importerów uzbrojenia na świecie, zamawiają broń i sprzęt wojskowy w Europie, Stanach Zjednoczonych, Izraelu oraz Rosji, ale są też zain-

teresowani rozwojem kooperacji w przemyśle zbrojeniowym z państwami azjatyckimi, jak Japonia, Republika Korei czy Singapur. Indyjski rynek jest nęcący, ale też trudny. Firmy, które chcą na niego wejść, muszą liczyć się z silną rywalizacją o każdy kontrakt. Procedury przetargowe trwają bardzo długo, po czym zdarza się, że przetarg jest anulowany z różnych powodów. Jednak, gdy dochodzi do jego realizacji, to Indie najczęściej zawierają umowy, które obligują zagraniczne podmioty do transferu technologii i produkcji większości zamówionego sprzętu na ich terytorium.

WIELKIE ZAKUPY

Dziennik „Hindustan Times” poinformował 26 maja 2015 roku, że ministerstwo obrony dało zielone światło dla zawarcia dwóch ważnych kontraktów dla indyjskich sił powietrznych. Obie transakcje, zaakceptowane przez radę zamówień obronnych, dotyczą śmigłowców produkowanych przez amerykański koncern Boeing – 22 śmigłowców uderzeniowych AH-64D Apache Longbow i 15 transportowych CH-47F Chinook. Wartość tych kontraktów jest szacowana na 3,1 mld dolarów. Każdy zaakceptowany kontrakt zawiera opcję zwiększenia zamówienia. W przypadku AH-64D w grę wchodzi 11 dodatkowych maszyn, a chinooka – cztery.

Decyzja ministerstwa obrony jest tylko jednym z etapów prowadzących do podpisania ostatecznych umów. Teraz kontrakty analizuje resort finansów. Jeśli jego rekomendacja będzie pozytywna, to trafią one do rządowego komitetu bezpieczeństwa, któremu przewodzi premier Narendra Modi, i to gremium podejmie ostateczną decyzję.



Resort obrony zaakceptował zakup w USA 145 ultralekkich haubic M777 kalibru 155 mm.

Dla Amerykanów kontrakty, oprócz wymiaru ekonomicznego, mają również znaczenie polityczne i prestiżowe. Od pewnego czasu Indie wyrastają na jednego z głównych partnerów, a w przyszłości być może sojuszników, w Azji. Tym, co zbliża obie strony, jest rosnąca potęga Chin. Prestiżu kontraktom na śmigłowce Apache i Chinook przysparza fakt, że produkty Boeinga pokonały na rynku indyjskim maszyny rosyjskie, bojowego Mi-28N Light Hunter i transportowego Mi-26.

Również w maju resort obrony zaakceptował zakup w USA 145 ultralekkich haubic M777 kalibru 155 mm (armia indyjska nabędzie też 114 krajowej konstrukcji ciągnionych haubic Dhanush kalibru 155/45 mm). Od czasu podpisania w 2005 roku amerykańsko-indyjskiej umowy ramowej o współpracy obronnej, USA stały się ważnym dostawcą broni dla azjatyckiego giganta. W ostatnich sześciu latach Amerykanie zdobyli indyjskie zamówienia o wartości ponad 10 mld dolarów. Hindusi kupili od nich między innymi samoloty transportowe C-130J Super Hercules oraz morskie patrolowe i zwalczające okręty podwodnych P-8I Poseidon.

Niemniej jednak władze Indii pozostają wierne zasadzie dywersyfikacji dostawców uzbrojenia. Dlatego intratne zamówienia trafiają też do jego producentów w Europie. I tak w maju ministerstwo obrony zaakceptowało plan zakupu 56 śred-



Nowe Delhi, na podstawie bezpośredniego kontraktu z rządem Francji, zamierza kupić 36 maszyn Rafale „zdolnych do latania”.

DAMIAN FIGAJ

nich samolotów transportowych Airbus C-295M za 1,86 mld dolarów oraz około 200 lekkich śmigłowców wielozadaniowych Kamov Ka-226T za 469 mln dolarów (wcześniej podawano, że zostaną zakupione 133 maszyny dla wojsk lądowych i 64 dla sił powietrznych).

KLUCZOWA ZASADA

Przy zawieraniu dużych nowych kontraktów indyjskie władze preferują zasadę „make in India” lub „buy and make (Indian)”, co oznacza, że większość zakontraktowanego uzbrojenia i sprzętu wojskowego ma powstać w ich kraju. Hindusi chcą w ten sposób ograniczyć bardzo niebezpieczne pod względem politycznym gigantyczne uzależnienie od importu uzbrojenia. Premier Modi ujawnił, że zagraniczne dostawy zaspokajają około 60% potrzeb obronnych Indii.

Przykładem tego jest planowany zakup średnich samolotów transportowych. Ich dostawcą ma być konsorcjum utworzone przez europejski koncern Airbus i miejscowy Tata. Zamówienie ma wymiar historyczny, bo po raz pierwszy dostawcą statków powietrznych dla lotnictwa wojskowego będzie indyjska firma prywatna, a nie państwowa wytwórnia Hindustan Aeronautic Limited (HAL). Według planu, 16 samolotów C-295 zostanie wyprodukowanych w hiszpańskich zakładach Airbusa, a pozostałe 40 w Indiach w ciągu ośmiu lat. Zastąpią one w indyjskich siłach powietrznych stare maszyny Avro HS748. Firma Tata Advanced Systems stworzyła już konsorcjum z amerykańskim koncernem Lockheed Martin, które ma produkować komponenty do samolotów C-130J.

Zgodnie z zasadą „make in India” będzie realizowana też dostawa lekkich śmigłowców wielozadaniowych Ka-226T. W tym wypadku partnerem po stronie indyjskiej jest koncern HAL, mający od dziesięcioleci bardzo silne związki z przemysłem lotniczym Rosji.

Wskazano, że lekkie śmigłowce wielozadaniowe dla wojsk lądowych i sił powietrznych będą pochodzenia rosyjskiego, ale ich zachodni producenci liczą na inne zamówienia ze strony indyjskiego ministerstwa obrony. Nadzieje pokładają w zapowiedzianym zakupie 123 wielozadaniowych śmigłowców morskich, które zastąpią maszyny Chetak. Jak dotąd, zgodnie z wcześniejszą procedurą Hindusi postanowili nabyć 16 maszyn Sikorsky S-70B. Według mediów indyjskich, 11 prywatnych firm rozmawia z zagranicznymi partnerami w sprawie stworzenia konsorcjów. W grę wchodzi śmigłowce zakładów Airbus Helicopters, Bell Helicopters i AgustaWestland.

Podczas gdy inni próbują wejść na indyjski rynek, swą pozycję na nim umacnia BAE Systems UK, który podpisał umowę w sprawie modernizacji sprzedanych tam wcześniej szkolnych odrzutowców Hawk Mk.132. Brytyjczycy mają wesprzeć Hindusów w opracowaniu wersji bojowej hawka, zarówno dla ich sił powietrznych, jak i na eksport. Samolot ten będzie odgrywał rolę lekkiego myśliwca uzbrojonego między innymi w kierowane pociski rakietowe powietrze–powietrze oraz broń do atakowania celów naziemnych.

Dążenie obecnych władz Indii do wzmocnienia rodzimej zbrojeniówki doskonale odzwierciedla decyzja, zgodnie z którą w przyszłości zamówienia na nowe okręty wojenne będą loko-





INDIAN ARMY

Prawie 75% czołgów Arjun Mark-1 z 124 wszystkich wozów tego typu nie jest eksploatowanych.

wane tylko w stocznich krajowych, zarówno państwowych, jak i cywilnych. Media indyjskie szacują wartość kontraktów na 50 mld dolarów w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Wszystko wskazuje na to, że największym beneficjentem tej decyzji ministerstwa obrony będą stocznie prywatne, państwowe bowiem już mają pełne ręce roboty. Sektor prywatny dostał bowiem, jak dotąd, tylko kilka zleceń. Do indyjskich stocznik trafia kontrakty między innymi na budowę siedmiu fregat rakietowych i sześciu atomowych okrętów podwodnych za 16 mld dolarów, 12 okrętów przeciwminowych za 5 mld dolarów i 16 jednostek zwalczania okrętów podwodnych za 2,5 mld dolarów. Niemniej jednak, jak zauważają emerytowani starsi oficerowie indyjskiej marynarki wojennej, nie uda się uniknąć zakupów za granicą kluczowych systemów, które będą montowane na okrętach.

Nie wszystkie zamierzenia przynoszą oczekiwany efekt. Przykładem są długoletnie negocjacje z francuską firmą Dassault Aviation w sprawie kontraktu na 126 samolotów wielozadaniowych Rafale. Indie miały wyprodukować u siebie 108 egzemplarzy. Tymczasem w kwietniu tego roku premier Modi ujawnił inny plan – zakupu 36 maszyn Rafale „zdolnych do lądowania” na podstawie bezpośredniego kontraktu z rządem Francji. Tym samym byłoby to odstępstwo od zasady lokowania produkcji w Indiach. Co więcej, transakcja ma być nieopodatkowana.

PROBLEM Z JAKOŚCIĄ

Jednym z ważniejszych wyzwań, które stoją przed indyjskim przemysłem obronnym, jest poprawa jakości jego produktów. Problemem są też wlokące się latami prace badawczo-rozwojowe. Przykładem jest prowadzony od 30 lat program lekkiego samolotu bojowego Tejas, który ma zastąpić leciwie myśliwce MiG-21. Na początku maja rządowa inspekcja – Comptroller and Auditor General – przedstawiła parlamentowi bardzo krytyczny raport o tej maszynie. Według kontrolerów samolot Tejas Mark-1 ma sporo niedociągnięć i nie spełnia wymagań indyjskich sił powietrznych. Wskazano na niewystarczające możliwości w dziedzinie walki elektronicznej. W porównaniu z założeniami projektu wzrosła masa samolotu, a zmniejszyły się prędkość i ilość paliwa w zbiornikach. Do tego sama instalacja paliwowa nie ma wystarczającej ochrony. Według kontrolerów wstępną gotowość operacyjną udało się osiągnąć 20 grudnia 2013 roku dzięki całkowitej rezygnacji z 20 wymogów oraz czasowej z 33 innych. Konsekwencją był spadek możliwości operacyjnych i przetrwania, a zatem użycia bojowego.

Wieloletnie opóźnienia w dostawach tej maszyny wymusiły na siłach powietrznych konieczność zmodernizowania samolotów MiG-29, Jaguar i MiG-21BIS oraz dalsze utrzymywanie starszych wersji MiG-21. Możliwe, że plany stworzenia bojowego hawka mają związek z rosnącym sceptycyzmem wobec przyszłości krajowej konstrukcji lekkiej maszyny bojowej.

Dziesiątki lat (od 1974 roku) trwa też program, z którym co chwila są kłopoty, indyjskiej konstrukcji czołgu podstawowego Arjun Mark-1. „Prawie 75% czołgów ze 124 egzemplarzy, które są w armii, jest uziemione”, uważa jeden z wojskowych, cytowany w artykule zamieszczonym na początku maja tego roku na portalu Defense News. Jako powody wskazano kłopoty techniczne oraz brak części zamiennych z importu. Zagraniczne komponenty stanowią 55% wartości czołgu. Tak więc arjun jest rodzimy tylko z nazwy.

Przedstawiciele indyjskiej zbrojeniówki wskazują na inne dziedziny, które powodują, że kraj ten pozostaje uzależniony od komponentów z importu. T. Suvarna Raju, nowy szef HAL, widzi lukę, która blokuje rozwój przemysłu lotniczego w Indiach, w braku krajowej produkcji zaawansowanych materiałów, takich jak kompozyty, tworzywa sztuczne i stopy metali odporne na wysokie temperatury. Podkreśla on, że należy działać dwutorowo – zyskiwać technologie dzięki zasadzie „produkuj w Indiach” i je rozwijać, a jednocześnie zwiększać zdolności produkcyjne krajowych zakładów. Szef HAL wezwał, aby w tej sprawie połączyć wysiłki ośrodków rządowych i pozarządowych działających w dziedzinie obronności, kosmonautyki i energii atomowej, aby nie marnować zasobów na dublujące się prace. Uważa on również, że w odniesieniu do zaawansowanych materiałów jest konieczna bardzo bliska współpraca pomiędzy przemysłem i nauką.

Innym problemem jest nieufność indyjskich wojskowych wobec produktów rodzimych. Niektórzy przedstawiciele przemysłu twierdzą, że wynika to z zapatrzenia się na Zachód. „Siły zbrojne nie są do przyjmowania sprzętu, o którym nie ma informacji, że jest używany operacyjnie. Indyjskie firmy nie mogą tego zapewnić”, uważa cytowany przez Reutersa Bharat Karnat z Center for Policy Research w Nowym Delhi. Nie brakuje też opinii, że dostęp do nowych zagranicznych technologii ogranicza obowiązujące w Indiach prawo dotyczące udziałów zagranicznych podmiotów w tamtejszych spółkach przemysłu obronnego. Co prawda, wielkość tych udziałów przed rokiem zwiększono z 26% do 49%, ale firmy z zagranicy nie są skłonne do transferu swych najbardziej zaawansowanych technologii, gdy nie mają możliwości zachowania nad nimi pełnej kontroli. ■

PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ

STANISŁAW TOŁWIŃSKI
Prezes Aeroklubu Krainy Jezior

&

WOJCIECH IWASZKIEWICZ
Burmistrz Giżycka

zapraszają na...



1-2.08.2015
Giżycko - j. Niegocin

Patronat Honorowy - Premier Ewa Kopacz



Patron medialny:

polskaZbrojna

Pokazy komentuje
Tadeusz Szuk
AirShow Radio 90,1 MHz



www.lotniskoketrzyn.pl
www.mazuryairshow.pl

Odbywający się co dwa lata na terenie paryskiego lotniska Le Bourget Air Show to obecnie największa, a w ocenie większości ekspertów również najważniejsza, impreza branży lotniczej na świecie. Jej początki były jednak bardzo skromne. W 1908 roku organizatorzy targów motoryzacyjnych, aby uatrakcyjnić swoją imprezę i przyciągnąć dodatkowych zwiedzających, postanowili pokazać na niewielkiej wystawie również nowość – aeroplany.

Zainteresowanie nimi okazało się jednak tak wielkie, że rok później Francuzi postanowili nie tylko oddzielić oba wydarzenia, lecz także przenieść salon lotniczy w bardziej „reprezentacyjne” miejsce – do hali Grand Palais, którą w 1900 roku zbudowano na potrzeby wystawy Expo. Przez kilka edycji paryska impreza była królestwem wyłącznie awiacji francuskiej. Pierwszych zagranicznych gości, Niemców i Anglików, zaproszono do udziału dopiero w 1924 roku. Wtedy to Air Show Paris przyjął nazwę Międzynarodowy.

Na paryskie lotnisko w Le Bourget impreza przeniosła się po II wojnie światowej, w 1951 roku. Zdecydowały o tym względy organizacyjne – coraz większa liczba wystawców, oraz praktyczne – widzowie i wystawcy chcieli podziwiać samoloty i śmigłowce także w locie.

i Hercules C-130, znajdzie wielu klientów. Atutem ma być cena – około 20–25 mln dolarów.

„Opracowana przez nas maszyna jest dwa razy tańsza od samolotów zachodnich. Model, który pokazujemy tutaj, to wersja z naszymi, ukraińskimi silnikami i awioniką. Ale jeśli kupiec sobie zażyczy, to możemy zainstalować wskazany przez niego napęd i elektronikę”, zapewniał na paryskim Air Show przedstawiciel firmy ukraińskiej.

O tym, że zainteresowanie An-178 jest spore, świadczy fakt, iż firma już może się pochwalić pierwszymi zamówieniami. Azerskie konsorcjum Silkway Group zakontraktowało zakup dla linii Silkway Airways dziesięciu maszyn tego typu. Wstępne porozumienie na dostawę dwóch An-178 podpisano również z chińską firmą Beijing A-Star Aerospace and Technology.

Ukraińcy zapowiedzieli również podczas paryskich targów, że zamierzają rozbudować swoją ofertę o jeszcze większą maszynę, An-188, która ma zabierać na pokład 40 t ładunku i tym samym być konkurencją dla europejskiego Airbusa A400M.

TNIEMY KOSZTY

Propozycje ukraińskie idealnie wpisują się w trend, który zdominował tegoroczny 51. Paris Air Show, a mianowicie „cię-

KRZYSZTOF WILEWSKI

Trendy i nowości paryskie

Paris Air Show po raz kolejny udowodniło swój globalny prymat wśród lotniczych imprez targowych. Największą nowością był zaprezentowany po raz pierwszy publicznie najnowszy transportowiec ukraińskiego Antonova, An-178.

W tegorocznym, 51. Międzynarodowym Salonie Lotniczym w Paryżu wzięło udział 2260 wystawców z 47 krajów. Oznacza to, że po raz kolejny organizatorom, zrzeszeniu francuskich firm lotniczych i kosmicznych – GIFAS, udało się zwiększyć liczbę zakładów prezentujących w stolicy Francji swoje wyroby. Dwa lata temu było ich 2215. „Niesłabnące zainteresowanie przedsiębiorstw salonem w Le Bourget udowadnia, że to obecnie najważniejsza na świecie impreza wystawiennicza branży lotniczej”, podkreślał Marwan Lahoud, prezes GIFAS.

Jak zwykle, firmy z branży lotniczej zaprezentowały na paryskich targach swoje najnowsze produkty. Sporą część z nich pokazano publicznie po raz pierwszy. Światową premierę miał w Paryżu między innymi nowy transportowiec ukraińskiej firmy Antonov, noszący oznaczenie An-178. Prototypowy samolot pierwszy lot odbył 1 maja. Ukraińcy liczą na to, że statek powietrzny, który powstał na bazie udanej rodziny pasażerskich maszyn An-148/158, lokujący się pod względem ładowności pomiędzy takimi konstrukcjami, jak C-27



KRZYSZTOF WILEWSKI

cie wydatków”. Dla wojska największe światowe firmy przygotowały bowiem przede wszystkim taki sprzęt i uzbrojenie, które będą tańsze w eksploatacji i szkoleniu od tego, co obecnie mają siły zbrojne (z naciskiem na siły powietrzne) na całym świecie.

W Paryżu został pokazany po raz pierwszy, a w Europie po raz drugi – debiutował w 2010 roku na targach lotniczych w Farnborough – pakistańsko-chiński myśliwiec, noszący oznaczenie JF-17 Thunder (dla sił powietrznych Pakistanu) lub FC-1 Xiaolong (dla chińskich sił powietrznych). Ważąca nieco ponad 6 t maszyna, o zasięgu 3400 km, osiąga pułap 16 tys. m i prędkość 1,6 Ma. Jak podkreślają przedstawiciele armii pakistańskiej, samolot może być dowolnie konfigurowany, jeśli chodzi o napęd, awionikę i uzbrojenie, a jednocześnie będzie trzykrotnie tańszy od podobnych konstrukcji zachodnich.

Pakistan, który wyłożył na prace badawczo-rozwojowe nad JF-17 Thunder około 500 mln dolarów, podczas paryskiego salonu lotniczego pochwalił się zdobyciem pierwszego zagranicznego klienta. Została nim najprawdopodobniej, gdyż producent zasłania się tajemnicą handlową, Birma, o której zainteresowaniu tą niskokosztową maszyną mówiło się już w ubiegłym roku.

Ciekawe propozycje, choć nie najnowsze, bo promowane już od kilku lat, w dziedzinie „cięcia kosztów wojskowych budżetów”, pokazali na paryskich targach Amerykanie. Idea szturmowca Scorpion firmy Textron AirLand jest bardzo prosta: wykonywać te same zadania bojowe (szczególnie wsparcia ogniowego walczących pododdziałów lądowych), które wypełniają drogie w użytkowaniu A-10 i F-16, za kilkukrotnie mniejsze pieniądze.

Ważąca nieco ponad 5 t maszyna, wyposażona w dwa powszechnie stosowane w lotnictwie cywilnym (więc tanie w serwisie i naprawach) silniki turbowentylatorowe Honeywell TFE731, osiąga prędkość 830 km/h i pułap 13 tys. m.

Inną ciekawą konstrukcją z USA, która ma być tania w eksploatacji, jest turbośmigłowy Archangel firmy IOMAX. Bardzo łatwo jest go pomylić z samolotem rolniczym. Został stworzony z myślą o misjach rozpoznawczych i patrolowych. Archaniol może zabrać niecałe 2500 t uzbrojenia (lub ładunku), osiąga prędkość prawie 400 km/h i ma zasięg 2500 km.

EKOLOGIA NIE JEST MODNA

Paryskie targi od kilku edycji są zdominowane przez firmy produkujące na rynek cywilny. Tak było również w tym roku. Nowości zaprezentowane na salonie z myślą o przewoźnikach pasażerskich i transportowych koncentrowały się wokół dwóch trendów. Pierwszym, podobnie jak w przypadku produktów stworzonych z myślą o wojsku, było „cięcie kosztów”. Drugim, bardzo mocno promowanym przez rząd francuski, była idea „eko”. Ekopaliwa, ekotworzywa, nawet ekoprocedury. O ile w pierwszym wypadku takie nowości cieszyły się dużym zainteresowaniem przewoźników – wiadomo, każdy chce ciąć wydatki i zwiększać zyski – o tyle „ekologiczne” podejście do biznesu, które zazwyczaj oznacza dodatkowe koszty, entuzjazmu wielkiego na targach nie wzbudziło. ■



osiąga prędkość nieco ponad 800 km/h,
może zabrać na pokład 18 t ładunku, wzbija się
na wysokość 12 km i ma zasięg 5500 km.

F-35

[94] LICZBA SAMOLOTÓW W KONTRAKCIE

DLUGOŚĆ
15,37 m

WYSOKOŚĆ
5,28 m

ROZPIĘTOŚĆ
10,65 m

NAPĘD: silnik Pratt & Whitney F135
POWIERZCHNIA NOŚNA: 42,7 m²
MASA WŁASNA: 12 000 kg
PULAP: 15 000 m
ZASIĘG: 2222 km
UZBROJENIE: 1 × działko GAU-12

TYP: myśliwiec wielozadaniowy
ZAŁOGA: 1 pilot
PRĘDKOŚĆ MAKS.
1,8 Ma (1931 km/h)
CIĄG 177 kN

SSGT ANDREW FRIES 0748

USAF, MD/DZIAŁ GRAFICZNY

USA

Zamówione F-35

Lockheed Martin zawarł z Departamentem Obrony USA kontrakt na komponenty do wyprodukowania 94 samolotów wielozadaniowych F-35, w tym 39 dla odbiorców zagranicznych. Wartość umowy przekroczyła 920 mln dolarów. Najwię-

cej, 78 maszyn, będzie w wersji F-35A, 44 z nich zostaną przeznaczone dla amerykańskich sił powietrznych. Pozostałe mają trafić do odbiorców zagranicznych, między innymi osiem do Australii i sześć do Norwegii. Kolejnych 14 samolotów

będzie w wersji F-35B – dziewięć zasili lotnictwo Korpusu Piechoty Morskiej, pozostałe trafią do Wielkiej Brytanii (3) i Włoch (2). Ostatnie dwa samoloty F-35C zostaną rozdzielone między marines i US Navy. w w

CHINY

Wyzwanie

Firma **Norinco** chce podbić rynek swym nowym czołgiem VT-4.

Produceńcy z Chin utrzymują, że ich wyrób jest alternatywą dla najnowszej konstrukcji rosyjskiej T-14 – jest lepszy, jeśli chodzi o automatyzację, mobilność, system kontroli ognia i cenę. Przedstawiciele Norinco twierdzą, że Rosja ma obecnie w swej ofercie eksportowej tylko jeden nowy czołg – T-90S. Ich firma zaś ma trzy modele czołgów podstawowych – VT-1, VT-2 i VT-4



NORINCO

RUMUNIA

Finał dostaw

Panhard General Defense zakończył w maju dostarczanie lekkich pojazdów opancerzonych PVP 4x4 dla wojsk lądowych Rumunii, poinformowała na początku czerwca Volvo Group Governmental Sales. Przekazano ostatecznie sześć z 16 wozów zamówionych w 2012 roku. LAORV, wersja PVP stworzona na podstawie wymagań armii, ma ochronę balistyczną zgodnie ze STANAG na poziomie 2 i przeciwybuchową na poziomie 2A. Pojazd jest przystosowany do działania w temperaturach od -32° do +50°C. T W

REPUBLIKA KOREI

Rakieta kontra rakiety

W reakcji na rozbudowę przez komunistyczną Koreę Północną potencjału raketowego podobną broń rozwija Republika Korei. Na początku czerwca w obecności prezydenta Park Geun-hye przetestowano dwa pociski raketowe, które, jak powiedział korespondentowi AFP anonimowy przedstawiciel władz w Seulu, „mogą uderzyć w każdy dowolny cel w Korei Północnej”. Testowany na poligonie Anheung pocisk Hyunmoo-2B ma możliwość przenoszenia tonowej głowicy na odległość ponad 500 km. Według porozumienia zawartego ze Stanami Zjednoczonymi w 2012 roku Republika Korei może produkować rakiet balistyczne o zasięgu 800 km. Wcześniej mogła wytwarzać pociski mające zasięg do 300 km i przenoszące 500-kilogramowe głowice. W T ■

Drugi patrolowiec

W stoczni BAE Systems w Govan, na przedmieściu Glasgow, rozpoczęła się 8 czerwca budowa drugiego dużego okrętu patrolowego typu River 2.

WIELKA BRYTANIA



BAE SYSTEMS

Jednostka będzie nosiła imię HMS „Medway”. Pierwszy patrolowiec, HMS „Forth”, jest w budowie i zostanie przekazany brytyjskiej Królewskiej Marynarce Wojennej w 2017 roku;

trzeci będzie HMS „Trent”. Kontrakt na trzy jednostki o wartości 348 mln funtów szterlingów zapewnił miejsca pracy dla 800 szkockich stoczników.

Okręty typu River mają mieć około 1800 t wyporności, 90,5 m długości i 13 m szerokości. Ich maksymalna prędkość wyniesie 24 w., a zasięg pływania przekroczy 5 tys. Mm. Okręt będzie uzbrojony w 30-milimetrową armatę, a na rufie znajdzie się lądowisko dla śmigłowca, z którego będą mogły startować maszyny o rozmiarach merlina, wykorzystywanego przez Royal Navy. Załoga patrolowca ma liczyć 34 osoby, ale przewidziano możliwość zaokrętowania dodatkowo 50 żołnierzy. w ■

IRAK

Gigantyczna strata

Dopiero po roku władze w Bagdadzie ujawniają skalę strat w sprzęcie wojskowym ich armii poniesionych, gdy 9 czerwca 2014 roku w rozsypkę poszły jednostki broniące Mosul. „Straciliśmy 2300 samochodów Humvees”, podał premier Haider Al-Abadi. Większość z nich była sprawna technicznie i uzbrojona, więc znacząco wzmocniła potencjał bojowy Państwa Islamskiego. Wartość straconych pojazdów przekraczała prawdopodobnie miliard dolarów, gdyż koszty zaakceptowanej w ubiegłym roku przez Departament Stanu USA transakcji, dotyczącej tysiąca humvee, oszacowano na

579 mln dolarów. Oprócz samochodów w ręce islamistów w Mosulu wpadły znacznie droższe pojazdy pancerne, włącznie z czołgami M1. W R ■



USMC



NORTHROP GRUMMAN

Natowski global hawk

Northrop Grumman zaprezentował 4 czerwca w Palmdale w Kalifornii pierwszy z pięciu bezzałogowych statków powietrznych RQ-4B Global Hawk (Block 40).

Będą one wykorzystywane w programie obserwacji powierzchni ziemi (Allied Ground Surveillance – AGS). Amerykański dron klasy **HALE** – wysokiego pułapu i dużej długotrwałości lotu – może latać na wysokości 20 km i przebywać w powietrzu ponad 30 godzin. BSE Global Hawk wyposażono w radiolokacyjny system rozpoznania dalekiego zasięgu AN/ZPY-2 MP-RTIP (Multi-Plat-

form Radar Technology Insertion Program), wykorzystujący technologię anteny z aktywnym skanowaniem fazowym (AESA). Producent podaje, że za jego pomocą można wykryć i obserwować obiekty na ziemi oraz mapować teren, w dzień i w nocy, w różnych warunkach pogodowych. Pierwszy natowski RQ-4B będzie testowany w bazie lotniczej latem 2015 roku. Jeśli nie pojawią się problemy,

wiosną 2016 roku dron trafi do swego nowego domu – bazy lotniczej Sigonella we Włoszech.

W programie AGS uczestniczy 15 państw NATO, w tym od 2014 roku Polska. System ma osiągnąć pełną gotowość operacyjną w 2018 roku. Tym samym zwiększą się wspólne zdolności sojuszu północnoatlantyckiego w dziedzinie wywiadu, obserwacji i rozpoznania. W R ■

NIEMCY

System wybrany

Federalne Ministerstwo Obrony Niemiec ogłosiło, że zestaw **MEADS** będzie bazą sieci nowej generacji taktycznego systemu obrony powietrznej i rakietowej. W siłach zbrojnych naszego zachodniego sąsiada zastąpi on używane od 1989 roku patrioty, które obec-

nie są w wersji PAC-3. Ma to nastąpić do 2025 roku. Nie podano oficjalnie, ile zestawów może być zakupionych, ale niemieckie media szacują, że od ośmiu do dziesięciu. Brak też informacji o kosztach. Według agencji informacyj-

nej DPA, Niemcy, które już wydały 4 mld euro na prace badawczo-rozwojowe, będą musiały wyłożyć jeszcze 3–4 mld. WRT ■





nr 19.

Technik lotniczy, 31 Baza
Lotnictwa Taktycznego
– ubiór specjalny
rys. Monika Rokicka



Nr 19.

Ubiór specjalny

**TECHNIK LOTNICZY, 31 BAZA LOTNICTWA
TAKTYCZNEGO (2011 ROK)**

Przedstawiamy technika lotniczego z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach w ubiorze specjalnym. Strój składa się z bluzy i spodni w kolorze niebieskim. Bluza nie ma zewnętrznych kieszeni, w spodniach zaś są one ulokowane na kolanach. Po lewej stronie bluzy, na wysokości piersi, znajduje się rzep (niewidoczny na rysunku) – do przypięcia oznaki stopnia wojskowego. Na ubranie mogą być też nałożone narękaniki z elementami odbłaskowymi, na które jest również miejsce w należącej do zestawu czapce bejsbolówce. Dopełnieniem ubioru jest czarne obuwie.



nr 20.

*Płetwonurek bojowy,
Jednostka Wojskowa
Formoza*



31 Baza Lotnictwa Taktycznego

Stacjonująca w Poznaniu-Krzesinach 31 Baza Lotnictwa Taktycznego powstała 1 kwietnia 2008 roku, ale lotnisko to jest wykorzystywane przez polskie siły powietrzne od dziesięcioleci. To największy i zarazem najnowocześniejszy obiekt

tego typu w polskim lotnictwie wojskowym. Personel grupy obsługi technicznej bazy dba o samoloty wielozadaniowe F-16C/D Block 52+ dwóch stacjonujących w niej eskadr. W strukturze 31 BLT są też grupy działań lotniczych i wsparcia. ■

OPRACOWAŁ TADEUSZ WRÓBEL



...O DRONACH
I BZYKACH

- Wiesz, powinniśmy w wojsku zrezygnować z czołgów, śmigłowców i w ogóle ze wszystkiego i wszystko zastąpić dronami.
- A ty co, szaleju się najadłeś? A może bezzałogowiec cię przypadkiem trafił, spadając?
- Ja tylko ekstrapoluję na podstawie przesłanek.
- Ekstra co? Na podstawie jakich znowu przesłanek?
- Jako osoba obeznana i chcąc być na czasie, by nie powiedzieć wręcz nowoczesna, czytam prasę i oglądam telewizję. Śledzę również Internet. A tam stoi, że przyszłością wojska są drony, i już. Na przykład kupowanie śmigłowców jest bez sensu, bo zniszczy je dron za 30 tysięcy. Tak jeden polityk powiedział... i jedna polityk też.
- My jesteśmy apolityczni. Znacząca armia jest, nie my. Zresztą to są jakieś wieści dziwnej treści.
- Czyżbyś nie wierzył w siłę sprawczą dronów?
- Przypisywanie im przesadnych możliwości oczywiście dostrzegam, bo stały się modne. Ale tak naprawdę, jak to z poważnymi i jednocześnie pozornie znanymi rzeczami bywa, mało kto wie, jak działają, to i dużo niemądrych opinii wokół nich krąży. Niektórym wydaje się, że mogą wszystko...
- Nie krąży, ale lata. To są drony, nie krążowniki.
- Nie przerywaj mi. Chcę powiedzieć, że te drony sprawdzały się dotąd wobec gości biegających w sandałach z kałaszem. A co jak spotkają wrogi dron?
- To będzie okazja sprawdzić, który lepszy...
- Czyli dron... czy jego operator?
- Swoją drogą słowo „dron” to kolejna inwazja z języka obcego, a przecież po polsku można powiedzieć: bzyk czy beespe.
- Daj spokój. Kto się tam jakiegoś bzyka przestraszy? Jak to wygląda: zastąpmy śmigłowce bzykami. Nikt tego nie kupi. A dron brzmi dumnie, groźnie, tajemniczo.
- I tylko górale dronów się nie boją.
- A to niby dlaczego?
- Bo mają halny... i pozamiatane.
- Raczej zawiane.



ایران و گرامیداشت

| AZJA |

TOMASZ OTŁOWSKI

IRAŃSKI SEN O POTĘDZE

Tehran jest chyba największym
beneficjentem burzliwych
wydarzeń na Bliskim Wschodzie.





FARZANEH KHADEMIAN/ABACA -
PRESS.COM/ EAST NEWS



W

cieniu dramatycznych wydarzeń, rozgrywających się od kilku lat na obszarze Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, uwadze większości obserwatorów umyka fakt, że narastający w tej części świata chaos staje się dla niektórych położonych tam krajów prawdziwym darem niebios. Jednym z takich państw jest bez wątpienia Islamska Republika Iranu (IRI), która znakomicie wykorzystywała wydarzenia w regionie dla wzmocnienia swej pozycji geopolitycznej i znaczącego zwiększenia swoich wpływów, ograniczających się dotychczas niemal wyłącznie do Libanu, Strefy Gazy i pojedynczych ugrupowań szyickich, rozsianych po całym Bliskim Wschodzie. Dzięki umiejętnemu prowadzeniu polityki i skutecznej realizacji założonych celów, Teheran znalazł się dzisiaj u szczytu swej potęgi strategicznej w regionie.

Iran – 11 lat od obalenia w Iraku rządów Saddama Husajna (największego wroga Teheranu w regionie), pięć lat po wybuchu Arabskiej Wiosny i rok po rozpoczęciu przez międzynarodową koalicję wojny z kalifatem – jest chyba największym beneficjentem burzliwych wydarzeń, toczących się na Bliskim Wschodzie. Nigdy wcześniej Islamska Republika Iranu nie miała bezpośredniego wpływu (lub, jak chcą inni – faktycznej kontroli politycznej) na władze aż czterech państw bliskowschodnich: Libanu, Syrii, Iraku i Jemenu. Na naszych oczach ziszcza się nie tylko irański sen o „szyickim półksiężycu” (czyli strefie geopolitycznego oddziaływania Iranu, rozciągającej się od Hindukuszu na wschodzie po Morze Śródziemne na zachodzie), ale też marzenie o strategicznym „okrążeniu” wrogich sunnickich reżimów arabskich regionu Zatoki Perskiej. Jeśli dodać do tego władzę nad licznymi społecznościami szyickimi, rozsianymi od Arabii Saudyjskiej, przez Kuwejt, po Bahrajn czy nawet Pakistan – to otrzymamy obraz mocarstwa konsekwentnie i skutecznie budującego swą pozycję międzynarodową. A można być

pewnym, że to jeszcze nie koniec irańskich dążeń do uzyskania pełnej hegemonii na Bliskim Wschodzie.

ARENA IRACKA

Gdy w 2003 roku amerykańska operacja militarna w Iraku błyskawicznie doprowadziła do upadku reżimu Saddama Husajna – uważanego przez ówczesną administrację USA za największe zagrożenie dla ładu i bezpieczeństwa regionu bliskowschodniego – mało kto słuchał opinii niezależnych ekspertów, przestrzegających przed naruszeniem kruchej równowagi sił między Iranem a państwami arabskimi (a szerzej: między szyitami a sunnitami). Niestety, już wkrótce się okazało, że te przestrogi były jak najbardziej zasadne. Względny spokój w Iraku trwał zaledwie kilka miesięcy, po czym uaktywnili się proirańscy szyici, domagający się opuszczenia ich kraju przez Amerykanów.

Już rok po zajęciu Iraku szyickie bojówki – szkolone, wyposażane i finansowane przez Iran – stały się dla sił koalicyjnych równie dużym problemem militarnym, jak sunniccy pogrobowcy dawnego reżimu Husajna i – nieco później – islamści z Al-Kaidy. Na własnej skórze doświadczyli tego także polscy żołnierze, pełniący służbę w Wielonarodowej Dywizji Centrum-Południe, już od samego początku zmuszeni do stawiania czoła szyickim bojówkom. Wtedy można się było tego tylko domyślać, ale dzisiaj, po upływie ponad dekady, nie ulega już wątpliwości, że wybuch gwałtownego i krwawego powstania As-Sadra w 2004 roku był efektem knoń irańskich i elementem szerszego planu Irańczyków. Jego celem było jak największe utrudnienie życia siłom międzynarodowym. Zresztą, Irak bardzo szybko stał się polem toczonej na pełną skalę wojny zastępczej (proxy war), rozgrywanej między arabskimi sunnitami, pod wodzą Arabii Saudyjskiej z jednej strony, a szyickim Iranem i jego irackimi sojusznikami z drugiej.

Teheranowi sprzyjał też fakt, że po obaleniu dyktatorskich i opartych na sunnitach rządów Husajna, Amerykanie rozpoczęli wprowadzanie w Irak – nieco na siłę – systemu demokratycz-

Bez wsparcia Irańczyków Irakijczycy nie tylko nie są w stanie poprowadzić żadnej większej ofensywnej operacji militarnej, ale nawet nie potrafią zorganizować skutecznej obrony swego terytorium.

IRAŃCZYCY OD WIELU LAT W SPOSÓB PLANOWY REALIZUJĄ STRATEGIĘ STOPNIOWEGO UMACNIANIA POZYCJI MIĘDZY- NARODOWEJ SWEGO PAŃSTWA

nego. Tymczasem profil demograficzny społeczeństwa tego kraju (bezwzględna przewaga liczebna ludności szyickiej) sprawiał, że w warunkach ustroju opartego na wybieralnym systemie rządów, to właśnie szyici siłą rzeczy musieli zdominować wszelkie szczeble władzy. Dekady opresji ze strony sunnitów sprawiły zaś, że szyici iraccy potraktowali tę okoliczność jako okazję do uzasadnionej zemsty, widząc przy tym w Iranie swego naturalnego sojusznika i patrona. Teheran zyskał tym samym dogodną okazję do umocnienia nad Tygry-

sem i Eufratem swych wpływów i rozciągnięcia politycznej kontroli nad władzami w Bagdadzie.

Irańczycy postrzegali to zresztą jako szansę na osiągnięcie celów postawionych już trzy dekady wcześniej przez ojca rewolucji islamskiej, ajatollaha Chomeiniego, a dotyczących konieczności eksportu irańskiej, szyickiej wizji islamu. Celu, którego nie udało się zrealizować 30 lat temu podczas ośmioletniej wojny z Irakiem. Teraz hasło z czasów tamtego krwawego konfliktu – głoszące, że droga do Jerozolimy wiedzie przez Karbalę – zyskało nagle nowy wymiar i nabrało realnych kształtów, skoro zarówno sama Karbala, jak i cały Irak stanęły otworem przed Irańczykami. W pełni uwidoczniło się to zwłaszcza po 2011 roku, gdy z Iraku wycofali się ostatni żołnierze amerykańscy – od tej chwili nic już nie stało na przeszkodzie irańskim planom i zamiarom wobec tego kraju. Co więcej, irańskie wpływy sięgnęły już w zasadzie całego Lewantu, a Jerozolima wydaje się dzisiaj bliższa niż kiedykolwiek w dziejach Islamskiej Republiki Iranu.

REGIONALNY ROZGRYWAJĄCY

Jednocześnie z korzystnym dla Teheranu przebiegiem wydarzeń w Iraku, przed Iranem otworzyły się nowe, obiecujące perspektywy także w innych częściach regionu bliskowschodniego. Gdy w 2011 roku wybuchła w Syrii wojna domowa, Iran natychmiast pospieszył z pomocą rządowi prezydenta Baszszara al-Asada, stając się jednym z największych sojuszników Damaszku. Choć rządząca w Syrii mniejszość alawicka jeszcze dekadę temu nie była w Teheranie traktowana serio jako część żywiołu szyickiego, obecnie stała się naturalnym sojusznikiem Iranu wobec narastającej radykalizacji społeczności sunnickich Bliskiego Wschodu i polityki Zachodu, zmierzającej do „demokratyzacji” państw bliskowschodnich. Sami alawici, skupieni wokół Baszszara al-Asada, skwapliwie skorzystali z irańskiej pomocy, upatrując w niej, jeśli nie nadziei na utrzymanie się u władzy na części dawnej Syrii, to z pewnością szansy na własne przetrwanie. Dzisiaj, po czterech latach syryjskiej wojny, nie ulega już wątpliwości, że bez tego irańskiego wsparcia reżim Al-Asada dawno przeszedłby do historii.

Polityczne i militarne znaczenie Iranu w regionie zdecydowanie wzrosło po pojawieniu się na bliskowschodniej scenie nowego aktora: Państwa Islamskiego (IS) i jego kalifatu. Paradoksalnie, to nowe i znacznie bardziej niebezpieczne zagrożenie dla ładu regionalnego stało się kolejnym czynnikiem, który wspomógł realizację mocarstwowych aspiracji →



Kuriozum polega na tym, że amerykańskie samoloty bojowe wspierają irackich szyitów, dowodzonych w istocie przez oficerów z irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji.

DLA SAUDÓW WZROST POZYCJI IRANU W REGIONIE JEST DUŻYM ZAGROŻENIEM

i ambicji Teheranu. Choć kalifat jest śmiertelnym zagrożeniem dla wszystkich, którzy nie wyznają czystej sunnickiej wersji islamu (a więc także dla muzułmanów – szyitów), to jego powstanie i szybki rozwój terytorialny w Syrii i Iraku dały Irańczykom okazję do pokazania ich przydatności i dalszej intensyfikacji wsparcia dla władz w Damaszku i Bagdadzie. Szczególnie w wypadku Iraku irańska pomoc okazała się dosłownie na wagę życia – gdyby nie zakrojona na szeroką skalę asysta militarna Irańczyków, w tym bezpośrednie zaangażowanie sił zbrojnych islamskiej republiki, to iracka stolica padłaby latem 2014 roku łupem zagonów Państwa Islamskiego.

Irańczycy (wraz ze sprzymierzeńcami z libańskiego Hezbollahu) są do dzisiaj głównymi podporami irackich paramilitarnych formacji samoobrony (Al-Hashd al-Shaabi). Bez nich Irakijczycy nie tylko nie są w stanie poprowadzić żadnej większej ofensywnej operacji militarnej (jak choćby niedawne odbicie Tikritu z rąk IS), ale nawet nie potrafią zmontować skutecznej obrony swego terytorium. Ten fakt musieli uznać nawet Amerykanie, przemykając oko na skalę irańskiego zaangażowania w zwalczanie zagrożenia ze strony kalifatu na terytorium Iraku i godząc się na faktyczny, choć absolutnie nieformalny i niejawny, sojusz z Teheranem w tej sprawie. W efekcie doprowadziło to do kuriozalnej wręcz sytuacji, która jeszcze rok temu była po prostu nie do wyobrażenia – oto amerykańskie samoloty bojowe, działając w ramach koalicyjnej operacji „Inherent Resolve”, wspierają operujące na ziemi formacje irackich szyitów, dowodzone w istocie przez oficerów z irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji, a bardzo często także w dużym stopniu złożone z Irańczyków.

Ta zupełnie nowa rzeczywistość, jaka dość nieoczekiwanie powstała wokół irańskiego zaangażowania w wojnę z kalifatem, ma już jednak bezpośrednie przełożenie na realia wielkiej polityki międzynarodowej. Iran po mistrzowsku wykorzystał bowiem swą rolę niezastąpionego w zwalczaniu Państwa Islamskiego na terenie Iraku, przekuwając ją w atuty negocjacyjne podczas rozmów z mocarstwami na temat uregulowania kwestii własnego programu nuklearnego. Choć nikt nigdy wprost nie powiązał tych dwóch pozornie odległych tematycznie spraw, to jednak było widać, jak – uznana nawet przez Zachód – rola Iranu w powstrzymaniu dżihadystów z kalifatu wpływała „kojąco” na atmosferę toczących się w Genewie rokowań, ułatwiając Irańczykom przeforsowanie wielu ich postulatów.

Dla pełni obrazu irańskiego sukcesu geopolitycznego na Bliskim Wschodzie nie można pominąć wydarzeń w Jemenie. Ten odległy kraj, położony na samym krańcu obszaru bliskowschodniego, ma wbrew pozorom niezwykle istotne znaczenie dla sytuacji w całym regionie. Zamieszkany niemal w połowie przez szyitów, od dawna stanowił ważną część skomplikowanej sieci wpływów i strategicznego oddziaływania Teheranu. Jemeński szyicki ruch „Ansar Allah” (Zwolennicy Boga), skupiony wokół wpływowego rodu Huthi, już od dekady korzysta z wszechstronnej (także militarnej) pomocy Iranu. Bez tego wsparcia – i bez sojuszu z byłym prezydentem kraju, Alim Abd Allahem Salihem (również szyitą) – rebelia Huthi, wznowiona rok temu, nie miałaby szans na powodzenie. Jednakże tym razem, dzięki sprzyjającym okolicznościom, szyicki partyzanci zdołali nie tylko

w krótkim czasie podbić cały północny Jemen (włącznie ze stolicą kraju – Sana), lecz także zająć sporą część południa, oblegając nawet Aden – dawną metropolię Jemenu Południowego. Powołana przez szyitów namiastka rządu w Sanie – choć nieuznawana w świecie – faktycznie kontroluje ponad dwie trzecie powierzchni kraju i cieszy się poparciem nie tylko Iranu, ale także Iraku, libańskiego Hezbollahu i proirańskiej ostatnio Etiopii. A to w zupełności wystarczy, aby skutecznie rządzić w Sanie i rościć sobie prawa do pełni władzy w całym Jemenie.

Jest to niezwykle ważne z punktu widzenia irańskich interesów strategicznych, dlatego że Jemen stanowi „miękkie podbrzusze” Arabii Saudyjskiej – największego rywala Teheranu w regionie i jego głównego adwersarza w walce o rząd dusz w świecie islamu. To właśnie z tego powodu Rijad tak gwałtownie zareagował na sukcesy Huthi za swoją południową granicą, organizując koalicyjną sunnicką operację militarną o większej skali niż trwająca równolegle wymierzona w kalifat akcja pod wodzą USA.

Z perspektywy Saudów gwałtowny wzrost pozycji Iranu w regionie jest bowiem znacznie poważniejszym geopolitycznym zagrożeniem i wyzwaniem dla interesów królestwa, niż Państwo Islamskie i jego kalifat. Z tego też względu w wymierzonej w kalifat operacji „Inherent Resolve” bierze udział (i to rotacyjnie) zaledwie kilkanaście saudyjskich samolotów bojowych, podczas gdy w akcji przeciwko jemeńskim szyickim Huthim – aż około 100 maszyn naraz. To najdobitniej pokazuje, gdzie znajdują się priorytety saudyjskiej polityki wobec regionu.

CORAZ BLIŻEJ CELU

Irańczycy od wielu lat w sposób planowy realizują strategię stopniowego umacniania pozycji międzynarodowej swego państwa. Stosują w tym celu cały wachlarz środków i działań, skutecznie wykorzystując też na swoją rzecz pozornie negatywne wydarzenia w regionie (jak chaos Arabskiej Wiosny czy powstanie kalifatu). Realizację irańskiej polityki ułatwia oparcie jej na wspólnotowości w ramach jednego wyznania – szyizmu, w obiektywnym sensie zagrożonego dzisiaj przez radykalizację dominującego żywiołu sunnickiego.

To świadome wykorzystywanie przez Teheran aspektów religijnych – skutkujące między innymi przekształceniem się wielu lokalnych konfliktów (Syria, Jemen, Irak) w wojny wyznaniowe między szyitami a sunnitami – jest chyba najbardziej efektywnym orężem w geopolitycznym arsenale Iranu. Sprawia bowiem, że Islamska Republika Iranu stała się dla większości szyickich społeczności na Bliskim Wschodzie naturalnym, a do tego w istocie jedynym, obrońcą ich interesów i gwarantem bezpieczeństwa w szybko destabilizującym się środowisku międzynarodowym. Teheran doskonale zdaje sobie z tego sprawę i skutecznie wykorzystuje tę sytuację dla umacniania własnej pozycji strategicznej, także w kontekście dążeń do uzyskania broni jądrowej. Ostatecznym celem tych irańskich działań jest osiągnięcie statusu regionalnego hegemonu – mocarstwa o wpływach sięgających najdalszych zakątków regionu, dysponującego skutecznymi narzędziami militarnymi (broń nuklearna i efektywne środki jej przenoszenia) oraz politycznymi i ideologicznymi. W 36 lat po wybuchu rewolucji islamskiej, Iran jest dzisiaj bliższy osiągnięcia tych celów niż kiedykolwiek wcześniej. ■

POLSKA ZBROJNA

PRENUMERATA:
5 WYDAŃ
(OD NR 8
DO 12)

ZAMÓW
PRENUMERATĘ
NA 2015 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl
listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy,
00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +48 261 840 400

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 32,5 zł
do 20 sierpnia 2015 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

TADEUSZ WRÓBEL

Stąpanie po cienkiej linii

W Afganistanie stabilność wewnętrzna jest bardzo krucha, a to oznacza, że będzie potrzebna dłuższa niż wcześniej przewidywano obecność NATO w tym kraju.

Pierwsze sześć miesięcy tego roku pokazały, że Afganistan nadal potrzebuje zewnętrznego wsparcia militarnego, by powstrzymać islamskich radykałów. Sytuacja w tym kraju jest skomplikowana i niebezpieczna, ponieważ oprócz talibów uaktywnili się bojownicy powiązani z Państwem Islamskim. Politycy zachodni, wzięwszy pod uwagę, jak negatywne skutki przyniosło całkowite wycofanie wojsk z Iraku, zamierzają pozostawić je w Afganistanie dłużej niż do 2016 roku.

OGRANICZONE SIŁY

W grudniu ubiegłego roku zakończyła się w Afganistanie misja Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa (International Security Assistance Force – ISAF), którym od 11 sierpnia 2013 roku przewodziło NATO. W szczytowym momencie w 2012 roku służyło w nich ponad 130 tys. wojskowych z 51 państw.

Po ISAF nie pozostała pustka, bo już 1 stycznia 2015 roku rozpoczęła się nowa misja sojuszu, „Resolute Support” (Zdecydowane wsparcie), w której w maju uczestniczyło ponad 13 tys. wojskowych z 40 państw. Najwięcej żołnierzy, 6827, dostarczyły Stany Zjednoczone. Kontyngenty liczące co najmniej pół tysiąca wystawiły Gruzja (885), Niemcy (850), Rumunia (650), Turcja (503) i Włochy (500). Polaków jest w niej 150. Większość sił misji skoncentrowano w rejonie stolicy, Kabulu, i bazy lotniczej Bagram. Jej żołnierze stacjonują też w czterech innych punktach Afganistanu: Heracie na zachodzie, Kandaharze na południu, Laghmanie na wschodzie i Mazar-e Sharif na północy.

Misja „Resolute Support” w założeniach ma mieć charakter niebojowy. Jej uczestnicy kontynuują szkolenie afgańskich sił bezpieczeństwa oraz ochraniają instytucje publiczne, ponadto doradzają im i je wspierają. Ramy prawne misji określa porozumienie o statusie sił (Status of Forces Agreement – SOFA), podpisane 30 września 2014 roku w Kabulu przez nowego prezydenta Afganistanu Aszrafa Ghaniego i przedstawiciela cywilnego NATO



ADAM ROIK/COMBAT CAMERA DORSZ (2)

w tym kraju, ambasadora Mauritsa R. Jochemsa. SOFA była ratyfikowana przez afgański parlament 27 listopada 2014 roku. Również 30 września w Kabulu podpisano bilateralny pakt o bezpieczeństwie (Bilateral Security Agreement – BSA) między Afganistanem i Stanami Zjednoczonymi. Dokument, który parałowali doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Afganistanu Mohammad Hanif Atmar i ambasador USA w Kabulu James Cunningham, umożliwił pozostanie w tym kraju amerykańskich żołnierzy po 31 grudnia 2014 roku, kiedy to zakończyła się operacja



**PRZEKONANIE, ŻE
AFGAŃCZYCY SZYBKO BĘDĄ
W STANIE SAMODZIELNIE
UTRZYMAĆ STABILNOŚĆ
W PAŃSTWIE, WYDAJE SIĘ
NADMIERNIE OPTYMISTYCZNE.
KRAJ TEN NADAL POTRZEBUJE
WSPARCIA, NIE TYLKO
MILITARNEGO, LECZ TAKŻE
GOSPODARCZEGO**

„Enduring Freedom” (Trwała wolność). 1 stycznia 2015 roku zaś rozpoczęła się nowa – „Freedom Sentinel”.

Obecnie w Afganistanie jest około 10-tysięczny kontyngent wojsk USA. Amerykanie nadal prowadzą operacje antyterrorystyczne i udzielają wsparcia lotniczego siłom afgańskim podczas walk z talibami. W dzienniku „New York Times” podano 29 kwietnia, że w pierwszych trzech miesiącach tego roku wykonali oni co najmniej 128 uderzeń powietrznych, głównie z wykorzystaniem dronów, a zimowe miesiące uchodzą w Afganistanie za relatywnie spokojne.

Rebelianci zwykle rozpoczynają nasilone działania w kwietniu i dlatego są one określane jako ofensywa wiosenna.

CHAOS I ZASTRASZENIE

W tym roku symbolicznym jej początkiem był raketowy ostrzał bazy Bagram, który talibowie przeprowadzili 24 kwietnia. Rakietą, która spadła na jej teren, nie spowodowała żadnych ofiar. Talibowie ogłosili, że tego dnia dokonali aż 108 ataków na terenie całego Afganistanu. Jednym z celów były budynki rządowe w Ghazni. Rebelianci zaatakowali też policyjne punkty kontroli w prowincjach Logar i Paktija.

Największą ich operacją w pierwszych dniach ofensywy wiosennej był szturm Kunduzu. Miejsce ataku było zaskakujące, bo ta część kraju uchodziła za bardzo spokojną, w porównaniu z prowincjami wschodnimi i południowymi. Rozpętały się zaciekle walki o miasto, w których siłom rządowym wsparcia lotniczego udzielili Amerykanie. Serwis Tolo News podał 29 kwietnia, że zginęło 154 rebeliantów. Ogółem, według władz, talibowie mieli stracić w walkach o Kunduz ponad 200 ludzi. Tamtejszy gubernator, Mohammed Omer Safi, poinformował, że w tym rejonie działają też zagraniczni bojownicy wyszkoleni przez Państwo Islamskie.

Rebelianci wkładają sporo wysiłku w zdestabilizowanie sytuacji w stolicy kraju. 13 maja zbrojna grupa wdarła się do położonego w centrum miasta hotelu Park Palace, gdzie zamordowała 14 gości, w tym dziesięciu cudzoziemców. Cztery dni później samobójca kierujący samochodem z materiałami wybuchowymi uderzył w pobliżu stołecznego lotniska w pojazd unijnej misji policyjnej (EUPOL). W zamachu zginęła jedna z jadących nim osób. Także w maju ludzie uzbrojeni w broń maszynową i granaty wtargnęli do pensjonatu w silnie chronionej dzielnicy dyplomatycznej. Ataki te stanowiły element trwającej od dawna kampanii zastraszania mieszkańców i pracujących w Kabulu przybyszów z zagranicy. W ubiegłym roku rebelianci zamordowali 21 osób w popularnej restauracji libańskiej i dziewięć w hotelu Serena. Cudzoziemcy stanowili większość ofiar tych napaści.

Talibowie pozostają bardzo groźni na południu kraju. W maju podczas zamachu na posterunek policji w prowincji Kandahar zabili 19 funkcjonariuszy i siedmiu żołnierzy. Oprócz punktów kontrolnych i posterunków rebelianci atakują budynki administracyjne i siedziby sądów. Celem napaści są również pojazdy przewożące pracowników państwowych. Szczególnie zagrożeni są dowódcy policji. W marcu i kwietniu straciło życie dwóch jej komendantów w prowincji Oruzgan.

WYDŁUŻANA OBECNOŚĆ

Bezpieczni nie mogą się czuć zwykli cywile, gdyż jednym z miejsc zamachów terrorystycznych, często samobójczych, są bazy. Talibowie ostrzeliwują szkoły, aby rodzice bali się wysyłać do nich dzieci. I poniekąd osiągają swój cel. Z powodu walk zamknięto wiele placówek oświatowych.

Brutalne ataki mają zastraszyć Afgańczyków i spowodować, by ludzie unikali wszelkich kontaktów z władzami państwowymi. Talibom zależy na odseparowaniu ich od społeczeństwa. W konsekwencji ma to sparaliżować funkcjonowanie kraju.

Ministrowie spraw zagranicznych NATO, którzy 13 maja 2015 roku spotkali się w tureckim mieście Antalya, uznali w tej złożonej sytuacji, że będzie konieczna dłuższa obecność wojskowa w Afganistanie. W związku z tym jest planowana ➔



P K W A F G A N I S T A N

W styczniu 2015 roku rozpoczęła się w Afganistanie kolejna misja NATO – „Resolute Support”. Polacy wystawili do niej kontyngent złożony z 150 osób.

BRUTALNE ATAKI REBELIANTÓW MAJĄ ZASTRASZYĆ AFGAŃCZYKÓW I SPOWODOWAĆ, BY LUDZIE UNIKALI WSZELKICH KONTAKTÓW Z WŁADZAMI PAŃSTWOWYMI

nowa operacja po zakończeniu w grudniu 2016 roku „Resolute Support”. Wskazano, że pokierują nią cywile. „Ale będzie wojskowy komponent”, zaznaczył sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg. Szczegółowy plan tej misji ma powstać do jesieni. Wcześniej, 24 marca, prezydent Barack Obama postanowił nie redukować w ciągu tego roku liczby amerykańskich żołnierzy. Decyzję tę podjął po rozmowach z Aszrafem Ghanim. Jednak w 2016 roku Waszyngton chciałby pozostawić w Afganistanie tylko 5 tys. wojskowych.

Obecnie afgańskie siły bezpieczeństwa liczą aż 352 tys. ludzi i prawdopodobnie ze względu na sytuację w dziedzinie bezpieczeństwa nie mogą być mniejsze przed 2017 rokiem. Na ich utrzymanie rząd w Kabulu potrzebuje zatem dodatkowych pieniędzy od zagranicznych donatorów. Przy czym dane co do liczebności wojska i policji, podobnie jak w Iraku, nie do końca mogą odzwierciedlać stan faktyczny. Według informacji amerykańskich między lutym a listopadem 2014 roku liczba żołnierzy zmniejszyła się o 8,5%, czyli do nieco ponad 169 tys. Znaczącą część, ponad 15 tys., ubytku stanowili dezercerzy.

Pomimo rozbudowanych policji i armii władze w Kabulu postanowiły szerzej wykorzystać w walce z talibami milicję kontrolowaną przez lokalnych dowódców, często weteranów walk z Sowietami. Ich liczebność szacuje się na kilkanaście tysięcy. Jednym z miejsc, gdzie wezwano milicjantów, których nazywa się mudżahedinami, jest Kunduz. Afgańskie władze tłumaczą swe posunięcia potrzebą utrzymania terenów, z których wojsko wyparło rebeliantów, ponieważ powracają oni, gdy odejdą żołnierze.

Problemem są spory wśród rządzących Afganistanem polityków, zwłaszcza między prezydentem Ghanim a jego byłym rywalem w wyborach o najwyższe stanowisko w państwie Abdullahem Abdullahem. Politycy nawiązali co prawda współpracę, ale czasami między nimi iskrzy. W tle nieporozumień jest rywalizacja między dwiema grupami etnicznymi, Pasztunami i Tadżykami. Konsekwencją napięć był wielomiesięczny wakat na stanowisku ministra obrony. Dopiero 21 maja prezydent mianował nim Mohammeda Masooma Stanekzaiego. Jego osoba też wzbudziła kontrowersje.

Przekonanie, że Afgańczycy szybko będą w stanie samodzielnie utrzymać stabilność w państwie, wydaje się nadmiernie optymistyczne. Kraj ten nadal potrzebuje wsparcia, nie tylko militarnego, lecz także gospodarczego. Afganistan nie ma pieniędzy na utrzymanie swego aparatu państwowego, w tym resortów siłowych. I nie ma perspektyw, by szybko się to zmieniło. ■

CZARNA STATYSTYKA

W pierwszym kwartale tego roku w Afganistanie zginęło 655 cywilów, a 1155 odniosło rany. Największy odsetek, 19%, stanowią ofiary improwizowanych urządzeń wybuchowych podkładanych na drogach. W 2014 roku w Afganistanie było najwięcej ofiar cywilnych od 2009 roku. Według danych Organizacji Narodów Zjednoczonych, zginęło około 3700 cywilów, a ponad 6800 zostało rannych. Życie straciło też 4634 członków sił bezpieczeństwa.

KRUCHA JEDNOŚĆ

Z Romanem Kuźniarem

o planach Putina, błędach Zachodu i regułach gry opartych na sile rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Jak agresja Rosji wobec Ukrainy zmieniła sytuację w Europie pod kątem bezpieczeństwa?

Po raz pierwszy od 1945 roku jeden kraj napadł na drugi i odebrał mu kawałek terytorium. Co więcej, ten, który dokonał tej agresji, zakwestionował zasady międzynarodowego porządku, które – z jego udziałem – zbudowaliśmy po II wojnie światowej oraz po okresie zimnej wojny. Moskwa zakwestionowała własny wkład w powstanie tego porządku, a także zasady wynikające z „Karty Narodów Zjednoczonych” i ustaleń Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Dokonała tego w imię powrotu do koncepcji międzynarodowych stosunków, które uważaliśmy za przeszłość: mocarstwa mają własne strefy wpływów, które zbrojnie poszerzają, nikomu z zewnątrz nie pozwalają się w nie wtrącać, liczy się tylko współpraca kilku z nich, a cała reszta nie ma głosu. Te sprawy nas dotyczą, bo jesteśmy sąsiadem Ukrainy. A dla nas – jako mniejszego państwa – ważne jest respektowanie zasad prawa międzynarodowego. Mamy też fatalne doświadczenie ze strefami wpływów i porozumieniami mocarstw. Słowem, agresja Rosji na Ukrainę dotyka nas bardzo, i to bezpośrednio.

Powinniśmy się bać? Prasa straszy nas lecącymi na Polskę iskanderami z Kaliningradu.

Moskwie chodzi o wytworzenie atmosfery zagrożenia. Definiuje ona szacunek i swoją pozycję przez wywoływanie strachu. Powinniśmy rzetelnie oceniać rosnący w ostatnim czasie potencjał Rosji i jej intencje, ale nie ulegać kreowanemu przez media wrażeniu zagrożenia.

W kwartalniku „Sprawy Międzynarodowe” polemizuje Pan z Johnem Mearsheimerem, obarczającym Zachód

winą za ostatnie polityczne posunięcia Moskwy. Jakie błędy popełnił Zachód? Zbyt optymistycznie patrzył na Rosję?

Formułuję odwrotną diagnozę niż profesor Mearsheimer. Wyraża on poglądy wielu badaczy i polityków, którzy twierdzą, że rosyjska retoryka antyzachodnia i poczynania Rosji są efektem lekceważenia po zimnej wojnie przez Zachód jej uzasadnionych interesów. Uważają oni, że trzeba uznać specjalne prawa Moskwy. Przekonują, że stała się jej krzywda. Tłumaczą, że przeżywa ona traumę po upadku swego statusu. Twierdzą również, że Zachód popełnił błąd, rozszerzając się w kierunku Europy Wschodniej i Południowej, gdzie była rosyjska strefa wpływów. Według nich, przyjęcie nowych państw do NATO stworzyło zagrożenie dla Moskwy, a do Unii Europejskiej – odebrało jej wpływy polityczno-ekonomiczne. Uważam, że jest wręcz odwrotnie. Zachód od początku zbyt wspinałomyślnie traktował Rosję. Zignorował gigantyczne szkody, jakie Związek Sowiecki wyrządził krajom, które po II wojnie światowej znalazły się w jego strefie wpływów. Państwa zachodnie nie zauważały postępującego autorytaryzmu systemu politycznego Rosji czy też jej coraz bardziej odległego od gospodarki wolnorynkowej systemu ekonomicznego. Zachód otwierał wszystkie możliwe drzwi, oferował Moskwie różne strategiczne partnerstwa i członkostwa, także w organizacjach i instytucjach, chociaż nie spełniała ona kryteriów, z Radą Europy i G7 na czele. Oczywiście, w jakimś mierze należało inwestować w Rosję. To nasz potężny sąsiad i byłoby dobrze, gdyby był przyjazny i sprzymierzony z Zachodem. Nie wolno jednak godzić się bezwarunkowo na wszystko. Poza tym, myślenie Mearsheimera uważam za nietetyczne, bo w swojej analizie staje po stronie agresora. ➔

Polityka Kremla doprowadziła do podziałów wśród państw unijnych. Wydaje się, że Niemcy i Francja wycofały się z pozycji hamulcowych. Jak Pan ocenia dziś jedność Unii Europejskiej w relacjach z Moskwą?

Niemcy i Francja zostały skonfrontowane z inną Rosją, niż ta, którą sobie wyobrażały. François Hollande początkowo był bardziej sceptyczny niż Angela Merkel, co wynika z tradycji francuskiej partii socjalistycznej, która bardziej niż inne zachodnie partie socjalistyczne dystansowała się od Związku Sowieckiego. Niemcy więcej zainwestowały w rozwój stosunków z Rosją, licząc, że to zaangażowanie zmieni ten kraj, co okazało się nieprawdą. Obecnie Zachód zdaje się bardziej skonsolidowany i jednomyślny w polityce wobec Moskwy, ale to krucha jedność. Pomaga ją utrzymać postępowanie Rosji, która nadal jest obecna militarnie w Donbasie, a także nie wykonuje porozumienia Mińsk 2. Uważam, że Moskwa nie zrealizuje go, bo jeden z punktów to oddanie Ukrainie kontroli granicy Rosja–Donbas, na co Kreml się nie zgodzi. Na Zachodzie źle jest przyjmowana aktywność militarna Rosji według logiki balansowania na krawędzi wojny. Sankcje wobec Moskwy zapewne zostaną utrzymane. Są jednak państwa i środowiska europejskie, które kwestionują linię przyjętą przez mocarstwa zachodnie. Myślę o krajach południa Europy, ale także w Niemczech i we Francji są silne środowiska przychylne Rosji: część biznesu, nacjonalistyczna prawica Le Pena, ale także konserwatyści skupieni wokół Sarkozy'ego. Na razie mamy kruchą jedność, która zaskakuje Rosję. Sądzę, że Putin nie liczył się z taką reakcją. Trudno jednak przewidzieć, co stanie się w dłuższej perspektywie.

Co jest celem Putina?

Władimir Putin, podobnie jak niektórzy dyktatorzy w przeszłości, otwarcie wyjawia swoje plany. Choć niektórzy nie wierzą, że je zrealizuje, ponieważ są zbyt beczelne. Aby się o tym przekonać, wystarczy prześledzić jego wypowiedzi z pierwszej połowy 2014 roku.

Jakie to plany?

Po pierwsze, zajęcie tych ziem ukraińskich, które Putin uważa za historycznie należące do Rosji, czyli Krymu i wschodniej części Ukrainy. Po drugie, uniemożliwienie Ukrainie stania się normalnym państwem i częścią Zachodu. Po trzecie, rozbitcie spójności Unii Europejskiej – co jest celem taktycznym. Rosja od zawsze źle znosiła jedność i siłę państw zachodnich, była przeciwna wspólnocie europejskiej. Przypomnę wściekłą sowiecką propagandę z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, gdy Europa się jednoczyła. Podziały w ramach Unii oznaczają grę według starych reguł, gdy o losie świata decydowało porozumienie między mocarstwami. Demontaż spójności Zachodu przez Putina ma służyć powrotowi zasad opartych na sile. Takie podejście oznacza nawiązanie do doktryny Breżniewa, którą Putin odgrażał w podpisanym w lutym 2015 roku dokumencie. Jest tam wyraźnie stwierdzone, że zmiana sytuacji w krajach sąsiedzkich, niekorzystna z punktu widzenia Rosji, ma dać jej prawo do ingerowania w wewnętrzne sprawy innych krajów. Planom Putina sprzyjał wzrost cen surowców, a także letarg strategiczny Zachodu, wyrażający się w braku odwagi do bardziej stanowczego powstrzymywania Rosji.



ZBIGNIEW FURMAN

Obecnie Zachód zdaje się bardziej skonsolidowany i jednomyślny w polityce wobec Moskwy, ale to krucha jedność

W jakim stopniu zmiana w środowisku bezpieczeństwa międzynarodowego, spowodowana kryzysem ukraińskim, wpłynęła na relacje polsko-amerykańskie?

Nasze stosunki z Waszyngtonem są dobre, oparte na interesach i realnych potrzebach. Uważam także, że decyzja o zakupie amerykańskiego sprzętu służącego obronie powietrznej kraju była dobrym posunięciem. To jeszcze bardziej zwiąże z nami Stany Zjednoczone. Dla Ameryki jesteśmy ważnym krajem, oczywiście w tej klasie państw, do której należy Polska. Stosunki te uległy normalizacji w drugiej połowie poprzedniej dekady. Kryzys ukraiński podkreśla ich znaczenie.

W związku z agresywną polityką Rosji Ameryka jest fizycznie bardziej obecna w Europie. Po szczycie w Newport Amerykanie zapewniają rotacyjną obecność w Polsce i innych krajach na wschodniej flance NATO.

Liczebnie jest ich niewielu.

Też bym wolał, aby było ich więcej, ale niektórzy, na przykład Niemcy, nie chcą się dzielić „swoimi” Amerykanami, dlatego tak ostrzegają, żeby nie drażnić Rosji. Nie chcą stracić korzyści wynikających z obecności na swoim terytorium tak wielkiej bazy USA. Prezydent Bronisław Komorowski na mającym się odbyć w 2016 roku szczycie NATO w Warszawie zamierzał domagać się trwałej amerykańskiej obecności na terenie Polski. Prowadził w tej sprawie konsultacje z partnerami, aby z większą życzliwością i zrozumieniem traktowali oni nasze potrzeby bezpieczeństwa. Rozmawiał między innymi z goszczącą niedawno w Polsce kanclerz Niemiec Angelą Merkel.

Gwarancji bezpieczeństwa, wynikających z artykułu 5, domagaliśmy się już na szczycie w Lizbonie w 2010 roku.

Wtedy Zachód nam nie dowierzał, gdy ostrzegaliśmy przed Rosją. Ten negatywny przekaz wzmocnił Rosjanie, przypinając nam łatkę rusofobów. Dziś to się zmieniło, bo dokonawszy agresji na Ukrainę, prezydent Putin uwiarygodnił nasze obawy i wcześniejsze ostrzeżenia. Obecnie znajdujemy się na początkowym etapie przygotowań do warszawskiego szczytu NATO. Staramy się oddziaływać na sposób myślenia państw zachodnich o Rosji, ale też poważnie traktujemy naszą politykę obrony. Na ten cel wydajemy 2% PKB, a więc staliśmy się poważnym partnerem, uważniej się nas słucha. Jednak krajom, które tak jak Niemcy przez lata inwestowały w Rosję, trudno nagle zmienić sposób myślenia, choć w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy widać ogromny postęp.

Czy na naszą wiarygodność jako sojusznika nie wpłynie zakończenie polityki ekspedycyjnej, co zapowiedział prezydent?

To nie do końca prawda. Prezydent nie miał na myśli udziału w operacjach reagowania kryzysowego. Ilekroć dana operacja będzie miała mandat Rady Bezpieczeństwa lub taką decyzję podejmie NATO, a my będziemy przekonani, że jest ona słuszna, na przykład ze względu na los ludności cywilnej lub zagrożenia dla bezpieczeństwa, tylekroć Polska powinna w niej uczestniczyć, bo jest to zgodne z naszymi wartościami i interesami. Taki jest sens tej modyfikacji, którą niektórzy ubierają w pojęcie „końca polityki ekspedycyjnej”.

W operacji w Libii nie wzięliśmy udziału...

I okazało się, że mieliśmy rację. Nasz sceptycyzm w niektórych sytuacjach bierze się ze złych doświadczeń. Kraje zachodnie, zwłaszcza te z przeszłością kolonialną, zbyt szybko podejmują decyzje o interwencji, co przynosi nie rzadko bardzo złe skutki. Jakże? Widzi-

my obecnie na przykład w Iraku. W naszym sceptycyzmie nie ma doktrynalnego sprzeciwu wobec udziału w operacjach zagranicznych. Na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ opowiadaliśmy się za zasadą odpowiedzialności za ochronę, którą państwa członkowskie przyjęły w 2005 roku. Zastąpiła ona niefortunną „interwencję humanitarną”. Zgodnie z zasadą odpowiedzialności za ochronę, gdy gdzie potrzeba i będzie mandat Rady Bezpieczeństwa, możemy użyć siły, aby zatrzymać czystki etniczne, zbrodnie wojenne czy ludobójstwo. Przyjęcie takiej zasady oznacza gotowość do posługiwania się takimi instrumentami, jak NATO czy misje Unii w ramach jej wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony.

Jak Pan sądzi, jakie będzie w tej sprawie stanowisko nowego prezydenta?

Nie sądzę, aby mogło się zasadniczo różnić od stanowiska prezydenta Komorowskiego. Wprawdzie, gdy Andrzej Duda pracował w kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego, „panowała moda” na interwencje, a sam Kaczyński był entuzjastą naszego udziału w wojnie w Iraku, to jednak teraz mamy inny czas. Zachód stracił ochotę do interweniowania, a i my, zważywszy na politykę Rosji, dajemy bezwzględny prymat tradycyjnej funkcji sojuszu i rozwojowi zdolności militarnych, które czynią ją wiarygodną.

Co powinniśmy zrobić, gdyby Kijów zwrócił się do nas z prośbą o pomoc wojskową?

Należałoby rozważyć taką prośbę. Ukraina jest państwem, na które dokonano agresji. Zasada indywidualnej lub kolektywnej samoobrony, wynikająca z artykułu 51 „Karty Narodów Zjednoczonych”, pozwala udzielić pomocy państwu napadniętemu. Taka pomoc może mieć różne formy. Gdy słyszę, że w Unii Europejskiej nie ma zgody w sprawie rozjemczej misji pokojowej na Ukrainie, zastanawiam się, co się stało z Unią, która nie miała wątpliwości, aby wysłać misję do Konga, Libii czy Brunei, daleko od nas, a nie zgadza się na nią w naszym otoczeniu. Błędem Zachodu jest w rozmowach z Rosją odrzucanie z góry pewnych opcji. Unia mówi: ten konflikt można rozwiązać tylko pokojowo, a Rosja rozstrzyga go militarnie. Moskwa nie wyklucza żadnej możliwości, dlatego jest taktycznie silniejsza od nas, choć my mamy większy potencjał.

Jakie rozwiązania przewiduje Pan w konflikcie ukraińskim?

Jest kilka możliwych scenariuszy, nie-
złych, gorszych i złych. Ale nie jestem wielkim optymistą. Konflikt na Ukrainie potrwa jeszcze wiele lat. Putin zrobi wszystko, aby uniemożliwić normalizację sytuacji wewnętrznej i przeprowadzenie reform. Gdyby Ukrainie się udało, byłby to zły przykład dla Rosji i dla Rosjan. Wiele zależy jednak od Ukraińców. Czasem takie przełomy są dla narodów opisaną przez Conrada smugą cienia. Pozostaje pytanie, czy Ukraina przejdzie przez nią, by się stać częścią Zachodu lub przynajmniej normalnym, suwerennym państwem. ■

WIZYTÓWKA

ROMAN KUŹNIAR

Profesor zwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego, doradca do spraw międzynarodowych prezydenta RP Bronisława Komorowskiego. Poprzednio między innymi dyrektor Akademii Dyplomatycznej (2003–2005) oraz Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (2005–2007).



Zniszczony baner z wizerunkiem lidera prorosyjskich separatystów



Kobieta wybiera mleko w pierwszym donieckim supermarkecie.

MICHAŁ ZIELIŃSKI, UKRAINA

Oddam czołg w dobre ręce

Podczas Euro w 2012 roku Donieck liczył 2 mln mieszkańców. W wyniku działań wojennych oraz blokady gospodarczej w mieście zostało niespełna 600 tys. osób.

Z okazji obchodów rocznicy założenia Doniecka przy bulwarze Puszkina wywieszono fotografie przedstawiające początki miasta. Autorzy wystawy z dumą nawiązują do jego brytyjskich korzeni oraz industrialnego dziedzictwa. Z plakatu po drugiej stronie ulicy do przechodniów macha uśmiechnięty czołgista. Napisane komiksową czcionką hasło głosi: „Oddam czołg w dobre ręce”.

W kwietniu 2014 roku Donieck obchodził 145. rocznicę powstania. John Hughes, brytyjski przedsiębiorca, odkupił ten skrawek ziemi od zamieszkujących go Kozaków i w krótkim czasie uczynił z niego główny okręg przemysłowy we wschodniej Ukrainie. Jeszcze podczas Euro 2012 aglomeracja liczyła blisko 2 mln mieszkańców, z czego niespełna mi-

lion mieszkało w samym Doniecku. Teraz, rok po przejęciu władzy przez separatystów, region ponownie wraca do życia. Mimo walk toczących się w północnej i północno-zachodniej części miasta, ludzie wychodzą na ulice, przystają przy straganach, piją kawę w stworzonych na wzór zachodni lokalach. Jednocześnie posowieckie arterie przytłaczają pustką. Szacuje się, że w wyniku działań wojennych oraz blokady gospodarczej w mieście zostało niespełna 600 tys. osób.

GRANATY I WÓDKA

Na jednej z bocznych dworców kolejowych w Doniecku stoi parowóz, który w czasie obchodów święta miasta sunął przed zebranym na stacjach tłumem. Ozdobiona czerwoną gwiazdą



PRZY
ODROBINIE
SZCZĘŚCIA,
WŚRÓD PRZE-
TERMINOWA-
NYCH ZUPEK
CHIŃSKICH
I KONSERW,
MOŻNA
UPOLOWAĆ
CIASTKA
Z LOKALNYCH
PIEKARNI



Nikolaj, nauczyciel WF-u ze szkoły sportowej w Makiejewce. Z dumą prezentuje puchary zdobyte przez jego podopiecznych.



MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

lokomotywa kontrastuje z przeszklonymi, przypominającymi terminale, budynkami. Kontrastuje również z przejmującą ciszą. Powybijane szyby wraz ze zrytą przez gradę kostką kryją się w cieniu nowoczesnej architektury. Podróżnych, czekających na bliskich lub przepychających się w stronę swojego wagonu, wyparty szwendające się bez celu bezpańskie psy. Ze względu na sąsiedztwo lotniska, pociągi w kierunku Debalcewego i dalej, Ługańska, kursują z odległej o kilka kilometrów Makiejewki. A i to dopiero od lutego, czyli od czasu przejścia Debalcewego przez separatystów.

Na mieszczącym się obok dworcu autobusowym zamieszanie. Jakaś kobieta nie chce odejść od kasy, trwa awantura. „Kiedy była tu Ukraina, bilet był bezpłatny albo ulgowy. Teraz przez to całe DNR [Doniecka Republika Ludowa], nic nie da się normalnie kupić”. Pracownik dworca przez mikrofon podnosi głos, próbuje przekrzyczeć rosnącą wrzawę. Kłótnia zamienia się w płacz. Czekający na transport podróżni uciekają wzrokiem w kąt. Nawet siedzący na ławce żołnierz rosyjskiego specnazu woli podziwiać widok za oknem.

Zostawiając dworzec za sobą i idąc dalej wzdłuż głównej ulicy, można trafić do pierwszego w DNR supermarketu. Mimo wyższych cen,

wewnątrz tłum. Ludzie pakują do koszyków świeży chleb, mięso. Jakaś kobieta od kilku minut przebiera w butelkach mleka. Pisk laserowych czytników i stukot otwieranych kas zlewa się z głosem duetu Gnarlz Barkley, który śpiewa o tym, jak można się zatracić w szaleństwie.

W pozostałych marketach na terenie Doniecka coraz większe pustki. Blokada gospodarcza, głównie ze strony ukraińskiej, mocno odbija się na dostępności towarów oraz ich jakości. Część produktów została wycofana z obiegu, część zastąpiły wyroby rosyjskie. Trudno jednak odnieść wrażenia, że często sprzedawcy oferują to, co zalega w magazynach. Przy odrobinie szczęścia, wśród przeterminowanych zupek chińskich i konserw, można upolować ciastka z lokalnych piekarni. Czasem trafić również na skrzynki pełne owoców granatu. Młodzi mężczyźni przechodzą obok nich obojętnie i sięgają po wódkę.

„Podczas najcięższych walk płaciłam jedzeniem. Zresztą karmiliśmy nie tylko swoich. Od sierpnia przychodzili do nas uchodźcy z Howaj-ska, z Debalcewego, głównie rodziny z dziećmi i emeryci”. Anna, właścicielka restauracji NY Street Pizza, zawiesza głos. Franczyzę nabyła na długo przed wojną, ale w wyniku administracyjnej zawieruchy przejęła lokal. Na interesie wypa- ➔

dła i tak lepiej niż właściciele McDonaldów, które już dawno zabito deskami. „Przetrzymaliśmy na zapasach, ledwo, ale się udało. Teraz mamy wszystko, do tego taniej. Mięso jest lokalne, reszta produktów z Rosji”. Kobieta spogląda na zdjęcie, przedstawiające amerykańskich robotników odpoczywających na rusztowaniu. Gdyby nie dobiegający z kuchni rosyjski, lokal równie dobrze mógłby mieścić się przy Central Parku lub Pałacu Kultury i Nauki. „Nie planujemy zmieniać nazwy na „Moskwa” czy „St. Petersburg”, to miejsce ma już swoją tradycję. Ale podatki płacimy już tylko miejscowym”. Anna twierdzi, że mimo zawieruchy biznes prowadzi się zupełnie normalnie. Nie skarży się nawet na problemy z półświatkiem. „Nigdy nie było żadnej ochrony. Jedyne problemy to brak klientów. Teraz przychodzi znacznie mniej ludzi, mają trudności z dostaniem się tutaj, często nie wystarcza im pieniędzy na przejazd. Ale jestem optymistką”.

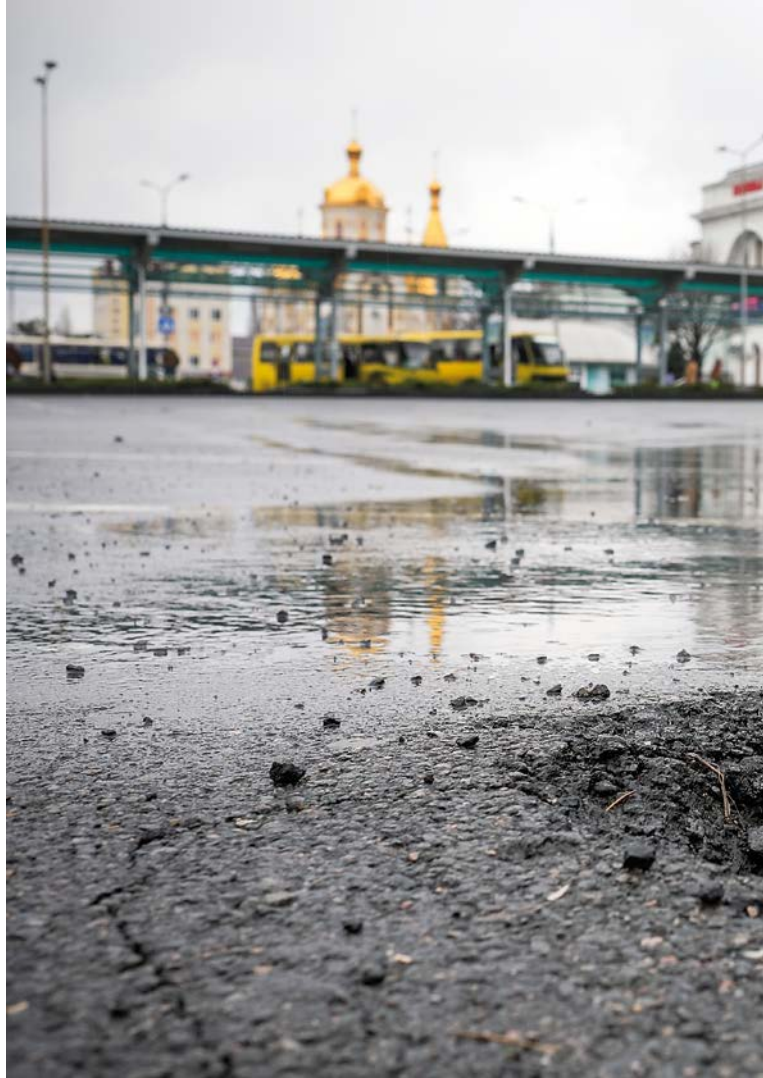
NAWET MILICJA PRZESTAŁA BRAĆ

Wzdłuż głównej arterii prowadzącej do rady okręgowej miasta jeszcze przed wojną rozwieszono billboardy. Te, które pamiętają czasy Euro, straszą luszczącym się papierem. Jedyne nieobdarte reklamy to ciągnące się po horyzont plakaty rekrutacyjne batalionu Wostok. Niektóre z nich głoszą, by się zastanowić nad służbą dla ojczyzny. Inne, bardziej bezpośrednie, zachęcają do wstąpienia w szeregi oddziału. Poniżej pokruszony gąsienicami asfalt, rozłokowane co parę kilometrów blokposty (punkt kontrolny) i beznamiętne miny kierowców.

Kilkupiętrowy budynek okręgowej rady miasta to moloch pamiętający świetność Sojuszu. Biurowiec był świadkiem również wydarzeń sprzed roku. Przed wejściem wciąż zerwana kostka brukowa, przy głównej bramie przestrelone szyby. Podczas protestów ktoś na frontowej ścianie drukowanymi literami napisał „Rosja”. Obok kilka podpisów, nazwisk, kwietniowych dat. Nad gmachem dwie flagi – rosyjska i DNR. W ich cieniu jakaś kobieta domaga się spotkania z naczelnikiem, ale odbija się od pilnujących wejścia żołnierzy. Bez dokumentów nie wolno, na dokumenty trzeba czekać. Lament kobiety i podniesione głosy mężczyzn nie wywołują żadnej reakcji wśród zebranych petentów.

Na ścianie wewnątrz, zaraz za popękaną szybą i workami z piaskiem, miejsce pamięci. Wiele fotografii przedstawia twarze, głównie mężczyzn, którzy polegli w czasie antymaidanowych manifestacji. Po przeciwnej stronie żeliwna mapa Donbasu i jeszcze jeden napis „Rosja”. Żołnierze, żartując między sobą, sprawdzają dokumenty, wydają przepustki, żegnają kończących pracę urzędników. Jednemu z nich dzwoni komórka. W holu rozbrzmiewa „Wstawaj Donbas, wstawaj mój kraj radnoy”.

„Ukraina nie wypłaca ani rent, ani emerytur. Odpowiedzialność za świadczenia przejęli Rosjanie”. Aleksandra, młoda prawniczka, między wierszami sugeruje, że teraz jest lepiej. Fakt, ceny produktów wzrosły blisko dwukrotnie, ale Rosjanie płacą porównywalnie więcej. Problem w tym, że tak bardzo potrzebne ludziom pieniądze zaczęły napływać dopiero od dwóch miesięcy. Zainteresowani muszą zgłosić się osobiście do wskazanych odgórnie placówek i stanąć w sięgającej kilkudziesięciu osób kolejce. Część wypłat, w tym dla emerytów i pracowników sektora publicznego, wciąż jest wstrzymana. „Nie jest łatwo, ale lepiej niż było. Ludzie płacą podatki, skończyły się łapówki, nawet milicja



Widok na dworce w Doniecku: autobusowy i kolejowy

przestała brać. W listopadzie mamy wybory władz lokalnych”, mówi Aleksandra. Nie wyobraża sobie powrotu do Ukrainy. Na autonomię mogłaby się zgodzić tylko wtedy, gdyby Kijów zrezygnował z unitarność. „Wszystko, co dzieje się w Ukrainie, jest grą biznesową oligarchów. Poroszenko robił cukierki i autobusy. A teraz co? W fabrykach autobusów robią tanki. U nas władza to zwykli ludzie, stoją z narodem. O, patrzcie, a tam po prawej stronie budują galerię, jak wasze Złote Tarasy”. Fundamenty i kilka pierwszych pięter wybijają się ponad ogrodzenie. Robotników brak, wszystkie inne galerie handlowe już dawno zamknięte.

PRZYJEŹDŹALI NAWET Z NIEMIEC

Przy stopach posągu Lenina kolejne miejsce pamięci. Tym razem wyblakłe fotografie przedstawiają twarze dzieci. Część z nich poległa na przedmieściach Doniecka, część w okolicznych miasteczkach – wszystkie w wyniku ukraińskiego ostrzału. Pod zdjęciami leżą maskotki. Być może różowy królik z rozerwanym uchem i zięjący ogniem smok jeszcze kilka miesięcy temu były świadkami tragedii rodziców. Teraz spoglądają na stojące nieopodal elektryczne samochodziki i chłopców ścigających się po placu na rolkach. W tle głuche eksplozje i serie wystrzałów, dochodzące od strony lotniska.

„Przyjeżdżali do nas z Azerbejdżanu, Kijowa, Rosji, Dniepropietrowska, nawet z Niemiec”, wylicza Nikołaj, nauczyciel WF-u ze szkoły sportowej w Makiejewce. Z dumą prezentuje puchary zdobyte przez jego podopiecznych. Kil-



MICHAŁ ZIELIŃSKI

W KWIETNIU 2014 ROKU **DONIECK** OBCHODZIŁ 145. ROCZNICĘ POWSTANIA

koro z nich startowało w olimpiadzie w Atlancie, a później w Pekinie. Tuż obok pucharów rozwieszono flagę DNR i mapę Donbasu. „Teraz nie można zorganizować międzyszkolnego turnieju. Ludzie się boją. Ale gramy. Co mamy nie grać...”. Na szkolnej hali właśnie trwa mecz pomiędzy Alteirem a Adamandem. Adamand przeprowadza szybką akcję i wychodzi na prowadzenie. Bramkarz bluzga na swoich obrońców. Stawka toczy się o piąte miejsce, ale piłkarze dają

z siebie wszystko. Na trybunach dziewczyny zawodników, kilku żołnierzy. Wędrują wzrokiem pomiędzy ekranami komórek a boiskiem.

„Przyszliście zobaczyć schron? Dobrze, tutaj jest plan ewakuacji”. Na planie szkoły flamastrami zaznaczono drogę ucieczki dla każdej z klas. Linie tworzą kolorowy labirynt, który ostatecznie i tak każdy musiał wykuć na blachę. Nigdy nie użyto schronu w czasie zajęć, ale kiedy bomby zaczęły spadać na okoliczne bloki, do piwnicy schodzili ludzie w nich mieszkający. „Każdy musiał mieć ze sobą paszport, wodę i coś do jedzenia. Ale nic więcej”, Nikolaj pociera nerwowo ręce. „Najdłużej siedzieliśmy dwa dni”.

W chwili, w której odezwał się alarm, uczniowie mieli do pokonania dwie kondygnacje, parę metalowych drzwi i długi, ciasny korytarz. Każdej z klas przyporządkowano osobne pomieszczenie, do którego wcześniej trafiły łóżka, zapasy, trochę zabawek i sprzętu do ćwiczeń. Łyse, otynkowane pospiesznie ściany zasłonięto plakatami z podobiznami piłkarzy i gwiazd muzyki pop. Mimo tego trudno nie odnieść wrażenia, że była to próba zagospodarowania tego, co wydawało się niemożliwe. W schronie półmrok, zaduch, ciasnota. Z betonowej podłogi po każdym kroku unosi się pył.

Nikolaj marszczy czoło, po czym uśmiecha się ze zrozumieniem. „Te rowery to dlatego, że dzieciaki ćwiczą triathlon. Właśnie tworzymy zespół”. O każdy wolny skrawek ściany oparto kolarzówkę. Większość z nich wymaga naprawy. Brakuje zębatek, hamulców, czasem całych kół. Obok leży kartonowe pudło z pobrudzonymi smarem częściami. „Wiecie co to triathlon?”.

Chwilę później Adamand wygrywa z Alteirem 3:1. Piłkarze składają sobie gratulacje, tylko bramkarz ze złością ciska rękawicami. Widać to on pragnie najsilniej, żeby w przyszłości przywdziać barwy Szachtara i zagrać na stadionie w Doniecku.

GDY ZAWYJE SYRENA

Ludzie zebrani w kawiarniach przy bulwarze Puszkina powoli kończą spotkania i rozchodzą się do domów. Część z nich minie gitarzystę, który rozstawił wzmacniacz i pod nosem rosyjskich żołnierzy gra ballady o wolności. Inni skierują się w stronę budynku rady okręgowej, przejdą pomiędzy stojącymi przy wejściu wartownikami i znikną pośród kamienic. Kilkoro zapewne skorzysta z trolejbusów, w których ze znużeniem będzie słuchać mechanicznego głosu, piętnującego wykroczenia na drodze, miętoląc przy tym jednorazowy bilet. Ci, którzy skierują się na wschód, wyjdą na wprost nowego stadionu miejskiego. Pięknego, dumnego i pustego. Pomyslą o konwojach wysyłanych przez Rinata Achmetowa i smutnych panach, którzy właśnie zbierają haracz w sklepiku na rogu.

Wraz z wybiciem godz. 22 w Doniecku zawyje syrena. Większość mieszkańców przyprawiający o dreszcze dźwięk zastanie w domach. Będą szykować się do snu, kochać się, myśleć o swoich bliskich. Część zasiądzie przed telewizorami, rozświetlając zaciemnione okna niebieskawą luną. Młodzi ludzie uasadowią się na podwórkowych murkach i przy butelce wódki będą rozmawiać o trudach życia oraz nogach dziewczyny mieszkającej dwie klatki obok. Tymczasem żołnierze na pobliskim lotnisku zaczną ostrzeliwać wroga i oznaczać swoje pozycje. Nikt nie zwróci uwagi na ich grę. ■

ROBERT SENDEK

Polityka w cieniu skandali

Kryzys polityczny w Macedonii zatacza coraz szersze kręgi, a wśród mieszkańców narasta poczucie bezsilności, frustracja i gniew.



Niełatwą sytuację w Macedonii dodatkowo skomplikowały zamieszki w Kumanovie, gdzie zginęły 22 osoby, w tym ośmiu policjantów. Wydarzenie to było szokiem, wrócił lęk przed wojną domową.



AFP/ARMEND NIMANI/EAST NEWS

W 2016 roku Macedonia będzie święciła 25-lecie niepodległości, proklamowanej we wrześniu 1991 roku. Kraj przestał wówczas być częścią Jugosławii. Minione dwie i pół dekady były dla tego państwa czasem powolnego budowania własnej państwowości i tworzenia podwalin społeczeństwa demokratycznego. Problemów jednak, wraz z upływem lat, zamiast ubywać, przybywa. Do podstawowych należy ciągnący się od dawna i właściwie nierozwiązywalny spór ideologiczny z Grecją o nazwę kraju.

Grecy uważają, że określenie „Macedonia” stanowi element ich dziedzictwa. Tak nazywa się bowiem jeden z greckich regionów, więc oni nie godzą się na używanie tej nazwy przez kraj sąsiedni. Z tego też powodu Grecja od lat blokuje starania Macedonii o wstąpienie do NATO i Unii Europejskiej, mimo że ta bałkańska republika status kandydata uzyskała już ponad dziesięć lat temu. Rozmowy akcesyjne jednak nie ruszyły do dzisiaj.

Innym problemem, komplikującym sytuację polityczną Macedonii, są napięcia etniczne między słowiańskimi Macedończykami a stanowiącymi niemal jedną czwartą ludności kraju Albańczykami. W 2001 roku w zachodniej części państwa doszło do zbrojnych wystąpień, motywowanych staraniami o poprawę sytuacji ludności albańskiej. Sytuacja była groźna. Pesymiści przewidywali nawet wybuch wojny domowej. Na szczęście kryzys został zażegnany, aczkolwiek napięcia na linii podziałów etnicznych i politycznych pozostały.

Niełatwą sytuację polityczną komplikuje ponadto fakt, że Macedonia mierzy się z wysokim bezrobociem (powyżej 25%), znaczną emigracją, kryzysem w szkolnictwie, napływem nielegalnych imigrantów, pogarszającą się gwałtownie sytuacją wolnych mediów, a wreszcie coraz bardziej kulejącą demokracją.

Krajem od dziewięciu lat rządzi premier Nikola Gruevski, szef konserwatywnej partii Wewnętrzna Macedońska Organizacja Rewolucyjna – Demokratyczna Partia na Rzecz Macedońskiej Jedności Narodowej (VMRO-DPMNE). Oskarża się go o autorytarne zapędy, psucie demokracji oraz kneblowanie wolnych mediów. Problem jednak w tym, że w kwietniu 2014 roku Gruevski znów poprowadził swoją partię do zwycięstwa: VMRO-DPMNE zebrała ponad 42% ważnych głosów, pozostając najważniejszym graczem na scenie politycznej. Z wynikami wyborów nie chce pogodzić się opozycja. Zoran Zaev, szef głównej partii opozycyjnej – Macedońskiego Sojuszu Socjaldemokratycznego – twierdzi, że kolejne zwycięstwo Gruevskiego i VMRO-DPMNE wynika z tego, iż władze stworzyły układ, w którym dziennikarze oraz ośrodki informacyjne są uzależnieni od rządowych subsydiów. Prezentują zatem jednoznacznie prorządową propagandę, a opozycyjne media są blokowane bądź zamykane pod najróżniejszymi pretekstami.

UWIKŁANI W SYSTEM

W sytuacji, gdy niezależne media właściwie nie istnieją, Zaev sięga po niestandardowe metody walki politycznej. Od stycznia 2015 roku regularnie „odpala petardy”, czyli upublicznia na konferencjach prasowych oraz w mediach społecznościowych materiały kompromitujące obecną władzę i rządy Gruevskiego. Zaev twierdzi mianowicie, że Gruevski i jego partia stworzyli system przestępczy, w którym służby miały w ciągu ostatnich kilku lat nielegalnie podsłuchiwać ponad 20 tys. osób. O skali nieprawidłowości mówią liczby: w dyspozycji służb ma pozostawać – takie dane pojawiały się w prasie →

W MACEDONII MOŻE DOJŚĆ DO ESKALACJI KONFLIKTU

– ponad 670 tys. nagrań z rozmów telefonicznych nie tylko polityków najwyższego szczebla, lecz także przedstawicieli opozycji, dziennikarzy, sędziów, duchownych, ambasadorów, pracowników organizacji pozarządowych, właściwie wszystkich. W zapisach rozmów pojawiają się informacje o sprawach szokujących: korupcji w najwyższych kręgach władzy, nieprawidłowościach podczas przeprowadzania wyborów, manipulacji mediami, a nawet tuszowania morderstwa! Winą za to wszystko Zaev obarczył rząd Gruevskiego.

Opublikowane materiały wzburzyły opinię publiczną. Gruevski próbował łagodzić napięcie dymisjami. W efekcie doszło do zmian w rządzie: ze stanowiska ustąpiło kilku wyższych urzędników, w tym Gordana Jankułowska, szefowa macedońskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, oraz Sasza Mijałkow, zwierzchnik służb. Sam Gruevski uważa jednak, że ma poparcie narodu, potwierdzone w ubiegłorocznych wyborach, i nie zamierza ustąpić ze stanowiska.

Zaev twierdzi, że zapisy z podsłuchów dostał ze służb od oficerów patriotów i publikuje je w interesie państwa i narodu. Ponieważ jednak nie wiadomo dokładnie, skąd bierze kolejne materiały, zostały przeciwko niemu wytoczone poważne oskarżenia: o współpracę z obcym wywiadem i poprzez destabilizowanie sytuacji w kraju próbę doprowadzenia do zmiany władzy w sposób niedemokratyczny. Jak twierdzi strona rządowa, podsłuchy są wynikiem działania obcych służb (choć nie wiadomo właściwie jakich). Ogłoszono też, że przywódca partii opozycyjnej miał współpracować z byłym pracownikiem macedońskiego wywiadu, Zoranem Veruševskim, w którego domu odnaleziono materiały związane z podsłuchami.

Zaev pozuje na trybuna ludowego, który działa w imieniu państwa i narodu, ale sam nie ma czystych rąk: w przeszłości był oskarżany o nadużycia finansowe i korupcję. W szczycie antyrządowych protestów (co pozwala sądzić, że jest to element walki politycznej) wypłynęły kompromitujące go materiały video, dokumentujące, jak od lokalnego przedsiębiorcy domaga się łapówki w wysokości 200 tys. euro.

LEK PRZED WOJNĄ DOMOWĄ

Powodem rosnącego niezadowolenia społecznego są zarówno arogancja władzy, jak też niepopularne decyzje rządu. Już jesienią 2014 roku zaczęły się protesty, wynikające z zapowiadanej przez rząd reformy w oświacie. Władze chciały bowiem przeforsować własny projekt, który został przyjęty bez żadnych dyskusji ani konsultacji społecznych. Do tego doszły już na początku 2015 roku pogarszająca się sytuacja gospodarcza i społeczna, napięcia na tle etnicznym oraz publikowane przez Zaeva „petardy”. Po ujawnieniu jednej z nich ludzie wyszli na ulice w proteste wobec nadużyć władzy. Żądano także głębokiej reformy systemu politycznego w kraju oraz ustąpienia premiera Gruevskiego. Brutalne rozprawienie antyrządowej manifestacji na początku maja doprowadziło do kolejnych protestów, tym razem przeciwko agresywnemu działaniu policji.

Sytuację dodatkowo skomplikowały zbrojne zamieszki w Kumanovie. To miasto położone w północnej części kraju, niedaleko granicy z Kosowem. W walkach ulicznych, które rozpoczęły się wczesnym rankiem 9 maja i trwały do godz. 10 dnia następnego, uczestniczyła uzbrojona grupa (jak później ustalono, część jej członków pochodziła z Kosowa, a część to przedstawiciele lokalnej mniejszości albańskiej). Podczas tłumienia zamieszek przez macedońskie siły porządkowe zginęły 22 osoby, w tym ośmiu policjantów, wiele osób zostało rannych. Część członków bandy została schwytana. W prasie pojawiały się informacje, że należeli oni do albańskiej Armii Wyzwolenia Narodowego bądź Armii Wyzwolenia Kosowa.

Wydarzenie to było dla całego kraju szokiem: wrócił bowiem lęk przed wojną domową. Zaraz też pojawiły się pytania o cel całej akcji, ponieważ dla niektórych komentatorów i polityków pewne sprawy nie były oczywiste, a oficjalnie podawane wyjaśnienia wydawały się wątpliwe. Pytano na przykład, dlaczego członkowie bandy nie wysuwali żadnych żądań ani postulatów, skoro było to zbrojne wystąpienie w obronie praw ludności albańskiej. W środowiskach opozycyjnych wobec władzy pojawiły się nawet domysły, że za akcją w Kumanovie stoi rząd i sam Gruevski, który rozpętując niepokoje wewnętrzne, próbuje odwrócić uwagę opinii publicznej od całej afery związanej z podsłuchami oraz rozproszyć protesty.

Przedstawiciele Unii Europejskiej, Stanów Zjednoczonych, NATO i OBWE zaapelowali o uspokojenie sytuacji w kraju oraz zapobieżenie eskalacji konfliktu. Również Rosja dołożyła swoje trzy grosze, ogłaszając, że Macedonia jest kolejnym obszarem, gdzie Zachód (czyli przede wszystkim USA) próbuje doprowadzić do następnej kolorowej rewolucji.

WYJŚCIE Z KRYZYSU

Przyszłość Macedonii wydaje się rysować w coraz ciemniejszych barwach. Zachodni politycy domagają się rzetelnego wyjaśnienia strzelaniny w Kumanovie oraz rozwiązania najważniejszych problemów wewnętrznych. Johannes Hahn, austriacki eurokomisarz do spraw polityki sąsiedztwa, na początku czerwca zaprosił do Brukseli przedstawicieli czterech największych macedońskich partii politycznych, by przedyskutowali możliwe scenariusze wyjścia z kryzysu. Efektem tych rozmów jest koncepcja, by wiosną 2016 roku przeprowadzić w Macedonii przedterminowe wybory parlamentarne, do tego zaś czasu parlament ma wprowadzić do kodeksu wyborczego zmiany, które powinny zagwarantować uczciwy przebieg kampanii wyborczej i samych wyborów. Szczegółów jednak nie udało się ustalić, przede wszystkim składu ewentualnego rządu przejściowego, który miałby przygotować wybory, oraz tego, kiedy miałby on objąć władzę. Przyszłość Macedonii pozostaje zatem niejasna. ■

ROBERT SENDEK JEST SLAWISTĄ I BAŁKANISTĄ.
ZAJMUJE SIĘ PROBLEMATYKĄ JĘZYKOWĄ
I NARODOWOŚCIOWĄ POŁUDNIOWYCH BAŁKANÓW.
PRACOWNIK UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

GRZEGORZ
JANISZEWSKI

Demonstracja siły

**NIEWYKLUCZONA JEST
ZMIANA POLITYKI
ZAGRANICZNEJ ROSJI NA
BARDZIEJ PRAGMATYCZNĄ
I OTWARTĄ**



Od kilkunastu miesięcy trwa seria ćwiczeń i sprawdzania gotowości bojowej Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Towarzyszą temu zapowiedzi wprowadzania nowych typów uzbrojenia i reaktywowania wycofanych z produkcji. Na pierwszym Międzynarodowym Forum Wojskowo-Technicznym „Armia 2015” w Kubince koło Moskwy w czerwcu 2015 roku Władimir Putin obiecał Rosjanom wzrost potęgi militarnej państwa i wprowadzenie w najbliższym czasie do uzbrojenia 40 nowych międzykontynentalnych pocisków rakietowych z głowicami jądrowymi. Działania te są obliczone na wywołanie podwójnego skutku. Putin realizuje w ten sposób obietnicę daną Rosjanom, że uczyni z ich kraju światowe mocarstwo.

W stosunku do państw Europy Zachodniej, po długotrwałym okresie stosowania „soft power”, rosyjskie władze przeszły do używania twardych środków oddziaływania, swoistej „threat power”. Polega ona na zastosowaniu w niekonwencjonalny sposób środków militarnych do osiągania celów politycznych. Nieustanne naruszanie przestrzeni powietrznej przez rosyjskie samoloty, demonstracje siły nad granicami i militaryzacja niektórych regionów, takich jak Krym czy obwód kaliningradzki, mają służyć zastraszaniu społeczeństw i zachodnich polityków. Działania te przynoszą pewne rezultaty. W przeprowadzonych sondażach ponad połowa ankietowanych z Niemiec, Włoch i Francji opowiedziało się przeciwko udzieleniu pomocy sojusznikom z NATO w razie rosyjskiej agresji.

Z drugiej strony, następuje aktywizacja państw zachodnich. Seria ćwiczeń NATO, przeprowadzonych w ubiegłym i tym roku, oraz utworzenie tzw. szpicy sojuszu, której gotowość była ostatnio sprawdzana podczas „Noble Jump”, ma pokazywać, że polityka Federacji Rosyjskiej napotyka zdecydowaną odpowiedź. Jednocześnie, pomimo wprowadzonych sankcji, jest podtrzymywana współpraca gospodarcza i polityczna między państwami Europy Zachodniej a Federacją Rosyjską. Poziom ich wzajemnego uzależnienia sprawia, że kluczowe projekty gospodarcze są kontynuowane. Trudno się więc oprzeć wrażeniu, że pomimo istotnego pogorszenia warunków bezpieczeństwa w Europie, konflikt z Federacją Rosyjską istnieje bardziej w kategoriach retorycznych niż możliwej agresji. Przeniesienie ciężaru aktywności Stanów Zjednoczonych na obszar Pacyfiku, niestabilna sytuacja na Bliskim Wschodzie i wewnętrzne problemy Unii Europejskiej sprawiają, że państwa Europy Zachodniej kontynuują dotychczasową politykę, pozwalając na dalsze koncesje na obszarze postrzeganym jako strefa wpływów Rosji.

Ostatecznie prawdopodobnie dojdzie do ustalenia politycznego modus vivendi, które pozwoli na współpracę Europy Zachodniej z Rosją. Decydującym czynnikiem do jego utrzymania będzie wypracowanie nowej polityki zagranicznej państw Unii Europejskiej, zwłaszcza postawa Niemiec. Wiele zależy również od rozwoju sytuacji w Federacji Rosyjskiej. Kontynuowanie agresywnego kursu będzie prowadzić do przewlekłego konfliktu, uniemożliwiającego normalizację stosunków Rosji z sąsiadami. Niewykluczona jest natomiast zmiana polityki zagranicznej Rosji na bardziej pragmatyczną i otwartą, między innymi pod wpływem nacisku zagrożonych grup interesu. Umożliwiłoby to regulację wzajemnych stosunków na trudnych, jednak możliwych do przyjęcia przez obie strony podstawach. Kluczowym aspektem wydaje się tu sytuacja na Ukrainie. Definitywne rozstrzygnięcie konfliktu na ko-

rzyść Rosji lub przeciwko jej interesom zdecyduje prawdopodobnie o sukcesie całego projektu utrwalenia rosyjskiej strefy wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej. ■

MJR GRZEGORZ JANISZEWSKI SPECJALIZUJE SIĘ W TEMATYCE SIŁ ZBROJNYCH PAŃSTW BYŁEGO ZSRR. SŁUŻY W DOWÓDZTWIE 3 SKRZYDŁA LOTNICTWA TRANSPORTOWEGO.

| XX WIEK |

TADEUSZ WRÓBEL

APETYT NA KAUKAZ

Armia carska odniosła wiele sukcesów w walkach z wojskami tureckimi podczas I wojny światowej. Korzystny zwrot polityczny uratował jednak Turków przed klęską, a na dodatek pozwolił odzyskać część ziem utraconych w XIX wieku na rzecz Rosji.

Mykita Samokisz „Bitwa pod Köprüköy”



Zwycięstwo Rosjan
pod dowództwem
gen. Nikołaja Judenicza nad
Turkami Abdula Kerima
Paszy pod Köprüköy, styczeń
1916 roku



Imperium otomańskie zwlekało do listopada 1914 roku z włączeniem się do wojny, która wybuchła latem w Europie. Ostatecznie Turcy opowiedzieli się po stronie dwóch cesarstw, Niemiec i Austro-Węgier, a faktycznie zostali wciągnięci w konflikt przez Niemców. To posunięcie miało mieć dla nich w przyszłości katastrofalne skutki. Ówczesna Turcja, wyczerpana dwiema wojnami bałkańskimi w latach 1912–1913, nie była bowiem przygotowana do kolejnego konfliktu. Tymczasem władze w Stambule, wypowiadając wojnę entencie, stanęły w obliczu konieczności walki na kilku różnych frontach. Najgroźniejszy z nich był front kaukaski.

WIELKA ODBUDOWA

Do tureckiego wojska z powodów politycznych byli wcielani głównie poborowi wyznający islam, którzy ukończyli 20 lat (obowiązek wojskowy kończył się po osiągnięciu 45 lat). Niemuzułmanie musieli natomiast uiszczać specjalny podatek. Wojsko tureckie zostało podzielone na oddziały aktywne (nizامية), rezerwowe (redif) i terytorialne (mustahfiz). W tych ostatnich byli rezerwiści najstarszych siedmiu roczników. Na początku XX wieku turecki poborowy służył w jednostkach piechoty przez trzy lata, a w artylerii i służbach technicznych rok dłużej. W 1914 roku okres ten skrócono odpowiednio do dwóch i trzech lat. Powodem było dążenie do zwiększenia wyszkolonych rezerw, które zostały uszczuplone przez krwawe wojny na Bałkanach.

Płk Edward J. Ericsson w publikacji „Turkey Prepares for War 1913–1914” podaje, że w momencie wybuchu wojny latem 1914 roku imperium osmańskie miało pod bronią 208 tys. żołnierzy. W 1914 roku jednostki tureckich wojsk lądowych w czasie pokoju były głęboko skadrowane. W dywizji piechoty zatem, której etat wojenny wynosił 10 tys. żołnierzy, realnie służyło zaledwie 4 tys. Co więcej, w sierpniu 1914 roku aż 22 z 36 tych związków taktycznych były w trakcie odbudowy po wojnach bałkańskich, w tym 14 odtwarzano od podstaw. Oznaczało to, że Turcy nie byli w stanie podjąć szybko działań militarnych.

Ich rozwinęta armia połowa miała liczyć 12 469 oficerów oraz 477 868 podoficerów i szeregowych. W jej skład miało wejść także 160 tys. zwierząt. Do tego dochodziło 42 tys. członków

mobilnych formacji paramilitarnych, między innymi 25 tys. żandarmów i 12 tys. strażników granicznych. Turecki sztab generalny zasoby mobilizacyjne państwa szacował na 2 mln ludzi, z których połowa była łatwo dostępna. Poza armią połową następne kilkaset tysięcy miało służyć w jednostkach fortecznych, obrony wybrzeża i komunikacyjnych.

Nie najlepsza była też sytuacja Turków w kwestii uzbrojenia artyleryjskiego i wyposażenia technicznego. Większość z tureckich dywizji miała tylko 21 z 24 etatowych haubic kalibru 75 mm. Na szczepku korpusu było jedynie 12 haubic kalibru 105 mm. Problemem była też mozaika typów dział. Turcy mieli w tym czasie wyroby francuskiego Schneidera, niemieckiego Kruppa i austro-węgierskiej Skody. Potężne braki były też w broni strzeleckiej. Szacowano, że wojsko potrzebuje jeszcze 200 tys. dodatkowych karabinów. Do tego dochodziły niewielkie zapasy amunicji. Edward J. Ericsson w publikacji „The Armenians and Ottoman Military Policy, 1915” podaje, że było około 850 pocisków na działo, co stanowiło 50% liczby uznawanej za minimum wojenne w krajach zachodnich.

ZMIENNE LOSY

Imperium osmańskie znalazło się w stanie wojny z Rosją w końcu października 1914 roku, gdy przekazane mu przez Niemców krążowniki „Göeben” i „Breslau” ostrzelały czarnomorskie porty Sewastopol, Odessę i Noworosyjsk. Pierwszym wojennym celem Turków było odzyskanie ziemi utraconych w poprzedniej wojnie z Rosją w latach 1877–1878. Politycy i wojskowi w Konstantynopolu snuli plany zajęcia nawet Tyflisu (dziś Tbilisi). Liczyli na to, że wkroczenie ich armii na Zakaukazie wywoła powstanie zamieszkujących północny Kaukaz mużulułmanów. Dla Niemców zaś jednym z kluczowych celów wciągnięcia imperium osmańskiego w wojnę było zmuszenie Rosjan do rozproszenia swej armii. Ważne znaczenie miały też dla obu stron kaspijskie złoża ropy naftowej.

Na kierunku kaukaskim w 1914 roku była rozmieszczona turecka 3 Armia. W jej składzie znalazły się trzy korpusy armijne – IX, X i XI. Trzy z dziewięciu dywizji w tym regionie były odtwarzane od podstaw po wojnach bałkańskich. Czte-



Rosyjskie pozycje w lasach Sarykamysz 1914–1915

NA PRZEŁOMIE LAT 1915 I 1916 LICZEBNOŚĆ SIŁ ROSYJSKICH NA FRONCIE KAUKASKIM ZWIĘKSZYŁA SIĘ DO **200 TYS.** ORAZ 380 DZIAŁ I MOŹDZIERZY

ry inne przeniesiono tam z Tracji. Główną twierdzą turecką w tym miejscu był zaś Erzurum. Szacuje się, że wraz z rezerwami, jednostkami logistycznymi i żandarmerii Turcy mieli w tym regionie około 190 tys. ludzi.

W 1914 roku rosyjska Armia Kaukaska miała dwa korpusy z dwiema dywizjami piechoty, trzema brygadami strzelców oraz dywizją i brygadą kawalerii kozackiej. Jesienią została ona osłabiona, ponieważ część oddziałów wysłano na front w Prusach. Tuż przed wybuchem wojny z Turcją, po mobilizacji, była podzielona na dwa zgrupowania – karskie, z około sześcioma dywizjami, i erylwańskie – z dwiema dywizjami oraz jednostkami kawalerii.

Rosyjska armia zaatakowała pozycje tureckie już 2 listopada 1914 roku. Na terytorium państwa osmańskiego wkroczył korpus kaukaski gen. Georgija Bergmana. Turcy szybko przystąpili do kontrnatarcia, w którego wyniku przeciwnik poniósł wielkie straty. Szacuje się, że podczas dwutygodniowych walk Rosjanie stracili 40 tys. ludzi. Morale ich wojsk po bitwie było bardzo złe. Turecki minister wojny İsmail Enver chciał to wykorzystać i rozkazał opracować plan wielkiej ofensywy, która przeszła do historii jako bitwa pod Sarykamysz.

Turcy zamierzali uderzyć na Rosjan na płaskowyżu leżącym na wysokości do 2 tys. m n.p.m., wykorzystując 118 tys. żołnierzy. Ich wywiad szacował siły rosyjskie tylko na 65 tys. ludzi. Powodzenie tureckiego planu operacyjnego, wzorowanego na działaniach niemieckich i napoleońskich, zależało od tego, czy nacierające równocześnie korpusy 3 Armii będą

zgodnie z harmonogramem zajmować określone pozycje. W warunkach zimowych, do których żołnierze tureccy nie byli przygotowani, przy bardzo złej infrastrukturze drogowej, okazało się to niewykonalne. Potwierdzeniem braku koordynacji działań w tej armii była czterogodzinna bitwa we mgle. Walkę stoczyły ze sobą 23 grudnia w rejonie Narman dwie tureckie dywizje piechoty – 31 i 32. Te jednostki straciły w bratobójczym starciu aż 2 tys. żołnierzy.

W tym czasie walki rozszerzyły się na północną Persję, gdzie wkroczyły wojska tureckie, próbując obejść Rosjan. Ci zaś podjęli kontrdziałania. Walki w Persji toczyły się przez całą wojnę, ale zaangażowane w nie były niewielkie siły tureckie, rosyjskie oraz brytyjskie.

Pierwszy raz Turcy próbowali zdobyć Sarykamysz 29 grudnia 1914 roku, ale ich wojska zostały powstrzymane przez Rosjan, którzy na początku stycznia 1915 roku przeszli do ofensywy. Bitwa obnażyła wszystkie problemy armii osmańskiej, w tym tragiczny poziom jej służb kwatermistrzowskich. Żołnierze nie mieli odpowiednich mundurów i butów. Tysiące zmarły z powodu wyczerpania, chorób i wyziębienia. W trakcie ponadtrzytygodniowej bitwy o Sarykamysz liczebność 3 Armii zmalała ze 118 tys. do 42 tys. osób. Uwzględniając jednostki pomocnicze, straty były jeszcze większe. W niektórych dywizjach przekroczyły 90% żołnierzy.

Na początku lutego, po otrzymaniu uzupełnień, 3 Armia miała około 70 tys. ludzi. Wiosną 1915 roku Turcy ponieśli jednak kolejne porażki i stracili 58 tys. żołnierzy. Rosjanie



zajęli między innymi 17 maja miasto Wan. W lipcu 1915 roku obie armie stoczyły bitwy w rejonie mającego symboliczne znaczenie Manzikertu, gdzie w 1071 roku Turcy pokonali armię bizantyjską. Na początku sierpnia wojska osmańskie odzyskały Wan. Wraz z cofającymi się wojskami rosyjskimi z regionu uciekło ćwierć miliona ormiańskich uchodźców.

ARMEŃSKA KARTA

Rosyjski sukces krwawo okupili Ormianie żyjący w imperium osmańskim. To na nich wyładował swoją wściekłość po przegranej bitwie minister Enver. Polityk uznał, że Ormianie są rosyjską piątą kolumną i przygotowują zbrojne powstanie. Nie bez wpływu na te posądzania były przedwojenne działania Armeńskiej Federacji Rewolucyjnej, czyli dasznaków. Turcy mieli informacje o przemyśle broni do ich części Armenii. Z pewnością Ormianie nie byli dobrze nastawieni do państwa tureckiego, gdzie często bywali ofiarami brutalnych represji. Rosja wykorzystała te nastroje.

W armii carskiej utworzono ormiańskie bataliony ochotnicze. Pierwsze cztery sformowano latem 1914 roku, w celu uzupełnienia luk powstałych w siłach na Kaukazie, po wysłaniu stamtąd kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy na front w Prusach. Szacuje się, że w trakcie wojny w jednostkach ochotniczych mogło służyć 150 tys. Ormian. Po wybuchu wojny na zamieszanych przez nich terenach Turcji miały miejsce działania partyzanckie, sabotaże (blokady dróg i przerywanie łączności). Zdarzały się też zamachy bombowe na tureckich urzędników i cywilów oraz ich zabójstwa. Ormianie otwarcie współpracowali także z wojskami rosyjskimi. Brutalną reakcję Turków sprowokował zbrojny opór, jaki w kwietniu 1915 roku stawili wojsku mieszkańcy miasta Wan, którzy utrzymali się tam do czasu zajęcia go przez Rosjan.

Za symboliczny początek wielkich represji tureckich wobec Ormian uważa się aresztowanie 24 kwietnia 1915 roku w Konstantynopolu 250 intelektualistów i działaczy społecznych, z których większość potem zamordowano. 30 maja 1915 roku minister spraw wewnętrznych Mehmet Talaat wydał rozkaz przesiedlenia Ormian z sześciu wschodnich prowincji do Syrii i rejonu Mosulu. Mieli być oni lokowani w miejscach oddalonych o co najmniej 25 km od głównych szlaków komunikacyjnych.

Ormianie próbowali się opierać. W lipcu wybuchły bunt w kilku dużych miastach. Turcy musieli wysłać jako wsparcie dla jednostek terytorialnych i żandarmerii trzy regularne dywizje piechoty. Do jesieni ormiański opór został jednak zduszony. Wojska osmańskie zabiły tysiące osób. Przed zimą większość Ormian żyjących we wschodniej Turcji została przesiedlona.

Deportacjom towarzyszyły masowe zbrodnie. Istnieją relacje o paleniu ludzi żywcem, wrzucaniu do morza, mordowaniu z użyciem gazów trujących i narkotyków, jak również celowym zakażeniu tyfusem. Wielu Ormian zmarło podczas przesiedleń z powodu chorób i wyczerpania. Nie ma jednoznacznych danych o liczbie ofiar. Turcja utrzymuje, że życie straciło kilkadziesiąt tysięcy osób, a zagraniczni eksperci mówią o 0,8–1,5 mln zamordowanych mężczyzn, kobiet i dzieci. Ankara odrzuca też określenie masakr Ormian jako ludobójstwo. Turcy przypominają, że ofiarami pogromów byli w czasie wojny również zamieszkujący Kaukaz muzułmanie. Do jednego z największych doszło między 30 marca a 2 kwietnia



Andranik Ozanian, dowódca armeńskiego batalionu ochotniczego na Kaukazie

1918 roku w Baku, gdzie, zależnie od źródeł, straciło życie od 3 tys. do 20 tys. osób.

ZASKAKUJĄCY ZWROT

Na przełomie lat 1915 i 1916 liczebność sił rosyjskich na froncie kaukaskim zwiększyła się do 200 tys. oraz 380 dział i moździerzy. Choć kończyły się walki o Gallipoli, turecka 3 Armia nie dostała znaczącego wsparcia, a nawet musiała wysłać część swych wojsk na front w Mezopotamii. Szacuje się, że Turcy mieli 126 tys. żołnierzy, ale 50,5 tys. było w jednostkach piechoty, dysponowali 74 tys. karabinów, 77 karabinami maszynowymi oraz 180 działami i moździerzami.

W styczniu 1916 roku rozpoczęła się zaskakująca dla Turków rosyjska ofensywa. Celem było Erzurum. Ponieważ wojska carskie pod dowództwem gen. Nikołaja Judenicza miały ponaddwukrotną przewagę liczebną, turecka 3 Armia poniosła porażkę i musiała się wycofać z twierdzy. Rosjanie po zajęciu Erzurum kontynuowali natarcie, opanowując w kwietniu Trapezunt, w maju Erzincan. W lipcu 3 Armia znowu została pokonana pod Erzincan. Ostatnim sukcesem wojsk carskich było zajęcie w sierpniu, po wielomiesięcznych walkach, miasta Bitlis. Od września 1916 roku na froncie kaukaskim nie było większych walk. Działaniom wojennym nie sprzyjała bowiem wyjątkowo ostra zima w latach 1916–1917.

Przed całkowitą klęską w starciu z Rosją armię turecką uratowały problemy wewnętrzne przeciwnika. W lutym 1917 roku wybuchła rewolucja, której skutkiem było obale-



Ormianka nad zwłokami dziecka



Żołnierze tureckiej 3 Armii w pobliżu Sarykamysz

W CZASIE DEPORTACJI ORMIAN DOSZŁO DO MASOWYCH RZEZI

nie rządów cara Mikołaja II. Chaos pogłębiła bolszewicka rewolta w październiku 1917 roku. Powstały w listopadzie Komitet Zakaukaski, który reprezentował ugrupowania przeciwne partii Lenina, podpisał 18 grudnia 1917 roku w Erzincan rozejm z Turcją. W lutym 1918 roku walki jednak zostały wznowione.

Wojna domowa, w której pogrążyło się imperium Romanowów, pozwoliła Turkom przystąpić do odzyskiwania utraconych w przeszłości terenów. Wojska rosyjskie opuściły na początku 1918 roku pozycje na froncie kaukaskim. 3 marca 1918 roku bolszewicka Rosja podpisała traktat pokojowy w Brześciu, który kończył formalnie konflikt z Turcją. Ta miała uzyskać obwody Ardaхан, Batumi i Kars. Turcy odzyskali Erzurum, ale do 12 kwietnia 1918 roku kontrolowali też Kars, Batumi, Ardahan i Aleksandropol (obecne Gumri). Traktat pokojowy podpisany 4 czerwca

1918 roku w Batumi z trzema niepodległymi wówczas republikami zakaukaskimi był również korzystny dla strony tureckiej. Porozumienie nie oznaczało jednak pokoju na Kaukazie. Ormianie próbowali dalej walczyć, ale sytuacja polityczna i wojskowa pragnących niepodległości narodów kaukaskich stała się niezwykle trudna.

Brytyjczycy nie mieli woli politycznej do angażowania się w wielki konflikt z czerwoną Rosją, by utrzymać Zakaukazie. Upokorzona przez aliantów Turcja nawiązała zaś ścisłą współpracę z bolszewikami. Ten sojusz doprowadził ostatecznie do upadku niepodległych państw zakaukaskich. Traktat podpisany 16 marca 1921 roku w Moskwie wyznaczył nowy przebieg granicy. Bolszewicy przejęli Zakaukazie, ale musieli rzec się na rzecz Turcji większości ziem przyznanych jej traktatem brzeskim. Wyjątkiem był obwód batumski, który został podzielony. ■

ANDRZEJ
FĄFARA

Boks w cieniu krematoriów

CZY MOŻNA BYŁO STOCZYĆ
W CIĄGU DWÓCH LAT **PONAD**
200 WALK BOKSERSKICH,
BĘDĄC WIĘZNIEM OBOZU
KONCENTRACYJNEGO
W AUSCHWITZ?



W jednym z kanałów telewizyjnych niedawno mignął mi film pod tytułem „Triumf ducha” z Willemem Dafoe w roli głównej. Gra on greckiego boksera pochodzenia żydowskiego Salama Aroucha, który jako więzień obozu koncentracyjnego w Auschwitz stoczył ponad 200 zwycięskich pojedynków na pięści. Arouch walczył ku uciechu Niemców, ale i innych więźniów, dla których była to jedyna rozrywka w tym piekielnym miejscu.

Czy tak było w rzeczywistości? Bohater filmu był postacią autentyczną, ale jak znam hollywoodzkich scenarzystów, na pewno trochę podrasowali całą tę historię, żeby łączyły i emocje dało się przeliczyć po dobrym kursie na dolary. Wątpliwości budzi na przykład liczba walk Aroucha. Trafił on do obozu w 1943 roku, więc w ciągu dwóch lat musiałby walczyć co najmniej dwa razy w tygodniu. Mało prawdopodobne, ale mimo wszystko możliwe. Rzecz się w końcu działa w Auschwitz, a nie w Madison Square Garden w Nowym Jorku.

Mało kto wie, że podobne były wojenne losy dwóch polskich pięściarzy, Antoniego Czortka i Tadeusza Pietrzykowskiego. Oni też znaleźli się w Auschwitz i też toczyli tam bokserskie walki. Obaj byli na pewno lepszymi sportowcami niż Arouch. Czortek miał na koncie wicemistrzostwo Europy, czterokrotnie zdobywał mistrzostwo Polski. Pietrzykowski (nie był spokrewniony z powojennym mistrzem boksu, Zbigniewem) mógł się pochwalić wicemistrzostwem kraju i tym, że trenował go sam Feliks Stamm, jeden z najwybitniejszych szkoleniowców w historii polskiego sportu.

Tymczasem Arouch wspominał, że w 1941 roku został mistrzem Bałkanów. Hm... Prawie całe Bałkany od kwietnia 1941 roku znajdowały się w ogniu wojny. Arouch miał wtedy 18 lat. Czy mógł zdobyć to mistrzostwo półwyspu? Teoretycznie mógł, choć, prawdę powiedziawszy, nigdy nie słyszałem o takim turnieju.

Ale i opowieść Czortka ma swoje słabe punkty. W pewnym momencie Polak dostał propozycję nie do odrzucenia – stoczenie pojedynku z potężnym esesmanem o nazwisku Walter. Trzeba wiedzieć, że Czortek był mężczyzną drobnym, przed wojną walczył najczęściej w kategorii piórkowej, czyli mógł ważyć nie więcej niż 58 kg. Tenże Walter miał powiedzieć, że jeśli Polak przegra, to straci życie. W to jeszcze można było uwierzyć. Cóż znaczyło życie więźnia w Auschwitz? Ale to, co nastąpiło potem, wydaje się mało prawdopodobne. Czortek już pierwszym ciosem powalił Niemca. Obserwujący pojedynek więźniowie, wzięli Polaka na ramiona i śpiewając hymn, zanieśli do baraku.

Ta scenka bardziej kojarzy się z Hollywood niż z Auschwitz. O Czortku jednak nie nakręcono żadnego filmu. Powstał natomiast film o Pietrzykowskim. Kanwą scenariusza była nowela Józefa Hena „Bokser i śmierć”. Taki sam tytuł nosi czechosłowacki film wyprodukowany w 1962 roku, czyli 27 lat przed „Triumfem ducha”. Dlaczego sławę zyskał ten późniejszy, amerykański? Spojrzałem na obsadę: tam Stefan Kvietik, tu Willem Dafoe. Jest jednak różnica...

PIOTR BERNABIUK

Mistrz Nahorski

Załoga z numerem 1
wystartowała popisowo
z chęcińskiego rynku. Auto
przemknęło obok zamku
i na drugim wirażu wypadło
z drogi. Odbiło się od drzewa,
dachowało...

Powrót do sławy por. Michała Nahorskiego, bohatera kampanii wrześniowej, wspaniałego sportowca – motocyklisty i kierowcy rajdowego, rozpoczął się w 2011 roku za sprawą przypadkowego telefonu. Turysta zwiedzający ruiny Zamku Królewskiego w Chęcinach zadzwonił do Centrum Informacji Turystycznej i Historycznej „Niemczówka” z pytaniem, z jakim wydarzeniem czy też z jakimi osobami jest związany zarośnięty krzakami pomnik przy starej drodze krajowej numer 7.

Dr Krzysztof Kasiński, który telefon odebrał, nie potrafił wówczas udzielić sensownej odpowiedzi. Wiedział o istnieniu pomnika przy szosie schodzącej serpentynami od zamku ku południu, nawet przez przewodników świętokrzyskich kojarzonego wówczas z którąś z wojen światowych. Szczegółów jednakże nikt nie znał. Kasiński, kulturoznawca, a zarazem miłośnik zabytkowej motoryzacji, wybrał się w tajemnicze miejsce. Przeszedł przez gąszcz zarośli i po oczyszczeniu omszałego kamienia na tyle, by odczytać wyryte w czerwonym piaskowcu litery, znalazł napis: „W tym miejscu 22 VII 1959 roku zginęli śmiercią tragiczną uczestnicy Międzynarodowego Rajdu Adriatyckiego Michał Nahorski i Jan Langer, członkowie Automobilklubu Śląskiego. Cześć ich pamięci”.

Dziś przyznaje, że ruszając śladem zapomnianych bohaterów, wkroczył na niełatwą drogę: „Kluczowym źródłem wiedzy wydawał się Automobilklub Śląski, fundator pomnika. Ku memu zaskoczeniu, po pół wieku



rajdowcy nie mieli niemalże żadnych dokumentów na temat Michała Nahorskiego i Jana Langer. Uchwyciłem więc kolejny wątek, z którego wynikało, iż Nahorski był oficerem i przed wojną pełnił służbę w Twierdzy Modlin. Zatelefonowałem do Fundacji »Park Militarny Twierdzy Modlin«, gospodarza obiektu. Postać była tam znana, ale też nikt nie miał na jej temat zbyt wielu informacji”.

Dopiero wizyta w archiwum Automobilklubu Polskiego w Warszawie zakończyła się sukcesem. Przy okazji Kasiński poznał tam legendę polskiego automobilizmu Longina Bielaka, który tuż po wojnie ścigał się z Janem Langerem i Michałem Nahorskim. Ponaddwudziestokrotny mistrz lub wicemistrz kraju i jeden z pierwszych Polaków uczestniczących w legendarnym Rajdzie Monte Carlo doskonale pamiętał pierwsze powojenne wyścigi i rajdy. Wciąż był też aktywnym sportowcem – jesienią 2011 roku w Rajdzie Żubrów zajął, po uwzględnieniu handicapu wiekowego, drugie miejsce, za Sobiesławem Zasada.

E-maile, kontakty, poszukiwania w przedwojennej prasie pozwoliły jako tako poskładać życiorys Michała Nahorskiego. Wówczas członkowie Drużyny Rycerskiej Ziemi Chęcińskiej, Chorągwi Ferro Aquilae, w której Krzysztof Kasiński pełni rycerską powinność, wystąpili do marszałka województwa świętokrzyskiego o dofinansowanie zlotu starych samochodów poświęconego pamięci motocyklisty i kierowcy rajdowego. W lipcu 2012 roku, podczas odbywającego się w Chęcinach i ich najbliższej okolicy III Świętokrzyskiego Zlotu Trabantów i Aut Zabytkowych im. Michała Nahorskiego, bohaterowie z zapomnianego dotąd pomnika zdawali się być obecni.

PANCERNIAK-MOTOCYKLISTA

Michał Nahorski urodził się w 1909 roku w Piotrogradzie. Jako młodzieniec, po przeniesieniu się rodziny do Warszawy, uczęszczał do V Gimnazjum Męskiego przy ul. Marszałkowskiej 65. Wcześniej tę renomowaną szkołę ukończyli bracia Grabscy – Stanisław, ekonomista, poseł na sejm, i Władysław, późniejszy premier, autor reformy walutowej, a także Tadeusz Zieliński, historyk architektury...

Nasz bohater nie poszedł jednak w ślady starszych kolegów i wybrał karierę wojskową. Ukończył szkołę podchorążych, następnie, jako oficer broni pancernej Wojska Polskiego II RP, pełnił służbę w 11 Batalionie Pancernym, doświadczalnym i manewrowym pododdziale podporządkowanym komendantowi Centrum Wyszkołowania Broni Pancernych w Twierdzy

Modlin. Młody oficer był zapalonym motocyklistą. Karierę rozpoczął w 1934 roku, a we wrześniu 1938 roku, reprezentując swoją jednostkę i armię, w klasie 250 Junior, na motocyklu Rudge, zdobył Grand Prix Polski. W latach przedwojennych wojsko popierało rozwój produkcji motocykli i związanego z nimi sportu. Sekcja motocyklowa WKS Legia zorganizowała między innymi VIII Patrolowy Rajd Motocyklowy Szlakiem Marszałka J. Piłsudskiego, pod patronatem generalnego inspektora sił zbrojnych marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego. Licząca około 2800 km trasa wiodła dookoła kraju, z Warszawy do Żywca, następnie przez Poznań do Jastrzębiej Góry i Gdyni, stamtąd, przez Prusy Wschodnie, do Wilna i z powrotem do stolicy.

Sport i turystyka motocyklowa były wówczas dość elitarne, ale dynamicznie się rozwijały. W 1939 roku po krajowych drogach jeździło około 12 tys. maszyn, z tego 3250 motocyklistów było zrzeszonych w 65 klubach.

SZLAK BOJOWY

W obliczu hitlerowskiego zagrożenia, 24 sierpnia 1939 roku, w centrum będącym jednostką mo-

W 1958 ROKU NA TRASACH WYŚCIGÓW POJAWIŁ SIĘ NOWY, PIĘKNY KABRIOLET TRIUMPH TR3



bilizacyjną, na bazie 11 Batalionu Pancernego sformowano 11 Dywizjon Pancerny. Por. Michał Nahorski zdążył jeszcze przed wybuchem wojny zwyciężyć na motocyklu w Rajdzie Tatrzańskim. Wkrótce potem wyruszył do walki na czele 1 plutonu Szwadronu Samochodów Pancernych wz. 29. Czwartego dnia kampanii wrześniowej, podczas bitwy o leżącą pod Przasnyszem wieś Szczuki, pluton Nahorskiego zniszczył dwa czołgi lekkie PzKpfw-I z oddziału próbującego obejść pozycje 7 Pułku Ułanów. Tegoż dnia, około godz. 15, wóz bojowy porucznika strzałem z działka kalibru 7 mm zniszczył także niemiecki samochód sztabowy, zdobywając przy tym mapy i dokumenty wroga. Tyle udało się odtworzyć z bojowego szlaku.

Po kapitulacji Nahorski dostał się do niewoli i był wielokrotnie przenoszony z obozu do obozu. Z okresu, w którym go więziono w oflagu Dogenberg (Dobiegniewo), początkowo udało się zdobyć jedynie jego numer. Muzeum w Dobiegniewie nie miało więcej informacji. Z innych źródeł wiadomo, iż Nahorski miał numer obozowy 1803 XI B i był członkiem konspiracji antyniemieckiej w Oflagu II C Woldenberg. Został tam przywieziony ze stalagu XI B, czyli z Fallingbistel Hanower, w okręgu wojskowym XI Hanower.

ZEGARMISTRZ

Po wyzwoleniu Michał Nahorski, były mistrz motocyklowy i oficer pancerniak, osiadłszy w Katowicach, prowadził zakład zegarmistrzowski. Pracę miał spokojną, wymagającą koncentracji, co nie oznaczało końca kariery sportowej. Bardzo szybko znalazł się wśród entuzjastów usiłujących wskrzesić rajdy i wyścigi samochodowe.

Zmagania automobilistów, rozgrywane w pierwszych latach powojennych na ulicach miast, dla ich mieszkańców były świętem. Próby rozegrania rajdów samochodowych w wyzwolonej Polsce podjęto już w roku 1946. Wyścigi zaczęto organizować rok później. Po kilkuletniej przerwie, w 1952 roku Krakowski Oddział Motorowy zorganizował wyścig samochodowy O Kryształowy Puchar Grodu Podwawelskiego. Uczestniczyła w nim elita, a wygrał młodzieńcy (22-letni) Sobiesław Zasada na BMW 328. Startował wtedy również Jan Langer. W Warszawie, w tym samym sezonie, rozgrywano wyścig O Wielką Nagrodę Wojska Polskiego, w którym Zasada zajął trzecie miejsce. W następnym roku, 4 października wyścig uliczny w Lublinie wygrał Nahorski. Longin Bielak zwyciężył w klasie turystycznej w kategorii powyżej 1600 ccm.

ERA SAMÓW

Kłopotem, wydawałoby się nie do przeskoczenia, był w czasach powojennych brak pojazdów do ścigania. Łatwiej było znaleźć czołg czy ciężarówkę wojskową niż osobową maszynę, w dodatku zdolną do sportowych wyczynów. Rozpoczęła się wówczas era samochodów niefabrycznych, budowanych z tego, co udało się wygrzebać w powojennym demobilu.

Zaczęły powstawać tzw. SAM-y, rozpoczynające nową erę wyścigów. W Automobilklubie Śląskim budowali je Stanisław Jabłoński i Ernest Weiner. W tym samym czasie, na połączonym zebraniu zarządów automobilklubu i okręgu PZMot-u, zapadła decyzja o uruchomieniu serii produkcyjnej wyczynowych SAM-ów w warsztatach PZMot-u w Katowicach. Kierownictwo objął doskonały konstruktor i wytrawny automobilista inż. Jan Langer. Nadzór nad budową i funkcję zaopatrzeniowca powierzono Konstantemu Krajewskiemu, byłemu pilotowi RAF-u.

Mimo braku dosłownie wszystkiego, powstawały ambitne i udane konstrukcje. Do budowy szkieletów nadwozi wykorzystywano lotnicze rury duralowe, jeszcze poniemieckie, które odkrył na lotnisku na Muchowcu Konstanty Krajewski. W ciągu kilku lat w Automobilklubie Śląskim zbudowano 24 samochody. Każdy z nich był w pewnym sensie prototypem, bowiem adaptowano do nich różne zespoły jezdne, silnikowe, systemy hamulcowe i układy kierownicze, połączone konstrukcją nośną inż. Langer. Były więc SAM-y Simca, Syrena, BMW...

W 1953 roku, w zespole konstrukcyjnym inż. Adama Małochleba i Rudolfa Wrocławskiego, podobnie jak Nahorski znakomitego przed wojną motocyklisty, powstał SAM MN – Lancia, Bugatti. Ręcznie wykonane nadwozie z aluminium było dziełem braci Grychtołów z Zakładu Balcharsko-Samochodowego Zygryda Grychtoła w Katowicach. Wystartował nim Michał Nahorski, rozpoczynając serię zwycięstw. W latach 1954, 1955 i 1957 zdobywał tytuły automobilowego mistrza kraju.

OSTATNI RAJD

W 1958 roku na trasach wyścigów pojawił się wśród składaków nowy, piękny, czerwony kabriolet Triumph TR3, najlepszy wówczas samochód wyścigowy w Polsce. Produkowany w latach 1955–1962 ważył 940 kg, miał dwulitrowy silnik wyzwalający moc ponad 90 KM, w testach osiągał prędkość prawie 170 km/h. Maszyna miała jednak pewne niedoskonałości – w bardzo ostrych zakrętach występowała nadsterowność...

Auto wystawione na Targach Poznańskich, po ich zakończeniu, dostał od Brytyjczyków Michał Nahorski. Startując nim, zdobył dwa tytuły mistrza Polski, przygotowywał się do udziału w 1960 roku w najbardziej wówczas prestiżowym w Europie Rajdzie Monte Carlo. 22 lipca 1959 roku wystartował z Warszawy wraz z Janem Langerem na trasę Rajdu Adriatyku, stanowiącego jedną z eliminacji mistrzostw Europy.

Według relacji kibiców witających załogę na trasie, w Chęcinach rajdowcy zatrzymali się na krótki odpoczynek, poszli nawet na kawę. Rynek był wówczas pełen ludzi, wyścig stanowił bowiem sensację. Po przerwie załoga, jadąca z numerem 1, wystartowała popisowo z miasteczka. Samochód przemknął obok zamku. Na drugim wirażu wypadł z drogi, odbił się od drzewa i dachował... A to był przecież kabriolet. I do tego zapaliły się wiezione w bagażniku zbiorniki z paliwem. Nahorski i Langer spłoneli wraz z autem.

W ubiegłym roku, w sierpniu, odbył się w Chęcinach VIII Świętokrzyski Zlot Motocykli SHL i Pojazdów Zabytkowych, zainspirowany przez kielczanina Ryszarda Mikurda, wieloletniego zasłużonego działacza motoryzacyjnego, obecnie prezesa stowarzyszenia SHL – Historia i Fakty. Główną atrakcją sportową spotkania stanowił Weteran Moto Bieg, wyścig górski rozgrywany na serpentynach, z metą przy zamku. Rywalizowało prawie 50 starych motocykli i kilkanaście aut. Przed rozpoczęciem uczestnicy zlotu, wśród nich Longin Bielak, złożyli kwiaty pod pomnikiem Michała Nahorskiego i Jana Langer, którzy zginęli właśnie w tym miejscu.

Po upływie trzech lat od ponownego odkrycia pomnika i związanej z nim historii, drugi zakręt w prawo nie jest już miejscem zapomnianym. Mimo to Krzysztof Kasiński nadal prowadzi poszukiwania i zabiega o przypominanie przy każdej okazji dwóch wspaniałych sportowców. ■

Olbryzi napływ radzieckich oficerów do polskiej armii podczas II wojny światowej oraz po jej zakończeniu miał swoją okrutną i cyniczną logikę. Najpierw Sowieci wymordowali w Katyniu kwiat polskiego wojska (około 10 tys. ofiar), a potem, pod szyldem bratniej pomocy, uzupełniali tę przepastną lukę, spowodowaną własną zbrodnią.

Ów napływ zaczął się w Sielcach nad Oką, gdzie z inicjatywy komunistów ze Związku Patriotów Polskich powstawała 1 Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Był maj 1943 roku. Minęły niespełna dwa lata od utworzenia armii gen. Władysława Andersa, która wiosną 1942 roku, za zgodą Józefa Stalina, przekroczyła granicę z Iranem i od tamtej pory walczyła na Zachodzie. Związkowi Patriotów z Wandą Wasilewską na czele pozostali Zygmunt Berling i niewielka liczba jemu podobnych.

Berling był przedwojennym oficerem, już w 1931 roku (jako 35-latek) awansował na stopień podpułkownika. Więziony przez Sowietów w Starobielsku, uniknął rozstrzelania, podejmując współpracę z NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych). Uratował życie, a jego kariera wojskowa nabrała wielkiego przyspieszenia. W 1940 roku przyjął obywatelstwo ZSRR, trzy lata później był już generałem brygady.

Takich oficerów, dawnych obywateli II Rzeczypospolitej, którzy zapalali miłością do Związku Radzieckiego, nie było w Sielcach zbyt wielu. Pomoc kadrowa „wielkiego brata” okazała się więc niezbędna. W lipcu 1943 roku aż 67% oficerów dywizji kościuszkowskiej pochodziło z Armii Czer-



ANDRZEJ FAŁARA

Polsza nie zagranica

W latach 1943–1968 przez Wojsko Polskie przewinęło się około 21 tys. oficerów radzieckich. W tym 153 generałów.

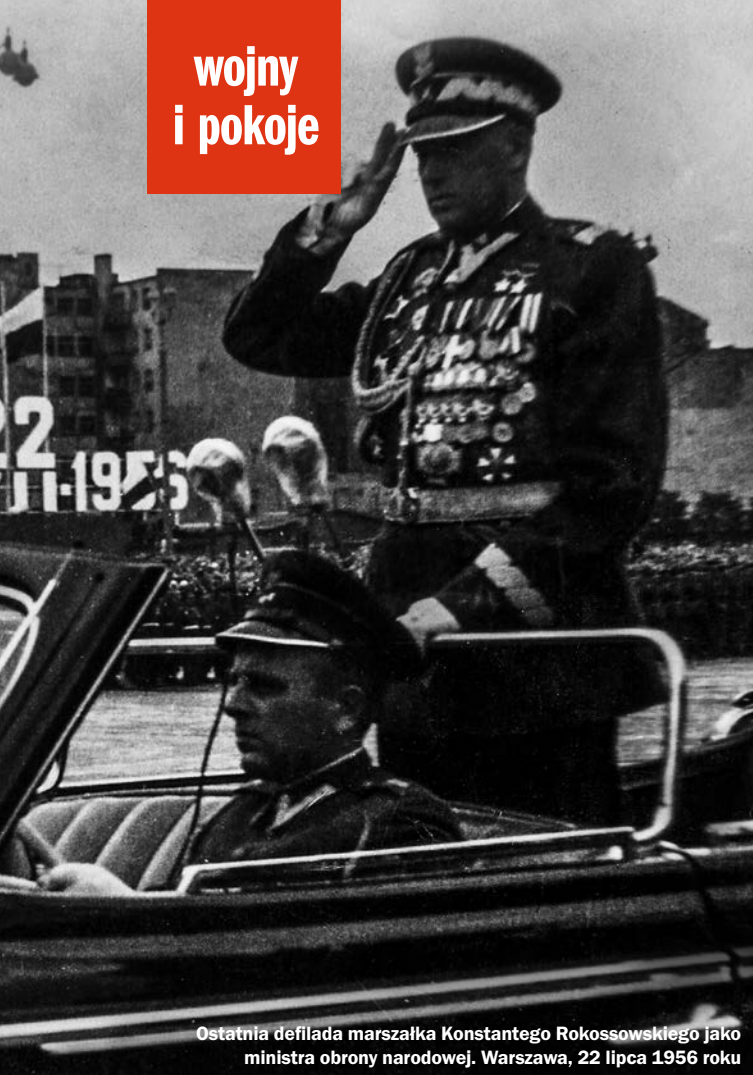
wonej. Pod koniec 1944 roku, gdy istniały już dwie armie Wojska Polskiego, wskaźnik braterstwa spadł poniżej 50%. W liczbach bezwzględnych sytuacja przedstawiała się następująco: na 40 tys. oficerów Wojska Polskiego aż 18 996 (w tym 36 generałów) miało obywatelstwo ZSRR. Nosili polskie mundury i salutowali po polsku. Ale mówili po rosyjsku i wypełniali rosyjskie rozkazy. To ostatnie dało się jeszcze zrozumieć. Wspomniane dwie polskie armie walczyły przeciw w ramach rosyjskich frontów.

Edward J. Nalepa, autor książki „Oficerowie Armii Czerwonej w Wojsku Polskim 1943–1968”, pisze, że Sowieci w polskich mundurach ponieśli podczas wojny duże straty. Wynosiły one 5% stanu osobowego, czyli około 1000 zabitych, zmarłych od ran lub zaginionych. Nalepa wspomina też, jaki był stosunek czerwonoarmistów do służby w polskich

mundurach – w większości obojętny lub niechętny. Tylko nieliczni – głównie ci pochodzenia polskiego – przyjęli rozkaz z zadowoleniem.

ODKOMENDEROWANI

Gdy wojna się skończyła i ogłoszono istnienie niepodległej Polski, obecność tak dużej liczby radzieckich oficerów traciła rację bytu. Zwłaszcza w zestawieniu z przymiotnikiem „niepodległa”. Zgodnie z założeniem polskiej polityki kadrowej z sierpnia 1945 roku Rosjanie zaczęli wracać do kraju. W latach 1945–1948 do Armii Czerwonej odkomenderowano z Polski 16 926 oficerów (w tym 66 generałów). Co ciekawe, 24 osoby odmówiły wyjazdu do ZSRR. Zostały aresztowane i oddane do dyspozycji radzieckiej prokuratury wojskowej.



Ostatnia defilada marszałka Konstantego Rokossowskiego jako ministra obrony narodowej. Warszawa, 22 lipca 1956 roku

ARCHIWUM ANDRZEJA WITKOWSKIEGO

PO WOJNIE NIEMAL WSZYSTKIE NAJWAŻNIEJSZE STANOWISKA W WOJSKU POLSKIM BYŁY OBSADZONE PRZEZ ZACIĄG ZE WSCHODU

Do stycznia 1947 roku sytuacja polityczna w Polsce wciąż była niewykrystalizowana. Przynajmniej teoretycznie. Ludzie liczyli na to, że zachodni sojusznicy mimo wszystko upomną się o nas. Sfałszowane wybory w 1947 roku pozbawiły złudzeń nawet największych optymistów. Komuniści triumfowali, a Zachód ani mrugnął. Wkrótce w Wojsku Polskim nastąpiła czystka. Edward J. Nalepa pisze: „W psychozie rzekomego zagrożenia wojennego ze strony państw zachodnich nasilono proces oczyszczania korpusu oficerskiego z »elementów wrogich i obcych«, »przypadkowych i zdemoralizowanych«, niepożądanych dla sprawy budownictwa socjalizmu w Polsce i ścisłej współpracy z ZSRR. Na podstawie przyjętych wówczas kryteriów politycznych w latach 1949–1954 zwolniono ze służby wojskowej ponad 9 tys. oficerów, w większości kadre II Rzeczypospolitej i oficerów wywodzących się z organizacji konspiracyjnych Polskiego Państwa Podziemnego (ZWZ-AK, PAL, NSZ, BCh i inne)”.

Ktoś tych ludzi musiał zastąpić. Wtedy ponownie zwrócono się o pomoc do „wielkiego brata”. Ten wspaniałomyślnie nie odmówił i czerwonoarmiści zaczęli wracać do Polski. Ich obecność nie była oczywiście już tak liczna jak podczas wojny i zaraz po jej zakończeniu. W sierpniu 1949 roku w Wojsku Polskim służyło 728 oficerów radzieckich (w tym 15 generałów).

Ciekawe jest, jak owa służba wyglądała od strony formalnej. Mówił o tym tajny rozkaz naczelnego dowódcy Wojska Polskiego (był nim wówczas gen. broni Michał Rola-Żymierski) z 15 stycznia 1945 roku: „Na podstawie dyrektyw Głównodowodzącego Armii Czerwonej ustala się następujące normy w sprawie przebiegu służby wojskowej generałów i oficerów Armii Czerwonej odkomenderowanych do pełnienia służby w Wojsku Polskim. 1. Generałów i oficerów Armii Czerwonej, znajdujących się w Wojsku Polskim, należy uważać za czasowo odkomenderowanych do Wojska Polskiego, wychodząc z założenia, że pełnią oni rzeczywistą służbę w Armii Czerwonej. Czas służby w Wojsku Polskim wlicza się do ogólnego przebiegu służby. [...] 3. Generałowie i oficerowie Armii Czerwonej [...] jako obywatele ZSRR są zwolnieni z obowiązku składania przysięgi żołnierskiej przewidzianej w Wojsku Polskim. Przepięstwa przeciw obowiązkowi wojskowemu należy rozpatrywać jako naruszenie przysięgi składanej w Armii Czerwonej. 4. Generałowie i oficerowie Armii Czerwonej [...] podlegają Wojskowemu Sądowi polskiemu z wyjątkiem przestępstw, za które przewidziana jest kara śmierci. W takich przypadkach generałowie i oficerowie podlegają Trybunałom Wojennym Armii Czerwonej” (materiały Instytutu Pamięci Narodowej).

OBYWATEL POLAK

W listopadzie 1949 roku nastąpiło najważniejsze wydarzenie dotyczące obecności Sowiec w polskiej armii. Oto bowiem prezydent Bolesław Bierut powołał na stanowisko ministra obrony narodowej Konstantego Rokossowskiego – marszałka Związku Radzieckiego, wybitnego dowódcę, który miał olbrzymie zasługi w rozgromieniu Niemców. Była to decyzja bez precedensu, nawet jeśli się weźmie pod uwagę dominację Związku Radzieckiego w tej części Europy. W żadnym innym kraju satelickim ministrem obrony nie został obywatel radziecki. W Polsce okazało się to możliwe. Konstanty Ksawerowicz Rokossowski musiał oczywiście





Zygmunt Berling w 1940 roku przyjął obywatelstwo ZSRR, trzy lata później był już generałem brygady.

TUŻ PRZED PAŹDZIERNIKOWĄ ODWILŻĄ W POLSCE SŁUŻYŁO JESZCZE 76 OFICERÓW RADZIECKICH: 28 GENERAŁÓW, 32 PUŁKOWNIKÓW, 13 PODPUŁKOWNIKÓW, DWÓCH MAJORÓW I JEDEN KAPITAN

przyjąć obywatelstwo polskie. Nie tylko po to, żeby zostać ministrem, lecz także posłem na sejm, wicepremierem i marszałkiem Polski.

Rokossowskiemu warto poświęcić kilka zdań. Chociażby dlatego, że w wielu tekstach próbuje się z niego zrobić wielkiego polskiego patriotę. Był rzeczywiście Polakiem, urodził się w Warszawie, w rodzinie kolejarza. Jego przodkowie pochodzili z Wielkopolski i pieczętowali się herbem Glaubicz. Rokossowski służył najpierw w wojsku carskim, a potem, już po rewolucji październikowej, przystał do bolszewików i osiedlił się w ZSRR. Podczas II wojny światowej zyskał szczególne uznanie za operację „Bagration”, która doprowadziła do zlikwidowania niemieckiej Grupy Armii „Środek”. Zawsze brał pod uwagę koszty ludzkie, starał się minimalizować straty. Pod tym względem był kimś wyjątkowym wśród najwyższych dowódców radzieckich.

O polskim patriotyzmie w jego przypadku nie można w ogóle mówić. Był obywatelem ZSRR i działał na korzyść imperium. A to, że znał język polski, że nie wypierał się swojego polskiego pochodzenia i że w wielu sytuacjach sprzyjał Polakom, nie oznacza jeszcze patriotyzmu. Ani to, że po powrocie do Związku Radzieckiego zaprenumerował „Trybunę Ludu” i „Życie Warszawy”.

Przez długi czas po wojnie niemal wszystkie najważniejsze stanowiska w Wojsku Polskim były obsadzone przez zaciąg ze wschodu. Ryszard Kałużny w pracy pt. „Oficerowie Armii Radzieckiej w Wojskach Lądowych w Polsce” pisze: „Na początku 1955 roku w Siłach Zbrojnych PRL pełniło służbę 33 generałów i ponad 170 oficerów Armii Radzieckiej. Zajmowali oni 32 stanowiska spośród 50 najważniejszych – od ministra obrony narodowej do dowódcy korpusu włącznie”. Spójrzmy na listę szefów Sztabu Generalnego WP od 1945 roku: Władysław Korczyz, Borys Pigarewicz, Jurij Bordziłowski. Sami czerwonoarmiści. Wśród dowódców wojsk lądowych, marynarki wojennej, wojsk lotniczych czy wojsk pancernych było to samo.

Ryszard Kałużny: „Spośród uczelni wojskowych najbardziej zdominowana przez oficerów radzieckich była Wojsko-

wa Akademia Techniczna. Podstawę do organizowania uczelni w 1951 roku stanowił 45-osobowy zespół naukowców i dydaktyków radzieckich. Oni tworzyli komendę uczelni, byli dziekanami wydziałów i szefami wszystkich katedr”.

Sytuacja polityczna, która w końcu spowodowała powrót radzieckiej kadry do ojczystego kraju, zaczęła się powolnie zmieniać po śmierci Józefa Stalina (5 marca 1953 roku). W Polsce przełomem okazało się VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR, które odbyło się w październiku 1956 roku. Do władzy ponownie doszedł Władysław Gomułka. Rosjanie odkomenderowani do Polski zaczęli się pospiesznie pakować. Kilka miesięcy wcześniej, w czerwcu, zdążyli niestety wydać rozkazy, które przyczyniły się do śmierci 57 osób podczas tzw. wydarzeń poznańskich. Decyzję o użyciu wojska przeciw demonstrantom podjęło Biuro Polityczne KC PZPR, przychylając się do propozycji ministra Rokossowskiego. Wykonawcą zadania był najważniejszy z oddelegowanych do Polski radzieckich generałów (jako jedyny miał stopień generała armii), dowódca wojsk lądowych Stanisław Gilarowicz (ojciec miał na imię Hilary) Popławski.

Tuż przed październikową odwilżą w Polsce służyło jeszcze 76 oficerów radzieckich: 28 generałów, 32 pułkowników, 13 podpułkowników, dwóch majorów i jeden kapitan. Gdy 10 listopada 1956 roku Konstanty Rokossowski został odwołany ze stanowiska wicepremiera i ministra obrony narodowej, niemal wszyscy z tej grupy wrócili do Moskwy. W Polsce aż do marca 1968 roku pozostało dwóch radzieckich generałów: szef Sztabu Generalnego WP Jurij Bordziłowski i komendant Wojskowej Akademii Technicznej Michaił Owczinnikow. Gen. Bolesław Kieniewicz, po demobilizacji w ZSRR, postanowił wrócić do Polski i tu dokończył żywota.

Tak oto okres bratniej pomocy kadrowej przeszedł do historii. Słynne powiedzenie cara Aleksandra: „Kurica nie ptica, Polska nie zagranica” po 1956 roku przestało być traktowane tak bardzo dosłownie. Długo jednak jeszcze najważniejsze decyzje dotyczące Wojska Polskiego zapadały nie w Warszawie, lecz w Moskwie. ■



MILITARY FESTIVAL

WEEKEND Z ARMIAŁĄ

USTROŃ, 25-26 Lipca 2015

www.military-festival.pl

W PROGRAMIE:

- festiwal piosenki żołnierskiej
- koncerty Orkiestry Wojskowej z Krakowa z mażoretkami „WERWA” z klubu 6 bpd
- prezentacje sprzętu i wyszkolenia 6. Brygady Powietrznodesantowej
- stoiska promocyjne Wojsk Specjalnych (Jednostka NIL i Jednostka Komandosów)

WSTĘP WOLNY



ORGANIZATOR



WSPÓŁPRACA



SPONSORZY



PATRONAT
MEDIALNY





NARODOWE CHYTUM W OLSZEWIE

ANNA DĄBROWSKA

Żołnierskie urlopy

Przyroda jest najlepszym lekarzem, szczególnie powietrze gór i klimat Bałtyku.

Potrzeba budowy domów wypoczynkowych nie jest zbytkiem, ale koniecznością, jak budowa mieszkań dla żołnierzy. Dziś oficer, który chce odpocząć po służbie, nie ma gdzie wyjechać, bo na pobyt w uzdrowisku brak pieniędzy”, pisał w lipcu 1923 roku na łamach „Polski Zbrojnej” mjr Kazimierz Falski.

WYPOCZYNKOWE SPÓŁDZIELNIE

Dlatego zrodziła się myśl zbudowania domów wypoczynkowych dla oficerów. „Chcemy stworzyć te oazy wy-

tchnienia wakacyjnego spółdzielczym wysiłkiem”, informował oficer. Zawiązano stowarzyszenie spółdzielczych oficerskich domów wypoczynkowych, a na miejsce budowy pierwszego obiektu wybrano Zakopane.

Do takiej lokalizacji skłoniły oficerów statystyki. Okazało się, że pod Giewontem miesięcznie odpoczywa około 100 kolegów, a koszt mieszkań tam rośnie z każdym rokiem. Powstał projekt murwanego domu dwupiętrowego z salą teatralną, biblioteką i czytelnia.

„Życzliwe przyjęcie projektu w Ministerstwie Spraw Wojskowych wzmoc-

niło nas na duchu, zwłaszcza że obiecano wsparcie w kosztach”. Miał to być pierwszy taki obiekt w Polsce. „Będą one miejscem nie tylko wypoczynku, ale też spotkania oficerów rozmaitych broni i zżywania się całej rodziny oficerskiej”, pisał mjr Falski.

LETNISKI BEZ WYGÓD

Idea jednak nie znalazła większego oddźwięku, ponieważ pięć lat później w wojskowej gazecie donoszono, że ze strony oficerów nie powstała żadna skuteczna inicjatywa, która doprowadziła by do powstania dla nich domów wypoc-

PITAWAL

Porywczy lotnik

Za obrazę honoru oficera pilot zabił kierowcę.

Byla noc 29 czerwca 1926 roku. Z restauracji Empire przy Nowym Świecie w Warszawie wyszła grupa wojskowych. Byli wśród nich ppłk Stanisław Karpiński, kpt. Ludwik Konarski z żoną, por. Bolesław Orlński oraz bohater wojny bolszewickiej kpt. pilot Stefan Pawlikowski z 1 Pułku Lotniczego.

W trakcie kolacji panowie pili sporo wódki i kapitan był już nieźle pobudzony alkoholem. Po wyjściu z restauracji towarzysztwo udało się w stronę Wareckiej. „Kiedy zbliżyli się do ulicy, skręciła w nią taksówka wprost na kapitana, zatrzymując się kilkanaście centymetrów przed nim”, pisano w „Polsce Zbrojnej”.

Oficer się zdenerwował i rzucił kilka ostrych słów w kierunku kierowcy, Henryka Stróżka, który szorstko mu odpowiedział. „Zrobiło się zbiegowisko i większość gapiów zajęła wrogość wobec oficerów stanowisko, co ich tylko jeszcze bardziej zdenerwowało”.

Wkrótce wszyscy znaleźli się na pobliskim komisariacie policji. Zaczęto się tam spierać, kto zawinił. Kiedy szofer powiedział do kpt. Pawlikowskiego „ty łobuzie”, lotnik dobył rewolwer i strzelił mu w serce.

czynkowych. Przedsięwzięcia takiego podjął się zaś szef Departamentu Sanitarnego Ministerstwa Spraw Wojskowych gen. Stanisław Rouppert.

„Dotychczas organizowane letniska nie dawały prócz świeżego powietrza żadnych wygód, jakich kulturalny człowiek ma prawo żądać w okresie wypoczynkowym po ciężkiej pracy w linii czy sztabie. Wyjazd natomiast do miejscowości wypoczynkowej pociąga za sobą koszty wykraczające poza możliwości oficera”, podawał w dzienniku płk Mirosław Taranowski.

Dlatego, kierując się troską o stan zdrowia oficerów, generał wystąpił z pomysłem budowy dla nich domów. „Jeśli także my wszyscy poprzemy tę inicjatywę, są wszelkie widoki na to, że w niedalekiej przyszłości oficer i jego rodzina będą mogli spędzić okres wakacji letnich w kulturalnych warunkach”, apelował płk Taranowski.

OFIARNI PODOFICEROWIE

Akcja zachęciła do działania także innych wojskowych. „Uważamy, że taka inicjatywa powinna też dotyczyć środowiska podoficerskiego. Ogół nasz liczniejszy od korpusu oficerskiego więcej też narażony jest na choroby płucne w związku z gorszymi warunkami mieszkaniowymi”, argumentował st. sierż. Wojciech Kowalczyk.

Miał nadzieję, że w jak najkrótszym czasie nastąpi opodatkowanie środowiska na rzecz budowy ośrodka w Rabce w wysokości 1 zł od poborów każdego miesiąca. „Byłoby to nie tylko z pożytkiem dla naszego zdrowia, ale też jeszcze jednym przejawem jedności naszego korpusu”.

Tego samego zdania był sierż. Julian Kubiela. Jak uważał, władze, widząc

solidarną pracę, poprą akcję, a zebranie funduszy nie powinno przedstawiać większych trudności. „Korpus podoficerów zawodowych, który wykazywał już wielką ofiarność na cele państwowe, humanitarne czy społeczne, winien okazać także zrozumienie dla spraw bezpośrednio go dotyczących”, pisał sierżant.

WSPÓLNE UZDROWISKO

Do dyskusji włączył się sierż. Jan Wójcicki, który twierdził, że wybudowanie jednego domu ma swoje minusy. Musiałby on być ogromny, a ponadto byłby trudno dostępny dla kolegów służących na wschodnich rubieżach kraju. Jak przyznawał, za taką ideą przemawia jednak możliwość szybszej realizacji przedsięwzięcia. Przy stanie 40 tys. podoficerów zebrana roczna suma wyniosłaby 488 tys. zł, zatem taki obiekt mógłby powstać już w ciągu trzech lat. „Mimo to lepiej wybudować trzy domy na obszarze całego kraju i przeznaczyć je dla konkretnych korpusów”, stwierdzał sierż. Wójcicki.

Sierż. Kubiela uważał taki pomysł za nierealny. „Každy z tych domów musi mieć swoje kuracyjne przeznaczenie: dla chorych na piersi, dla reumatyków, chorych sercowo, a nie obejmować określony obszar kraju”, pisał.

Jego zdaniem najlepiej byłoby, gdyby rząd stworzył specjalny fundusz budowlano-uzdrowiskowy i przystąpił do budowy domów, a ściągane raty od podoficerów przekazywał na ten fundusz. W ten sposób uzdrowiska mogłyby stanąć w krótkim czasie. „Zostawmy potomnym owoc naszego zbiorowego wysiłku – uzdrowisko dla chorych kolegów. Zdrowa myśl i silna wola korpusu musi zwyciężyć”.

„Wkrótce mnie rozbrojono, choć prosiłem, aby pozostawiono mi rewolwer, bo myślałem o samobójstwie, ponieważ boleję nad tym tragicznym wypadkiem”, mówił kapitan przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Warszawie.

Jak zeznawała w trakcie rozprawy pani Konarska, oskarżony był tej nocy podniecony alkoholem. Płk pil. Antoni Buckiewicz, dowódca 1 Pułku Lotniczego, potwierdził opinię o nałogowym pijaństwie i porywczoci kapita, jednak

podkreślił, że w większości wypadków, kiedy wywoływał on tego typu zajścia, to po to, żeby stanąć w czyjejś obronie. Pułkownik mówił też o zaletach oskarżonego jako lotnika. „W powietrzu wyróżniał się niesamowitym męstwem przeciwko bolszewikom”, stwierdził.

Podczas rozprawy adwokat Franciszek Paschalski starał się, aby jego klienta uznano za niepoczytalnego. Miały na to wpłynąć katastrofy, jakim uległ w trakcie służby w lotnictwie, i wypadek z młodości. Po obserwacji psychiatrycz-



PŁK JAKUB NAWIJSKI:

Jedną z bardziej dotkliwych plag podwarszawskich letnisk, na których wypoczywają też oficerowie i podoficerowie, jest istny najazd żebraków odbywający się regularnie w ciągu całego tygodnia. Najdotkliwszy jest w soboty i niedziele, gdy przez te miejscowości przewija się ich po kilkudziesięciu, zwykle bardzo natarczywych. Nie w takich warunkach powinni odpoczywać nasi strudzeni służbą żołnierze.

Ogłoszenia retro



nej płk Jan Nelken uznał jednak oskarżonego za poczytalnego.

18 listopada sąd skazał kpt. Pawlikowskiego na trzy lata więzienia, wydalenie z wojska i pozbawienie odznaczeń, w tym otrzymanego za wojnę polsko-radziecką Virtuti Militari.

Karę jednak zmieniono na dwa lata twierdzy i po opuszczeniu jej w połowie 1928 roku oficer pozostał w armii. Zginął w 1943 roku w czasie walki nad Francją. Pośmiertnie został awansowany na stopień generała brygady.



TADEUSZ WRÓBEL

SIŁACZ SIKORSKIEGO

Rosja carska jako pierwsza na świecie dysponowała strategicznym lotnictwem bombowym mającym wielosilnikowe samoloty Ilya Muromiec, których konstruktorem był Igor Sikorski.

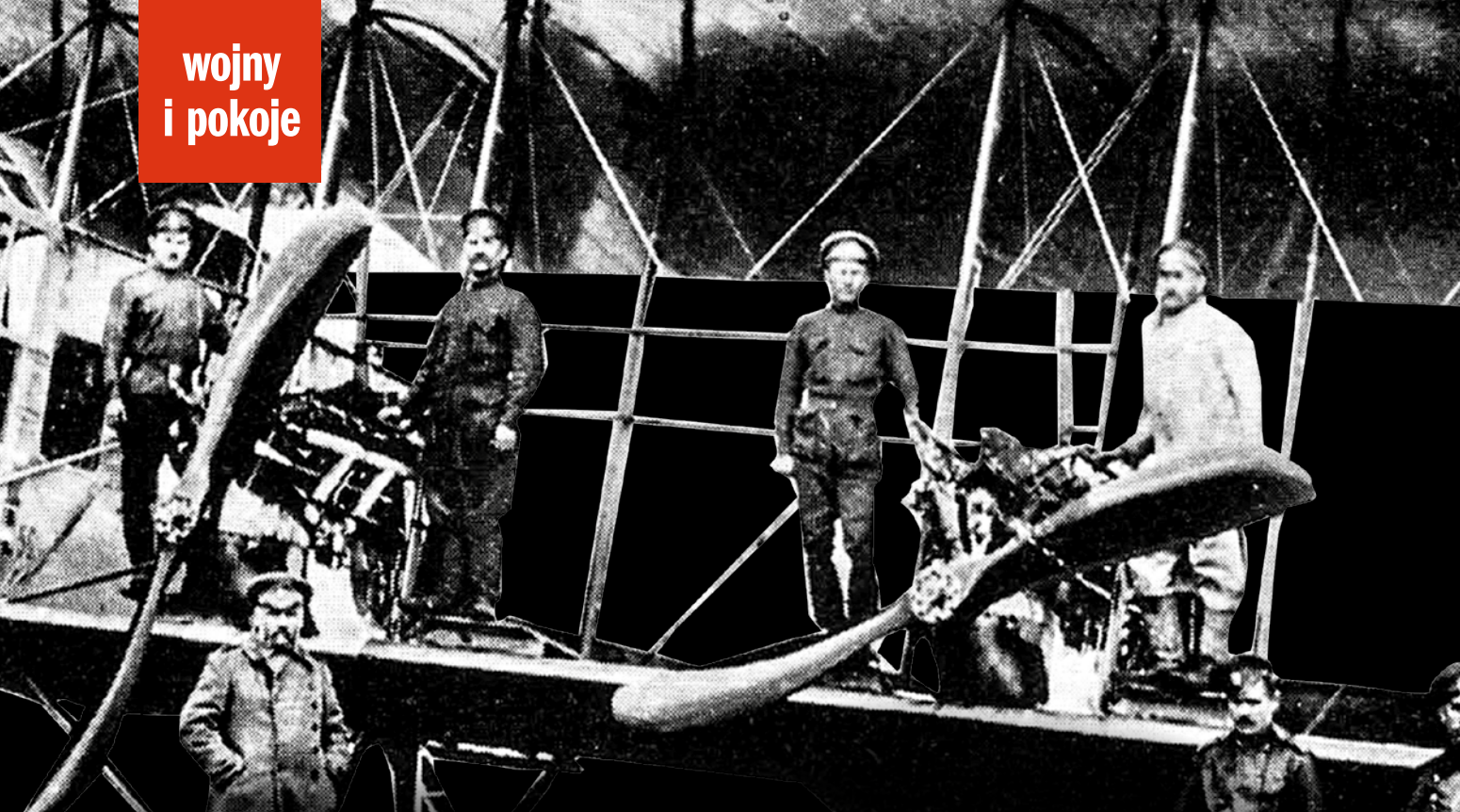
Minęło zaledwie dziesięć lat od pierwszego lotu maszyny skonstruowanej przez amerykańskich pionierów awiacji, braci Orville'a i Wilbura Wrightów, gdy w powietrzu pojawił się monstrualny, jak na owe czasy, czterosilnikowy samolot, którego rozpiętość skrzydeł przekraczała 30 m. Jego głównym projektantem był Rosjanin, Igor Iwanowicz Sikorski.

PIERWSZA PRZYMIARKA

Konstruktor prace nad wielosilnikowym samolotem S-21 rozpoczął już w 1911 roku. Pierwszy egzemplarz powstał na przełomie lat 1912/1913 w Rosyjsko-Bałtyckiej Fabryce Wagonów (Russko-Bałtyjskim Wagonnym Zawodzie – RBWZ) w Rydze, w której był oddział produkcji lotniczej. Dwupłatowiec miał konstrukcję drewniano-płócienną. Początkowo wyposażono go w dwa chłodzone cieczą silniki tłokowe Argus As I produkcji niemieckiej, każdy o mocy 100 KM, ze śmigłami ciągnącymi. Nie przypadkiem maszynę nazwano Le Grand (wielki). Górne skrzydło miało rozpiętość 27 m, a długość samolotu wynosiła 20 m. W kadłubie o prostokątnym kształcie znajdowały się dwie kabiny pasażerskie, magazyn części zapasowych i kabina pilota. Przed tą ostatnią ulokowano otwartą przestrzeń z reflektorem i karabinem maszynowym,

ponieważ konstrukcja miała być wojskową maszyną rozpoznawczą. Pierwszy lot Sikorski wykonał w marcu 1913 roku. Konstruktor uznał, że dwa silniki to zbyt mało i dodał jeszcze dwa ze śmigłami pchającymi. W tej konfiguracji samolot pierwszy raz wzbił się w powietrze w maju 1913 roku, pod nową nazwą Bolszoj Bałtyjskij (wielki bałtycki). Następnie Sikorski znowu zmienił układ silników. Tym razem zmieścił wszystkie cztery ze śmigłami ciągnącymi. Ponownie zmieniono też nazwę maszyny, teraz na Russkij Witiaż (rosyjski rycerz).

Pierwszy lot odbył się 13 lipca 1913 roku. Podczas testów okazało się, że samolot o maksymalnej masie prawie 5 t potrzebuje pasa startowego o długości 700 m. Stwierdzono również, że pasażerowie mogą chodzić w kabinie, nie zagrażając stabilności maszyny. 2 sierpnia 1913 roku pod Petersburgiem Russkij Witiaż wykonał trwający 114 min lot z siedmioma osobami na pokładzie, co było wówczas światowym rekordem. Historia samolotu zakończyła się pechowo 13 września 1913 roku podczas konkursu samolotów wojskowych. Wówczas z przelatującego nad stojącą na ziemi maszyną Sikorskiego dwupłattowca Meller II, produkcji moskiewskiej firmy Duks, oderwał się silnik i uszkodził lewe płaty skrzydeł giganta, który już nigdy nie wzbił się w powietrze.



Russkij Witiaż był prototypem wyprodukowanym w jednym egzemplarzu. W czasie, gdy doszło do niefortunnego wypadku, Igor Sikorski pracował już nad nową konstrukcją.

SERYJNY GIGANT

W październiku 1913 roku w ryskiej fabryce ukończono prace nad pierwszym dwupłatowcem S-22 Ilia Muromiec, który był wersją rozwojową samolotu Russkij Witiaż. On również miał cztery silniki Argus ustawione w rzędzie. Rozpiętość górnego skrzydła wynosiła 34,5 m, dolnego 26,6 m, długość zaś 18,8 m. Prototypowy egzemplarz był skonfigurowany jako samolot pasażerski. Wewnątrz kadłuba znajdowały się salon i pokoje sypialne. Zamontowano nawet wannę i toaletę. Pierwszy raz prototyp wzbił się w powietrze 10 grudnia 1913 roku. 12 lutego 1914 roku zaś pilotowana osobiście przez Sikorskiego maszyna odbyła lot z 16 osobami i psem na pokładzie, ważącymi 1290 kg. Wiosną tegoż roku samolot Ilia Muromiec został przebudowany na hydroplan.

W wersji pasażerskiej powstał także drugi egzemplarz, IM-B Kijowski. Miał nieco mniejsze rozmiary niż prototyp i mocniejsze silniki. W czerwcu 1914 roku ustanowiono na nim kilka nowych światowych rekordów: w wysokości lotu (2000 m z dziesięcioma osobami) i czasu lotu (6 godz. 33 min i 10 s). Samolot wykonał też lot pomiędzy Petersburgiem a Kijowem, z jednym tylko międzylądowaniem.

W tym okresie rosyjskie lotnictwo wojskowe, wówczas najliczniejsze na świecie, szukało samolotu rozpoznawczego o dużym promieniu działania, wynoszącym 300 wiorst, czyli 320 km. Umożliwiało to prowadzenie lotów zwiadowczych, między innymi z Warszawy w rejon Królewca, Poznania czy Przemyśla. Maszyna miała przenosić bomby o masie 164 kg i mieć uzbrojenie strzeleckie do zwalczania wrogich statków powietrznych.

W maju 1914 roku rosyjskie wojsko zamówiło dziesięć samolotów Ilia Muromiec w wersji IM-B, a po wybuchu wojny odkupiło istniejące dwa cywilne. 2 października 1914 roku armia złożyła w RBWZ drugie zamówienie na jeszcze 32 egzemplarze. Przekształcony w bombowiec samolot uzbrojono początkowo w karabin maszynowy i działko Hotchkiss kalibru

37 mm. To ostatnie nie było szczęśliwym rozwiązaniem, bo załoga miała do niego zaledwie 15 pocisków. Innymi mankamentami były między innymi masa i odrzut dział. Ostatecznie postanowiono więc uzbroić IM-B w dwa karabiny maszynowe. Samolot zabierał 350 kg bomb.

Carscy piloci początkowo byli nastawieni negatywnie do gigantycznego samolotu Sikorskiego. Jako jego wady wskazywali brak opancerzenia i małą prędkość. Wobec tego zamówienie wojskowe zostało zawieszone. Michaił Władymirowicz Szydłowski, szef oddziału lotniczego RBWZ, zaproponował rozwiązanie kompromisowe. Otóż godził się na zawieszenie produkcji 32 maszyn, ale chciał dokończyć pierwszą dziesiątkę, by można było przeprowadzić testy IM-B w warunkach bojowych.

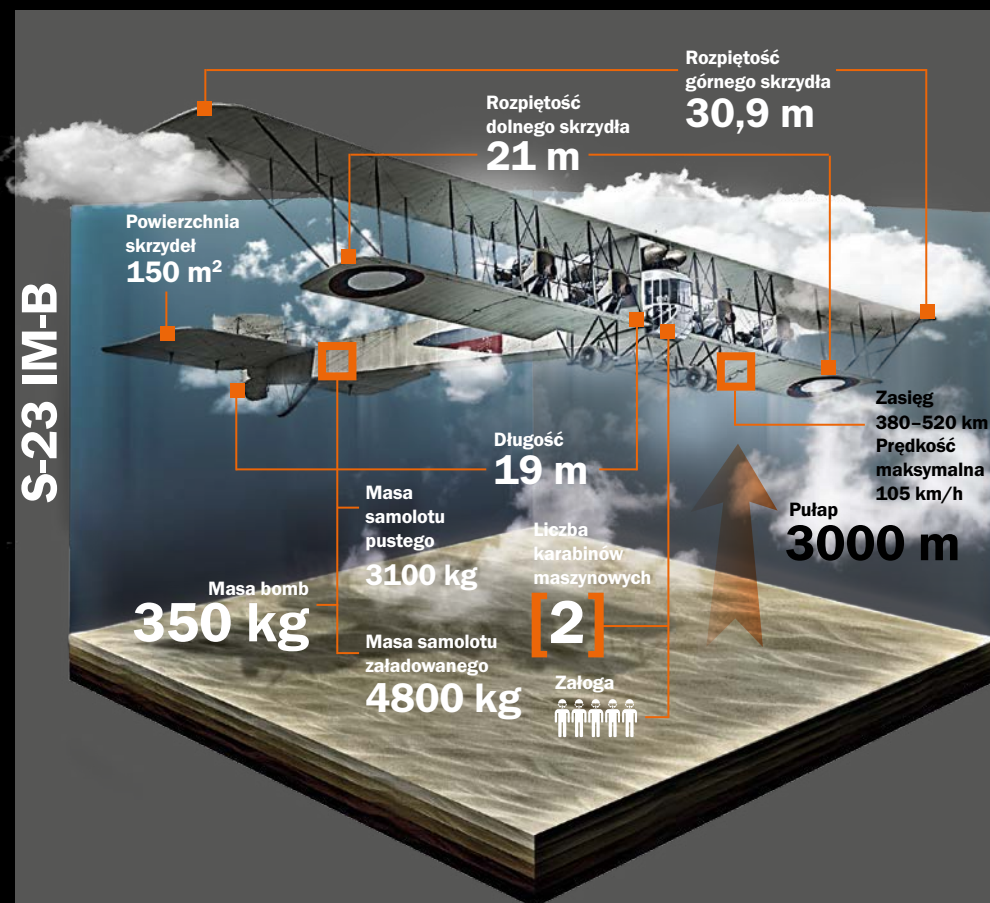
Car Mikołaj II zaakceptował tę propozycję. Głównodowodzący armią carską wielki książę Mikołaj Mikołajewicz Romanow wydał 10 grudnia 1914 roku rozkaz utworzenia Eskadry Powietrznych Statków Ilia Muromiec, podporządkowanej naczelnemu dowództwu. Tym samym stała się ona pierwszą jednostką strategicznego lotnictwa bombowego w historii światowej awiacji. Jej dowódcą został powołany do wojska Szydłowski, którego awansowano na stopień generała (zamordowany przez bolszewików w 1918 roku).

Ostatecznie do początku 1915 roku zostało wyprodukowanych tylko sześć S-23 IM-B, z których jeden rozbił się przed przekazaniem wojsku. Wyposażoną w nie eskadrę rozmieszczono na lotnisku w Jabłonnie, ze względu na znakomitą lokalizację, jak na potrzeby rosyjskich bombowców. Baza eskadry znajdowała się w silnie ufortyfikowanym rejonie widel Wisły i Narwi i stosunkowo blisko Prus Wschodnich. Pierwsze jej samoloty wylądowały w Jabłonnie kilka dni po wydaniu rozkazu o utworzeniu jednostki.

Rosyjskie bombowce pierwszą misję bojową przeprowadziły 21 lutego 1915 roku. Jednak samolot pod dowództwem sztabskapitana Siergieja Gorszkowa nie odnalazł celu, stacji kolejowej w Wielbarku. Udało się to pilotom następnego dnia. W sumie eskadra wykonała w trakcie I wojny światowej 400 misji bojowych, zrzucając 65 t bomb. W tych czasach Rosjanie posiadali największą bombę lotniczą na świecie, o masie 25 pu- ➔

Ilia Muromiec

S-23 IM-B



MD/DZIAŁ GRAFICZNY

Bombowce typu Ilia Muromiec

Ilia Muromiec	S-23 IM-B	S-24 IM-W	S-25 IM-G-1	S-26 IM-D-1	S-27 IM-E-1
Długość [m]	19	17,5	17,1	15,5	18,2
Rozpiętość górnego skrzydła [m]	30,9	29,8	30,9	24,9	31,1
Rozpiętość dolnego skrzydła [m]		21,0			
Powierzchnia skrzydeł [m²]	150	125	148	132	200
Masa samolotu pustego [kg]	3100	3500	3800	3150	4800
Masa samolotu załadowanego [kg]	4800	5000	5400	4400	7500
Zasięg [km]	380-520	440-650	500	480	350
Pułap [m]	3000	3700	4000	3200	3000
Prędkość maksymalna [km/h]	105	120	125	120	130
Załoga	5	5-6	5-7	5-7	6-8
Liczba karabinów maszynowych	2	4	6	4	7-8
Masa bomb [kg]	350	417	500	400	1500

dów, czyli 410 kg. Po opuszczeniu przez Rosjan Królestwa Polskiego w 1915 roku samoloty z Jabłonny operowały z innych lotnisk. We wrześniu 1915 roku postanowiono podzielić eskadrę na dwa oddziały. Jeden z nich stacjonował w Pskowie, a drugi w Siguldzie, 30 km na południe od Rygi.

W czasie wojny Niemcom udało się zestrzelić jedynie cztery rosyjskie bombowce. Tylko jeden samolot Ilia Muromiec padł łupem myśliwców, ale wcześniej jego strzelcy posłali na ziemię trzy albatrosy. Ogółem załogi bombowców wyeliminowały tuzin wrogich maszyn. Znacznie większe były straty

bombowców z powodu błędów pilotów, usterek technicznych lub złych warunków pogodowych. Ogółem do końca marca 1918 roku wykreślono z etatu 26 samolotów.

Jednak podczas wojny domowej w Rosji użyto bardzo wielu maszyn Ilia Muromiec. Walczyły one w wojnie przeciwko Polsce i wojskom białogwardyjskiego gen. Piotra Wrangla. Ostatni lot bojowy wykonały 21 listopada 1920 roku. Samoloty, które przetrwały wojenną zawieruchę, były używane do 1923 roku w Rosji Sowieckiej, a potem ZSRR jako maszyny pocztowo-pasażerskie.

WŁODZIMIERZ
KALETA

Magnetowid niezgody

Epizod, który przytrafił się na początku służby Andrzejowi Jurkowi, dziś majorowi w stanie spoczynku, mógł przerwać pomyślnie zaczynającą się rozwijać karierę. Decyzją przełożonych ówczesny podporucznik awansował i dostał przeniesienie do innej jednostki. Wcześniej musiał jednak rozliczyć się ze sprzętu kulturalno-oświatowego, który miał na stanie i za który odpowiadał finansowo. Niby nic trudnego, standardowe procedury. Podporucznik wiedział jednak z wrywkowych kontroli, że w wielu pododdziałach sprzęt, który zgodnie z dokumentacją powinien się tam znajdować, był trudny do zlokalizowania. Już od pewnego czasu razem z podwładnymi próbował opanować bałagan z telewizorami, magnetowidami i radiomagnetofonami. Remanent rozpoczął od pododdziałów, gdzie, jak wynikało z wrywkowych kontroli, braki są największe. Wszystko sprawdzał osobiście, choć dowódcy zapewniali go, że sprzęt jest na swoim miejscu. Kompania po kompanii, pozycja po pozycji, porównywał stan faktyczny z zapisami w dokumentach. Okazało się, że rzeczywiście sprzęt, którego wcześniej nie można było znaleźć, podczas kontroli stał na swoim miejscu. Podporucznik odetchnął z ulgą.

Problemy czekały żołnierza za drzwiami sztabu jednostki. Dowódca osobiście zaprosił go do sprawdzenia sprzętu w swoim gabinecie. W jego ślady poszli również inni oficerowie. Z wyjątkiem jednego. Przed kilkoma tygodniami sztabowiec pobrał telewizorek tranzystorowy oraz magnetowid z kilkoma kasetami video. Kiedy nasz bohater zwrócił uwagę, że w gabinecie nie ma tego sprzętu, usłyszał znane już dobrze tłumaczenie, że nie ma się czego obawiać. Przecież magnetowid i telewizor nie mogły zginąć. Niech więc przestanie panikować i odnotuje, że wszystko jest na swoim miejscu.

Andrzej Jurek nie posłuchał „dobrej rady”. Po kilku dniach ponownie odwiedził oficera w sztabie, czym wyprowadził go z równowagi. W pośpiechu opuścił gabinet, żegnany inwektywami na swój temat. Do zapomnienia o sprawie namawiał też podporucznika oficer przysłany przez sztabowca na negocjacje. W oględnych słowach wytłumaczył mu, dlaczego nie powinien z taką zawziętością skupiać się na drobiazgach. Ponadto ostrzegł go, czym dalsze irytowanie przełożonego może skutkować. Te „negocjacje” też zakończyły się fiaskiem.

Kilka dni później Andrzej Jurek odebrał telefon od sztabowca z poleceniem natychmiastowego przybycia. Pobiegł do gabinetu i po wejściu od razu zauważył stojący na stoliku telewizor z magnetofonem. Nie zamierzał już sprawdzać, czy działa. Zanim jednak wyszedł, wysłuchał tyrady sztabowca o kosztach, jakie poniósł przez jego bezsensowny upór. Oficer musiał bowiem pojechać do swojego domku letniskowego, żeby przywieźć te drobiazgi. Na koniec sztabowiec szczerze doradził podporucznikowi, aby ten szybko zmadrał, bo inaczej nie ma co liczyć na karierę w wojsku. ■

SPRZĘT, KTÓRY POWINIEN
SŁUŻYĆ ŻOŁNIERZOM
W JEDNOSTCE, MOŻNA BYŁO
ZNALEZĆ W MIESZKANIU
OFICERA



PŁEK W ST. SPOCZ. WŁODZIMIERZ KALETA
SŁUŻYŁ W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI
DESANTOWEJ.



| ZAWODY |

JAKUB KLIMEK

MISTRZ KIEROWNICY PROWADZI

Już dwunasty raz o tytuł najlepszego kierowcy w Wojsku Polskim walczyli najlepsi z najlepszych. Prawdziwy konkurs w tej dziedzinie odbywa się jednak w codziennej służbie.

JAKUB KLIMEK

Kiedy usłyszałem po raz pierwszy o konkursie na najlepszego kierowcę rodzajów sił zbrojnych, zastanawiałem się, w jaki sposób można wyłonić taką osobę. Okazuje się, że za pomocą kilkunastu z pozoru prostych, czasami zaskakujących konkurencji, można sprawdzić, jak sobie radzą nasi żołnierze na drodze nawet w najbardziej ekstremalnych sytuacjach.

TEST PIŁKI TENISOWEJ

Kiedy odwiedzam plac apelowy Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej, wiem już nieco więcej. Kmdr ppor. Robert Biernaczyk, oficer prasowy jednostki, tłumaczy mi, że zobaczę prawdziwą śmietankę w drogowej rywalizacji. „To najlepsi z najlepszych. Niektórzy z nich mają już na swoim koncie po kilka tytułów mistrzowskich”, zaznacza.

Na miejscu zastaję tory do jazdy ograniczone pachołkami, pomiędzy którymi żołnierze manewrują honkerami. Takie manewry wydają się łatwe, ale na masce pojazdu przymocowano specjalny wysięgnik z talerzem, na którym znajduje się piłka do tenisa. Każdy z zawodników ma swój sposób na to, by z niego nie spadła. Jedni ruszają delikatnie, inni dodają zdecydowanie gazu. Na twarzach żołnierzy widać napięcie. Koledzy ich dopingują – atmosfera jest taka, jak na meczach piłkarskich. Sędziowie czuwają nad przebiegiem rywalizacji.

Po konkurencji zwanej testem zwrotności samochodem terenowym uczestnicy rozpoczynają slalom samochodem ciężarowym na placu manewrowym. Niektórzy mają problem ze zmieszczeniem auta między pachołkami. Kiedy kończą się zmagania na placu, słychać rozmowy o tym, co dalej. Prawdziwa rywalizacja ma się bowiem zacząć dopiero następnego dnia. „Konkurencje są wymagające”, zauważa płk Zbigniew Mirowski, szef Szefostwa Transportu i Ruchów Wojsk. „Ponadto każdy finalista musiał zaliczyć test teoretyczny – odpowiedzieć na 50 pytań związanych z budową pojazdów, z przepisami kodeksu

ruchu drogowego, a także dotyczących instrukcji kierowcy wojskowego i umiejętności udzielania pierwszej pomocy”.

DO OSTATNIEJ KROPLI WODY

Z samego rana drugiego dnia zmagają, po odprawie, wszyscy zawodnicy wraz z sędziami i organizatorami przenoszą się na poligon. Honker, którym jedziemy, mocno podskakuje na wybojach. Kierowca z uśmiechem rzuca znad kierownicy, że to przedsmak dzisiejszej rywalizacji. Na poligonie przygotowano specjalny tor przeszkód – piasek, drewniane belki, wzniesienia, błoto. Trzeba go pokonać wojskowym starem 266. Zadanie tym trudniejsze, że przed szoferką ciężarówki zamocowano wysięgnik, w którym znajduje się kubek z wodą. Ten, kto pokona trasę najszybciej i dowiezie najwięcej wody na metę – wygrywa konkurencję.

Pierwsi zawodnicy ruszają zdecydowanie, ostro, regulując obroty silnika sprzęgłem, ale gdy po kilku metrach jazdy tracą dużo wody, ich zapał do szybkiej jazdy mija. Najbardziej wprawieni prowadzą stara, obserwując drogę i kubek z wodą bez patrzenia na obrotomierz. Dużą rolę w tej konkurencji odgrywają również piloci. Kierowca pokonuje kolejne przeszkody, a kolega w szoferce podpowiada mu, czego należy się spodziewać pod pojazdem. W końcu star wtacza się w strefę końcową toru i żołnierze ze swoimi kubkami udają się do komisji sędziowskiej. Z głośników pada komunikat, że któryś z zawodników zgubił po drodze tylko dwie jednostki wody. Inni biją brawo. Słyszę komentarze: „To pewnie kierowca dowódcy, tak delikatnie to może wozić najważniejszych”, śmieje się jeden z zawodników. „Z samochodem, jak z kobietą: powoli i delikatnie”, dodaje drugi, odpoczywający przed swoim startem, żołnierz.

MEDYCYNA NA DRODZE

W drugiej strefie poligonu trwają już kolejne konkurencje – medyczne. Na fantomie trzeba zademonstrować prawidłowy masaż serca, następnie udzielić pomocy ofiarom symulowane-



Organizatorem konkursu o miano najlepszego kierowcy Sił Zbrojnych RP było Szefostwo Transportu i Ruchu Wojsk – Centrum Koordynacji Ruchu Wojsk Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych oraz Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej i 6 Wojskowy Oddział Gospodarczy w Uście.

EMOCJE UDZIELAJĄ SIĘ KAŻDEMU Z ZAWODNIKÓW. SĘDZIOWIE ODNOTOWUJĄ NAJMNIEJSZE POTKNIĘCIE I WYSTAWIAJĄ OCENY

go wypadku drogowego. Kierowca podjeżdża honkerem do zaparkowanego pojazdu, w którym leży nieprzytomny człowiek. Należy sprawdzić jego stan, prawidłowo wyjąć poszkodowanego z samochodu i ułożyć na ziemi w bezpiecznej pozycji. W tym czasie zawodnicy wzywają pomoc, odgrywając rozmowę z dyspozytorem pogotowia.

Chociaż to konkurs, emocje udzielają się każdemu z ocenianych. Sędziowie odnotowują najdrobniejsze potknięcie i na koniec wystawiają ocenę. „Błędy się zdarzają. Zawodnicy wykonują te czynności w stresie. To dobrze, bo udzielaniu pomocy poszkodowanym towarzyszą takie emocje”, opowiada por. dr n. med. Dorota Łęgocka z Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego, sędzia główny konkurencji medycznej.

To właśnie na naukę prawidłowego udzielania pierwszej pomocy podczas rywalizacji kierowców Wojska Polskiego stawiają duży nacisk organizatorzy. „Zależy nam, aby ta rywalizacja pozwoliła usystematyzować wiedzę i utrwalić umiejętności, które mogą uratować komuś życie”, wyjaśnia ppłk Ryszard Ociesa, szef Wydziału Centralnej Rejestracji Pojazdów Sił Zbrojnych i Ubezpieczeń Komunikacyjnych Szefostwa Transportu i Ruchów Wojsk. „Patrząc przez pryzmat kolejnych edycji imprezy, udaje nam się realizować ten cel. Nie chodzi bowiem tylko o sportową rywalizację. Żołnierze doskonałą umiejętność bezpiecznego poruszania się po drogach poligonowych i publicznych. Ważne jest nagrodzenie najlepszych, ale też liczy się edukacja”.





Najlepszym kierowcą został sierż. Arkadiusz Nabzdyk z 16 Jarocińskiego Batalionu Remontu Lotnisk, który wygrał dwie z czterech konkurencji indywidualnych.

Startujący w zawodach musieli wykazać się dużym sprytem, żeby dowieźć jak najwięcej wody do mety.

O ZWYCIĘSTWIE LUB PRZEGRANEJ DECYDOWAŁY SETNE CZĘŚCI SEKUNDY. LICZYŁA SIĘ PRZEDĘ WSZYSTKIM DOKŁADNOŚĆ

I tak st. mat Krzysztof Pilarski z 18 Wojskowego Oddziału Gospodarczego w Wejherowie wykorzystał w życiu codziennym umiejętności, które zdobył, przygotowując się do zawodów: „W konkursie startuję od wielu lat i parokrotnie byłem najlepszy. To, czego tu się nauczyłem, pozwoliło mi uratować życie ofiary wypadku”, przekonuje. „Na konkursie wszystko jest poukładane, w idealnych warunkach. Tam walczyłem z czasem i silnym stresem. Udało się i osoba, której pomogłem, przeżyła”.

W DRUŻYNIE SIŁA

Trzeci dzień finałowych zmaganił upływał pod znakiem rywalizacji drużynowej. Zmierzyły się ze sobą zespoły reprezentujące marynarkę wojenną, wojska lądowe, siły powietrzne, Inspektorat Wsparcia Sił Zbrojnych, Dowództwo Garnizonu Warszawa i Żandarmerię Wojskową. Na tę konkurencję składały się: dynamiczny przejazd samochodem Honker, bieg z 20-litrowymi kanistrami, cięcie drewna piłą ręczną i zmiana koła w starze 266. Na dodatek drużyny musiały zaprezentować jazdę po łuku samochodem pchanym przez kolegów, następnie holować go wyciągarką.

Każda z drużyn miała inną taktykę. Jedno jednak było wspólne – indywidualności nic tutaj nie wskórają. Zgrane zespoły nie miały bowiem trudności z poszczególnymi zadaniami. Co ciekawe, chociaż żołnierze rywalizowali o cenne nagrody, kibicowali sobie wzajemnie, nawet dzielili się swoimi pomysłami, jak najszybciej pokonać karkołomny tor przeszkód.

Po zakończeniu zmaganił drużynowych sędziowie zsumowali punkty i ogłosili werdykt. Najlepszym kierowcą został sierż. Arkadiusz Nabzdyk z 16 Jarocińskiego Batalionu Remontu Lotnisk, który wygrał dwie z czterech konkurencji indywidualnych. Drugie i trzecie miejsce zajęli odpowiednio żołnierze reprezentujący marynarkę wojenną: st. mar. Krystian Bielawa z bazy lotnictwa morskiego w Siemowicach oraz st. mar. Tomasz Kędzierski z 3 Flotyli Okrętów. W rywalizacji zespołowej zwyciężyli żołnierze z sił powietrznych, wyprzedzając zespoły Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych i marynarki wojennej.

„W tym roku wszystkie konkurencje były trudne”, ocenia sierż. Arkadiusz Nabzdyk, zwycięzca konkursu. „Organizatorzy ustawili takie tory przeszkód, że nie można było zbudować sobie przewagi punktowej. O zwycięstwie lub przegranej decydowały setne części sekundy. Liczyła się przede wszystkim dokładność. Jeśli ktoś przewrócił pacholek i dostał karne sekundy, mógł zapomnieć o miejscu na podium. Cieszę się podwójnie, bo wygrałem indywidualnie i zespołowo z moją drużyną. Daliśmy radę, bo walczyliśmy do końca. Teraz już po wszystkim. Najbardziej bolała ręce od zmiany koła do stara”, dodaje z uśmiechem. ■

JAKUB KLIMEK JEST REPORTEREM
POLSKIEGO RADIA KOSZALIN
I KORESPONDENTEM
PROGRAMU 1. POLSKIEGO RADIA.



I P N

Pośmiertna rehabilitacja

Jest szansa na wznowienie procesu
żołnierza wyklętego.

Sąd Najwyższy nakazał rewizję wyroku skazanego na dożywocie Wacława Piotrowicza, żołnierza Bojowego Oddziału Armii. Został on po wojnie osądzony w propagandowym procesie za napady, rabunki i posiadanie broni. Więzienie opuścił po odwilży w 1956 roku, zmarł 20 lat później.

Kolejne sądy odmawiały stwierdzenia nieważności PRL-owskiego wyroku. Teraz, dzięki dokumentom przedstawionym przez prokuraturę, jest szansa na wznowienie procesu. Wśród

dowodów znalazły się zeznania członków BOA świadczące o tym, że oddział nie był grupą kryminalną, lecz częścią zbrojnego podziemia niepodległościowego.

Bojowy Oddział Armii powstał na grodzieńszczyźnie. Po wojnie działał na Pomorzu Zachodnim, gdzie zwalczał komunistyczne władze. Do 1948 roku większość członków została aresztowana. Spośród 45 osądzonych sześć osób stracono, pozostali otrzymali wyroki więzienia. A D

Ksiądz generał

Senat uczcił pamięć bohatera powstania styczniowego
księdza Stanisława Brzóska.

Życie księdza Stanisława Brzóska stało się symbolem losu wielkiej rzeszy kapłanów katolickich, którzy służbę Bogu i Ojczyźnie łączyli w jedno”, czytamy w uchwale senackiej. Ksiądz gen. Brzóska był naczelnym kapłanem wojsk powstańczych w województwie podlaskim i najdłużej walczącym dowódcą powstania. Uczestni-



czył w bitwach pod Siemiatyczami, Sosnowicą, Różą, Żyrzynem, Fajslawicami. Wraz ze swoim adiutantem Franciszkiem Wilczyńskim został pod koniec powstania schwyty przez żołnierzy rosyjskich i stracony na rynku w Sokołowie Podlaskim 23 maja 1865 roku. „Egzekucja miała spacyfikować ducha oporu i zniszczyć mit niezłomnego bojownika, ale stworzyła nową legendę i podkreśliła pamięć o niej”, zwracali uwagę senatorowie, przyjmując jednogłośnie uchwałę w sprawie uczczenia bohaterskiego kapłana. A D

KURIER
WETERANA

Weterani na kajakach

Czterdziestu weteranów
weźmie udział w spływie
kajakowym Krutynią.

Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju kolejny raz będzie promować ideę rehabilitacji przez sport. Impreza rozpocznie się 3 sierpnia i potrwa sześć dni. W spływie Krutynią weźmie udział 40 weteranów ze Stowarzyszenia. Wśród uczestników będą osoby z uszczerbkiem na zdrowiu, między innymi z poważnymi urazami nóg i rąk, a także ci, którzy przeszli amputację kończyn. „Dla takich osób może to być nie lada wyzwanie. Dlatego kajaki będą dwuosobowe, a pary dobierzemy tak, by w razie, gdy jedna osoba opadnie z sił, druga mogła w pełni przejąć stery”, mówi Marek Rzodkiewicz ze Stowarzyszenia.

Bazą wypadową dla uczestników będzie stacja wodna Sorkwity, niedaleko Mrągowa. Dziennie weterani planują pokonać 10–12 km. „W praktyce okaże się, jak dużo będziemy w stanie przepłynąć w ciągu dnia. Na rzece są przecież odcinki o rozmaitym stopniu trudności. Różne też będą zapewne umiejętności samych uczestników”, dodaje Rzodkiewicz.

Weteran przyznaje, że członkowie Stowarzyszenia mają już nie małe doświadczenie w organizacji podobnych przedsięwzięć. „Mowa tu chociażby o górskich rajdach czy kursach nurkowych. Weterani poszkodowani, mimo swojej niepełnosprawności, doskonale sobie poradzili. Jestem pewien, że tak samo będzie na spływie. Robienie czegoś wspólnie, w grupie, z pewnością motywuje”. W kajakowej wyprawie weteranom będą towarzyszyć psycholog i ratownik medyczny. Impreza zostanie sfinansowana ze środków Stowarzyszenia i firmy Orlen. P G

Marszałek na dwudziestozłotówce

Banknot z Piłsudskim najlepszy na świecie.



Kolekcyjna 20-złotówka, upamiętniająca 100. rocznicę utworzenia Legionów Polskich, została wybrana najlepszym banknotem kolekcyjnym świata. Jak podaje Narodowy Bank Polski, w międzynarodowej konferencji organizowanej w Vancouver przez International Association for

Currency Affairs w Kanadzie wzięło udział ponad 70 banków centralnych z całego świata.

Nagrodę za najlepszy banknot kolekcyjny zdobyły ex aequo Polska, Szkocja i Nigeria. W naszej dwudziestozłotówce jury wyróżniło grafikę oraz wysoki poziom zabezpieczeń.

Banknot zaprojektował Andrzej Heidrich. Umieścił na nim wizerunek marszałka, orzełka legionowego, odznaki I Brygady Legionów, krzyż Virtuti Militari nadany Piłsudskiemu oraz hologram z Belwederem. Jest to już szósty banknot kolekcyjny wyemitowany przez NBP. A D

Trójka z historii

Wiedza historyczna naszych rodaków zasługuje na ocenę dostateczną. Uważa tak ponad połowa osób zbadanych przez CBOS. Co piąty ankietowany jest zdania, że zasłużyliśmy na wyższą notę, taka sama grupa uważa jednak, że wiedza Polaków o dziejach kraju jest niedostateczna. Dlatego, zdaniem niemal 80% pytanym, jest potrzebne utworzenie nowoczesnego muzeum historii Polski, prezentującego najważniejsze dzieje naszego kraju. Jak informują muzealnicy, za powstaniem placówki są przede wszystkim ludzie młodzi i mieszkańcy największych miast. Ponad 4/5 badanych zadeklarowało też chęć odwiedzenia ukończonego muzeum. A D

Dokumenty samobójców

Japończycy chcą objąć programem UNESCO pamiątki po kamikaze.



Władze japońskiego miasta Minamikyūshū zwróciły się do UNESCO o wpisanie do programu „Pamięć świata” dokumentów dotyczących kamikaze. To właśnie z tego miejsca pod koniec II wojny wyruszali w misję piloci samobójcy. Ich celem było rozbicie

o amerykańskie okręty samolotów pełnych materiałów wybuchowych. W latach siedemdziesiątych XX wieku w mieście powstało Muzeum Pokoju, które gromadzi listy, testamenty i poematy pozostawione przez wyruszających na samobójcze misje pilotów.

Program „Pamięć świata” ma za zadanie zachowanie dziedzictwa dokumentacyjnego. Na jego liście znajdują się między innymi pamiętniki Anny Frank i dzieła Fryderyka Chopina. Pomysł wpisania do tych zbiorów pamiątek po kamikaze wzbudza kontrowersje. Jak uważa agencja Associated Press, trudno rozpatrywać zapiski japońskich samobójców jako światowe dziedzictwo. A D

Odnaczenia po latach

Medal Honoru dla amerykańskich weteranów I wojny.

Prezydent Barack Obama nagroził najwyższym odznaczeniem wojskowym USA dwóch amerykańskich żołnierzy, którzy walczyli na francuskim froncie w czasie I wojny. Medal Honoru jest przyznawany za nadzwyczajne męstwo na polu walki. Pośmiertnie otrzymali go sierż. Henry Johnson oraz sierż. William Hemin.

Jak podaje portal Nytimes.com, obaj żołnierze wykazali się szczególną odwagą. Szeregowy w maju 1918 roku pomógł odeprzeć niemiecki atak na amerykańskie pozycje i obronił, za pomocą noża, rannego kolegę. Z kolei sierż. Hemin w trakcie bitwy w sierpniu 1918 roku uratował rannych towarzyszy broni, wyciągając ich spod ostrzału z broni maszynowej. Sam został ranny szrapnelem, ale udało mu się przeżyć. A D



Zabójca dronów

Broń powstała w rosyjskiej korporacji będącej częścią Rostechu. Jak podaje na stronie Sputniknews.com przedstawiciel przedsiębiorstwa, tłumia ona sygnały urządzeń elektronicznych i neutralizuje radioelektronikę nisko latających obiektów. Kompleks składa się z potężnego oscylatora, lustrzanej anteny, systemu sterowania i kontroli. Według zapewnień Rostechu, działło może zapewnić obronę w promieniu 360°, a jego zasięg przekracza 10 km. Jak twierdzą przedstawiciele korporacji, głównym zadaniem nowego oręża jest eliminacja dronów i głowic bojowych. A D



REWITA

W nowej odsłonie

Zakończyły się remonty ośrodków wypoczynkowych w Sopocie i Ryni.

Spółka Rewita Domy Wczasowe powstała w 2011 roku w ramach Wojskowej Agencji Mieszkaniowej. Prowadzi działalność w dziedzinie świadczenia usług wypoczynkowo-konferencyjnych. Zarządza 14 ośrodkami wypoczynkowymi położonymi na terenie całej Polski, między innymi w Unieściu, Zakopanem, Międzyzdrojach, Juracie i nad Soliną.

Dwa z nich – w Sopocie i Ryni – przeszły w ostatnich miesiącach gruntowną modernizację. „W Ryni, położonej nad Zalewem Zegrzyńskim, wyremontowaliśmy trzy budynki wczasowe. Zmodernizowane zostały też piętro głównego obiektu wraz z tarasem, duża sala konferencyjna na około 200 miejsc, kawiarnia i recepcja”, mówi Bogusław Kowalewski, prezes Rewity. Ośrodek położony niedaleko Warszawy ma również nowe elewację, aranżację terenów zielonych oraz elementy małej architektury z miejscami do wypoczynku.

Nowe oblicze zyskał też drugi z obiektów wczasowych – Imperial w Sopocie. To jeden z sześciu budynków wchodzących w skład Wojskowego Domu Wypoczynkowego w tym nadmorskim mieście. 31 pokoi wyposażono w nowe meble, zostały też odnowione recepcja, stołówka i sala szkoleniowa. Obiekt dostosowano do potrzeb osób niepełnosprawnych.

Ale to nie koniec inwestycji spółki wamowskiej. „Już niebawem rozpoczniemy niezbędne remonty w kolejnych naszych ośrodkach”, informuje prezes Kowalewski. O 50 miejsc zostanie rozbudowany Korab w Sopocie. Dzięki temu w ośrodku będzie mogło jednocześnie wypoczywać ponad 100 osób. Po wakacjach rozpocznie się też drugi etap przebudowy Delfina w Juracie. Na razie wyremontowano stołówkę i kawiarnię oraz salę konferencyjną na ponad 450 osób. P G

Prawie jak noga

„Czująca” proteza będzie doskonałym rozwiązaniem dla rannych żołnierzy.

Naukowcy z Australii opracowali protezę nogi, która pozwala pacjentowi czuć podłoże. Jak tłumaczy na stronie BBC prof. Hubert Egger z uniwersytetu w Lintz, najpierw lekarze podczas operacji „przesuwają” zakończenia nerwów w kikucie pacjenta jak najbliższej skóry. W stopie protezy z kolei są montowane sensory, które zbierają informacje o podłożu i przekazują je za pomocą wibracji do nerwów w kikucie.

Pacjent w czasie chodzenia dostaje informacje o nacisku na poszczególne części stopy i jej ruchu prawie w takim stopniu, jakby miał nogi. Dzięki temu czuje, po jakim podłożu chodzi, może biegać, a nawet się wspinać. Jak podają naukowcy, taka proteza będzie doskonałym rozwiązaniem szczególnie dla młodych ludzi, którzy mimo straty nogi chcą pozostać aktywni, w tym dla rannych podczas misji czy wojny żołnierzy. A D

PAULINA GLIŃSKA
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Męska wyprawa

Przez pięć dni przekroczyli granice trzech państw i pokonali 4 tys. km. W czerwcu weterani misji wyruszyli na eskapadę po rumuńskich Karpatach.



Na początku czerwca na wyprawę do Rumunii ruszyło 14 osób. Pośród nich siedmiu weteranów poszkodowanych w misjach zagranicznych (m.in. po ranach postrzałowych, wybuchu miny, z PTSD) oraz siedmiu zaprzyjaźnionych podróżników. „Zdobywaliśmy już szczyty w Bieszczadach i Beskidach. Rok temu byliśmy na Spitsbergenie. Teraz postanowiliśmy ruszyć w rumuńskie Karpaty”, mówi ppor. Jacek Żebryk z 21 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Świdwinie.

Pomysłodawcą pierwszego Międzynarodowego Rajdu Weteranów Misji poza Granicami Państwa był mł. chor. Przemysław Wójtowicz. Inicjatywę wsparła Fundacja Szarik, zajmująca się pomocą mundurowym cierpiącym między innymi na PTSD.

PRZYGODA Z DRACULĄ

„Przed wyjazdem w szczegółach dopracowałem całą wyprawę. Z mapą w ręku przeliczyłem każdy punkt, czas dojścia do poszczególnych miejsc, zużycie paliwa. Dokładnie zaplanowałem także, co każdy z uczestników wyprawy musi ze sobą zabrać. Nie mogliśmy przeciążać busów, ale jednocześnie trzeba było przemyśleć, co nam będzie potrzebne”, mówi mł. chor. Przemysław Wójtowicz z 1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

Podoficer, wspólnie z zaprzyjaźnionymi podróżnikami-cywilami (wcześniej maszerowali razem między innymi w Bieszczadach), występował w roli przewodnika. Przed wyjazdem poznał dokładnie historię kraju, jego najważniejsze zabytki i opracował najciekawsze trasy. „Dla większości z nas to była pierwsza wyprawa do Rumunii. Przemek zaplanował drogę w taki sposób, by zobaczyć najciekawsze miejsca, między innymi te związane z hrabią Draculą”, opowiada ppor. Żebryk.

Z Warszawy do Rumunii ruszyli 3 czerwca. Wyna-

jętymi busami przemierzali połowę Polski, Słowację i Węgry. „Ze względu na zły stan dróg w mijanych przez nas krajach i kiepskie oznaczenia, trasa obliczona przez nawigację na 16 godzin zajęła nam całą dobę”, wspomina kpr. Piotr Maletka, weteran z Afganistanu.

Po długiej podróży zatrzymali się w środkowej Rumunii w miejscowości Bran. U podnóża gór rozbili obóz. „To była męska wyprawa bez luksusów. Spaliśmy niedaleko zamku Draculi. Pod chmurką gotowaliśmy, grywaliśmy na harmonijce i gitarach”, opowiada mł. chor. Wójtowicz. To stamtąd codziennie wyruszali na górskie wyprawy. Każdego dnia przemierzali kilka kilometrów, pokonując karpaccie przełęcze, doliny oraz zdobywając kilka szczytów Gór Fogarskich.

Samochodami przejechali długą, przeszło 100-kilometrową Trasę Transfogarską, która z północy na południe przecina Góry Fogarskie (najwyższe pasmo rumuńskich Karpat między ich dwoma najwyższymi szczytami – Moldoveanu i Negoiu). „To jedna z dwóch najwyższych dróg krajowych. Wiedzie na wysokość ponad 2 tys. m n.p.m.

PRZEMYSŁAW WÓJTOWICZ (2)



KOMENTARZ

KATARZYNA GAWLIŃSKA



Wyprawa to inicjatywa samych weteranów i efekt ich pracy. Fundacja Szarik objęła ją patronatem, a dwóch członków naszego zespołu wzięło w niej udział. Jednym z głównych organizatorów wyprawy był mł. chor. Przemysław Wójtowicz, który w Szariku pełni funkcję koordynatora projektów sportowych. Aktywność fizyczna w otoczeniu przyrody poprawia zdrowie psychiczne weteranów. Jest wiadomo, że aby przezwyciężyć stres pourazowy, należy ponownie przeżyć traumatyczne doświadczenie. Ale wiadomo także, że aktywność fizyczna, zwłaszcza w otoczeniu przyrody, pozytywnie wpływa na zdrowie psychiczne u osób cierpiących z powodu PTSD. Takie przedsięwzięcia, które są z dala od psychologicznego doradztwa albo terapii, a skupiają się na byciu razem, na wspólnej aktywności fizycznej, na wędrówce z plecakiem, dają weteranom wiele pozytywnych doświadczeń. Bycie w takiej nieformalnej grupie, którą łączy podobne doświadczenia, która daje poczucie bezpieczeństwa, sprawia, że niektórzy z nich zaczynają otwierać się na innych. Widzą, że nie są oceniani, co dodatkowo pozwala im odbudować utracone zaufanie do innych.

Wyprawa to dla weteranów także okazja do przezwyciężania słabości i pokazania otoczeniu swoich możliwości. Aby dojść na wyznaczone miejsce, muszą się także wykazać fizyczną sprawnością, co jest dużym wyzwaniem. Osiągnięcie tego celu przywraca wiarę we własne siły, pomaga poczuć się pewnym siebie, co może prowadzić do zerwania z bolesnymi wspomnieniami. Taka fizyczna aktywność wytwarza także poczucie kontroli.

Katarzyna Gawlińska jest psychologiem i psychotraumatologiem, współzałożycielką Fundacji Szarik.

Jest pełna serpentyn i znaków ostrzegających przed osuwiskami. Prowadzenie auta na takiej drodze naprawdę nie jest łatwe. Przejechanie 170 km zajęło nam aż cztery godziny. Ale było warto”, mówi kpr. Piotr Maletka. Weterani przyznają, że widoków z podróży szybko nie zapomną. „Rumuńskie Karpaty to piękne, potężne góry, i do tego całkiem dzikie. Nie ma tam rozbudowanej infrastruktury, hoteli ani schronisk”, mówi podoficer z 1 Brygady. Podczas wyprawy żołnierze zwiedzili między innymi średniowieczne miasto Sighișoara, zamki hrabiego Draculi w Branie i Poenarii.

Eskapada nie obyła się bez niespodzianek. Żołnierze chcieli pokonać tunel Capataneni, najdłuższy tego typu w całej Rumunii (884 m). Okazało się jednak, że ten był zamknięty, bo wjazd zablokowały z obu stron zwały śniegu. „Pokonaliśmy go pieszo, w całkowitych ciemnościach rozświetlanych tylko ekranami telefonów. Nie mogliśmy odpuszczać. Chcieliśmy zobaczyć, jak wygląda północna strona gór”, wspominają uczestnicy.

SPORTOWA INTEGRACJA

Ppor. Jacek Żebryk przyznaje, że nad udziałem w wyprawie nie zastanawiał się długo. „Tego typu inicjatywy to doskonała okazja, by spotkać kolegów, z którymi kiedyś służyliśmy na misjach. To szansa na integrację ludzi, którzy mają podobne doświadczenia życiowe i zawodowe”, przyznaje. Po pięciu dniach weterani wrócili do Polski. „Poznaliśmy osoby z różnych krajów, zobaczyliśmy wiele ciekawych miejsc. Ja na pewno spojrzałem na Rumunię z zupełnie innej strony. Mieszkańcy tego kraju są bardzo sympatyczni, pozytyw-

nie nastawieni do turystów, wielu okazywało nam swój szacunek. Zapamiętam rumuńską gościnność i... prawdziwy tabor cygański. Nieczęsto można zobaczyć osiem wozów, którymi podróżują rodziny z całym dobytkiem”, wspomina Przemek Wójtowicz.

Uczestnicy wyprawy ruszyli na rajd jednak nie tylko po to, by zwiedzić Rumunię i zintegrować weteranów. Jeden z głównych celów, jaki przyświecał eskapadzie, to rehabilitacja przez sport. Mł. chor. Wójtowicz ma w tej dziedzinie spore doświadczenie. Wcześniej organizował już podobne przedsięwzięcia dla weteranów. Zajmował się między innymi wyprawami w Bieszczady i organizacją kursów nurkowych. „To się zawsze sprawdza, bo wojskowa przyjaźń jest nierozdzielna. Często tylko żołnierze są w stanie zrozumieć innych żołnierzy. Uczestnicy tworzą jedną grupę i mają wspólny cel do zdobycia. Służy to integracji, budowaniu więzi, doskonale działa na psychikę. Dla weteranów, którzy są niepełnosprawni, to też doskonała okazja, by pokazać, że nadal potrafią coś osiągnąć”, mówi mł. chor. Wójtowicz. „Zachęcanie weteranów poszkodowanych do aktywności fizycznej to bardzo dobry pomysł. Wiele razy widzieliśmy, że ruch pozytywnie wpływa na naszych kolegów”, dodaje ppor. Żebryk. Oficer za przykład podaje ubiegłoroczną wyprawę na Spitsbergen. Wówczas w okolicy koła podbiegunowego wyjechali niepełnosprawni weterani, którzy po wypadkach na misji stracili rękę lub nogę. „Mimo swoich słabości podjęli wyzwanie i ruszyli w wyczerpującą podróż. Przemierzali lodowce, a nawet wzięli udział w pięciokilometrowym biegu na Spitsbergenie. To dla wszystkich wielka radość i duma. Tak samo było i tym razem, gdy ruszyliśmy w rumuńskie Karpaty”.

Weterani już myślą o kolejnych podróżach. Gdzie pojadą następnym razem – jeszcze nie wiadomo. Być może jesienią tego roku ruszą do Gruzji albo ponownie do Rumunii. Marzą także o wyprawie na Kilimandżaro. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

W masce sępa

To wielowątkowa sztuka opowiadająca o tym,
jak wojna wpływa na psychikę.

Dlaczego nie klaskałem?”, młody, krótko ostrzyżony mężczyzna (żołnierz?) powtarza pytanie i chwilę się zastanawia. „To, co zobaczyłem, było zbyt przejmujące i oklaski wydawały mi się nie na miejscu”, odpowiada. Marcin Liber, który wyreżyserował spektakl, nie był zaskoczony, gdy opisałam mu tę scenę. Trudno dziękować oklaskami za „takie” przedstawienie.

Sztuka „Jak umierają słonie” zaczyna się od fragmentu eseju ze zbioru „Kulturowe wymiary ludobójstwa” Radosława Filipa Muniaka. „Są tylko dwa wyjścia: zacząć ingerować w los ofiary albo o nim pisać. Trzeba wybrać. Nie można tak po prostu tknąć cudzego losu i pójść dalej, szukając nowej historii. Takie tknięcia nie uchodzą bezkarnie. To się kiedyś obróci przeciwko nam”. Potem na scenie pojawiają się duchy postaci, które zetknęły się z wojennym koszmarem

Na dużej scenie Teatru Współczesnego w Szczecinie powstał spektakl o tym, jak wojna wdziera się w naszą psychikę, a także o tym, jak dzięki relacjom mediów miliony widzów na całym świecie przeżywają tę wojnę niczym kolejny film. „Wojny to dzisiaj także obrazy i dźwięki w salonie [...], im krwawej, tym ciekawiej, [...] reagujemy współczuciem, oburzeniem, podnieceniem albo aprobatą, w miarę, jak ukazują się nam kolejne nieszczęścia”, pisała Susan Sontag. „Jesteśmy zatruci mediami komercyjnymi, goniącymi za sensacją. Fascynuje nas nieszczęście, bo jest inspirujące. W szczęściu nie widzimy nic interesującego, jest banalne i trudno je opisać”, mówi reżyser Marcin Liber. „Pełne cierpienia obrazy dobrze się sprzedają. Ale czy można żyć z wojny?”, pyta reżyser. „Przez 20 lat żyliśmy z wojny”, odpowiada Żona, bohaterka przedstawienia „Jak umierają słonie”.

Przemysław Matejko jest strzelcem wyborowym w 22 Karpackim Batalionie Piechoty Górskiej w Kłodzku. Szeregowy każdego dnia doskonali umiejętności kamuflażu, skrytego podejścia do przeciwnika, precyzyjnego posługiwania się karabinem. W czasie wolnym zmienia się w samuraja, adepta haidong gumdo – koreańskiej sztuki walki mieczami. W jednym i drugim sposobie wojowania pragnie osiągnąć mistrzostwo.

Precyzyjne strzelanie jest dla niego nową specjalnością. Na etat do kompanii dowodzenia trafił zaledwie przed miesiącem. Wcześniej, w kompani zmechanizowanej, był kancelistą-radiotelefonistą. W ocenie przełożonych od początku służby jest żołnierzem zdyscyplinowanym i koleżeńskim. „Nigdy nie słyszałem o nim nic złego. Jego sukcesy i treningi, które prowadzi z dziećmi i młodzieżą, bardzo pozytywnie

roku z Mistrzostw Europy Haidong Gumdo w Paryżu.

W zawodach we Francji wzięło udział około 500 zawodników z 19 krajów. 31 wystąpiło w barwach biało-czerwonych. Zdobyli łącznie 14 medali złotych, 17 srebrnych i 15 brązowych. Indywidualnie Przemek wywalczył ich najwięcej. W klasyfikacji generalnej Polska zajęła trzecie miejsce.

Haidong gumdo można tłumaczyć jako „droga miecza z Morza Wschodniego”. Jest trudną regułą wojowania wywodzącą się ze starożytnej Korei. W przeciwieństwie do japońskich sztuk walk, gdzie samuraj koncentruje się na starciu z jednym przeciwnikiem, haidong gumdo jest systemem, w którym pokonuje się kilku przeciwników jednocześnie. Jak mówią miłośnicy tej sztuki walki, jest bardziej filozofią życia niż sportem. Kolejne jej wtajemniczenia odciskają

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Sztuka życia

Codziennie szkolenie traktuje jako sztukę walki. Uważa, że zarówno w haidong gumdo, którym się zajmuje, jak i codziennej służbie, bardzo ważny jest kodeks wojownika.

wpływają na postrzeganie wojska przez lokalne społeczeństwo”, podkreśla ppłk Artur Dziaduła, dowódca batalionu.

W kompani zmechanizowanej, gdzie szeregowy służył do niedawna, pozostawił po sobie bardzo dobre wrażenie. „Był bardzo dokładny. Przy okazji ćwiczeń i szkoleń udawał, że jest fachowcem w swojej specjalności”, mówi chor. Tomasz Bizan, szef kompanii i jednocześnie były dowódca drużyny Przemka.

NAJLEPSZY W EUROPIE

W sztukach walki, które szer. Matejko trenuje od 2007 roku, mistrzowskimi laurami mógłby obdzielić kilku zawodników. Ma pierwszy stopień mistrzowski sztuki walki mieczem samurajskim, zdobył też wiele tytułów i wyróżnień na matach krajowych i zagranicznych. Największym osiągnięciem w jego dorobku jest jednak pięć medali – dwa złote, jeden srebrny, dwa brązowe – które przywiózł w październiku 2014

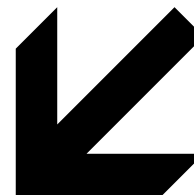
wyrażne piętno na trenujących. Wymaga ona nie tylko ciągłego doskonalenia fizycznego – siły, precyzji i refleksu, lecz także pracy nad osobowością, zachowaniem i dążeniem do zdobywania wiedzy oraz wszechstronnym rozwojem duchowym.

„Doskonalona przez lata treningów i medytacji filozofia budo umocniła we mnie wytrwałość, opanowanie, samodyscyplinę i pracowitość. Ich ciągłe doskonalenie sprawiło, że odnoszę sukcesy nie tylko w pojedynkach, ale także w życiu prywatnym i służbie”, mówi dwukrotny mistrz Europy.

Wszystko to za sprawą kodeksu wojownika, który dla Przemka jest nie tylko symboliczny, ale stał się drogowskazem życia i służby.

WOJOWNIK Z PRZYPADKU

Szer. Przemysław Matejko ma 24 lata. W 2007 roku przypadkowo poszedł z kolegą na trening karate. Spodobało się mu. Po jakimś czasie ko-



W planach Przemka jest zorganizowanie własnej szkółki dla młodych samurajów. Jako doświadczony zawodnik haidong gumdo, chce samodzielnie kształtować przyszłych mistrzów.

lega zrezygnował z nauki walki, a on został. Pięć lat później spróbował nowej dyscypliny, haidong gumdo, która zaczynała w Polsce zyskiwać coraz więcej zwolenników. Szybko zaczął odnosić sukcesy.

W lutym 2012 roku wstąpił do armii. W służbie pomogły mu lata treningów, nawyków i cech przeniesionych z samurajskiego kodeksu budo. Nauczyły go pracy w zespole.

Utytułowany wojownik skromnie wyznaje, że chętnie otacza się osobami ciekawymi, mądrymi, wnoszącymi do jego życia pozytywną energię i nowe wartości. Zamiłowaniem do sztuk walki próbował zarazić kilku kolegów z wojska. Ci jednak po krótkim czasie rezygnowali z treningów.

Przemysław Matejko chętnie dzieli się umiejętnościami także z dziećmi i młodzieżą. W rodzinnym Kłodzku od lat towarzyszy swojemu nauczycielowi Krystianowi Kmiecińskiemu w pracy z młodymi adeptami sztuk walki. Między innymi dzięki ich zaangażowaniu główne dojang (szkoły, w których odbywają się zajęcia sztuk walki) na Dolnym Śląsku są zlokalizowane w Kotlinie Kłodzkiej. W jednym z nich – Kłodzkim Centrum Sztuk Walki – trenuje obecnie ponad 30 adeptów, z których kilku również ma na koncie medale mistrzostw Europy.

W planach Przemka jest zorganizowanie własnej szkoły dla młodych samurajów. Jako doświadczony zawodnik haidong gumdo, chce samodzielnie kształtować przyszłych mistrzów. Pragnie uczyć ich swoich sposobów walki, między innymi dwoma mieczami jednocześnie, co w Polsce nie jest jeszcze praktykowane.

„Zdaję sobie sprawę, że żaden z moich podopiecznych od razu wielkim wojownikiem nie zostanie”, wyjaśnia. „Jestem jednak pewien, że jak ktoś chociażby przez kilka miesięcy będzie trenował, to oprócz rozwoju fizycznego zyska także wiele wartości mentalnych, które później bardzo przydadzą się w życiu”.

UMIEJĘTNOŚĆ WALKI O... PIENIĄDZE

Przemek trenuje kilka godzin dziennie przez pięć–sześć dni w tygodniu. Nawet gdy wyjeżdża na poligon, znajduje czas na medytację i wzmacnianie kondycji fizycznej. Liczne obowiązki, w tym żołnierskie, szer. Matejko musi pogodzić z nauką. Jest studentem drugiego roku zarządzania w Wyższej Szkole Zarządzania „Edukacja”.

Polskie Stowarzyszenie Haidong Gumdo jest młodą organizacją, istniejącą zaledwie od 2010 roku. Jak wiele podobnych, cierpi na brak funduszy. Aby wysłać zawodników do Paryża, jej członkowie musieli sami zebrać większość pieniędzy. Organizowali pokazy, kwesty, brali udział w festynach. Oplaciło się. W lipcu 2015 roku w Korei Południowej odbędą się mistrzostwa świata, w których dwukrotny mistrz Europy również chciałby wziąć udział. ■





ANNA DĄBROWSKA

Cud nad Bugiem

Pod Frankopolem polscy ułani odcięli drogę
odwrotu dywizjom bolszewickim.

Stoczona 15 sierpnia 1920 roku na przedpolach stolicy Bitwa Warszawska pozwoliła zatrzymać pochód armii bolszewickiej. Następnego dnia polskie wojska ruszyły znad Wieprza do kontrataku, oskrzydłając armie rosyjskie. Nieprzyjaciół rozpoczął odwrot.

OCHOTNICZY UŁANI

Jedną z jednostek, która brała udział w pościgu za wycofującymi się spod Warszawy bolszewikami, była grupa jazdy ochotniczej mjr. Feliksa Jaworskiego. Ten słynny ułan, walczący podczas I wojny na Wołyniu i Podolu, otrzymał w lipcu 1920 roku rozkaz sformowania na Lubelszczyźnie brygady jazdy ze zgłaszających się do armii ochotników. Wkrótce powstały trzy pułki jazdy ochotniczej: wołyński,

lubelski i siedlecki, a nowo przyjęci kawalerzyści rozpoczęli szkolenie. Po zaledwie miesięcznych ćwiczeniach, w nocy z 13 na 14 sierpnia przyszedł rozkaz naczelnego wodza Józefa Piłsudskiego, aby major zebrał szwadrony, które jego zdaniem są gotowe do walki i wyruszył z nimi w pole w składzie 2 Armii.

Major dołączył do ochotników zaprawiony w bojach 4 Wołyński Dywizjon Strzelców Konnych i ruszył na front w sile około 500 szabel. Szlak bojowy jazdy ochotniczej wiódł od Kocka, przez Radzyń Podlaski i Międzyrzec. 17 sierpnia pod Kąkolewnicą ułani rozbili sowiecką 170 Brygadę Strzelców, a rankiem 18 sierpnia wkroczyli do miejscowości Mordy. Oddział zbliżał się do Bugu i drogi wiodącej na Drohiczyn. Ciągnęły nią do wsi Skrzyszew i mostu we Frankopolu kolumny



O POLEGŁYCH PRZYPOMINAJĄ
W SKRZESZEWIE TABLICA
W KOŚCIELE I POMNIK
NA MIEJSCOWYM CMENTARZU

wycofujących się w pośpiechu oddziałów sowieckich wraz z taborami. Rosjanie chcieli jak najszybciej przerzucić swoje wojska na wschód.

ATAK NA MOST

Mjr Jaworski postanowił zdobyć przeprawę i ją opanować, odcinając wrogowi drogę odwrotu. Zadanie nie było jednak proste. Rosjanie dysponowali ogromną przewagą liczebną – tysiącami żołnierzy piechoty, licznymi działami oraz umocnionym przyczółkiem mostowym we Frankopolu. Drogi do przeprawy w pobliżu Skrzyszewa broniły ponadto ułożone na okolicznych wzgórzach okopy.

Major podzielił swoich żołnierzy na dwie grupy. Pierwsza miała zdobyć most, druga wieś Skrzyszew. Bardziej doświadczonych ułanów, wśród nich głównie żołnierzy z 4 Dywizjonu Strzelców Konnych, major wziął pod swoje dowództwo. W nocy z 18 na 19 sierpnia ruszyli, aby zlikwidować placówkę sowiecką, chroniącą most. Ich przewodnikiem był ułan Jan Gościcki, ochotnik z 2 Pułku Lubelskiego i syn właścicieli majątku we Frankopolu, który doskonale znał okolice. Polacy poszli do rosyjskich pozycji i rankiem rozpoczęli atak.

Polskie uderzenie tak zaskoczyło nieprzyjaciela, że ułanom udało się zdobyć most, kilka rosyjskich dział i wieś Frankopol. Opanowanie przeprawy było jednak chwilowe. Rosjanie szybko zebrali siły i ruszyli do szturm. Pod ich naporem mjr Jaworski zarządził odwrót i most ponownie zajęli Sowieci. W tym samym czasie druga grupa ułanów zdobywała Skrzyszew. O świcie 19 sierpnia szwadrony natarły pieszo na wieś.

Mimo kilkunastokrotnej przewagi Rosjanie, którzy we mgle nie byli w stanie ocenić sił wroga i nie wiedzieli, że atakuje ich tylko setka ułanów, wycofali się i Skrzyszew został zdobyty przez Polaków.

Od Sokołowa Podlaskiego nadchodziły już jednak kolejne sowieckie dywizje i bolszewicy przeszli do kontrataku. Rozpoczęła się walka o wieś i most. Miejscowość kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk. W końcu Polacy zajęli wzgórze nad przeprawą i ze zdobytych dział rozpoczęli ostrzeliwanie szosy Frankopol–Skrzyszew, utrudniając nieprzyjacielowi przemarsz. Sowieci w panice podpalili most na Bugu, aby uniemożliwić naszym wojskom pościg. Jednocześnie jednak odcięli drogę odwrotu swoim jednostkom.

Wielogodzinny bój o most między Skrzyszewem i Frankopolem, choć skończył się wycofaniem Polaków, był ogromnym sukcesem i został nawet nazwany cudem nad Bugiem. Kilkuset ułanom udało się przeciąć drogę odwrotu bolszewickim dywizjom. Dowództwo sowieckie musiało skierować kolumny wojsk okružną drogą – przez Nur i Granne. Ułani wzięli też do niewoli ponad tysiąc jeńców, zdobyli kilkanaście armat, karabiny maszynowe, tabory z zaopatrzeniem oraz kilka sztandarów bolszewickich. W walkach o most zginęło i zostało rannych kilkudziesięciu ułanów, między innymi ich przewodnik Jan Gościcki, a mjr Jaworski został postrzelony w nogę.

Pod koniec września rozkazem naczelnego dowództwa formacja została rozwiązana.

POMNIK PRZY DRODZE

O poległych ułanach i walkach o most przypomina dziś w Skrzyszewie tablica w kościele parafialnym i pomnik na miejscowym cmentarzu. Odsłonięto go 22 sierpnia 1993 roku.

Na kamiennym głazie wyryto podobiznę mjr. Feliksa Jaworskiego i napis: „W hołdzie bohaterskim obrońcom Ojczyzny, ułanom jazdy ochotniczej mjr. Feliksa Jaworskiego, strzelcom IV Wołyńskiego Dywizjonu 1 PSK”. Ustawiono też trzy wysokie metalowe lance z metalowymi proporcami kawaleryjskimi.

Nie jest to jednak pierwszy pomnik tej bitwy w Skrzyszewie. W pobliżu mostu, na rozwidleniu drogi, w okresie II Rzeczypospolitej wystawiono obelisk upamiętniający 212 Lubelski Pułk Ułanów i powstały z niego pod koniec 1920 roku 22 Pułk Ułanów Podkarpackich. Pomnik przetrwał II wojnę, niestety w okresie PRL-u czerwoni harcerze skuli z niego napis i zerwali wieńczący postument Krzyż Walecznych.

Dwadzieścia lat później Jacek Boratyński, wówczas mały chłopiec, odwiedzając we Frankopolu rodzinne strony ojca, Kazimierza, zapytał go o stojący w krzakach przy drodze obelisk. „Został postawiony na pamiątkę zwycięstwa polskich ułanów nad Rosjanami”, usłyszał. „Dowiedziałem się wtedy, że taka wojna w ogóle miała miejsce”, opowiada pan Jacek.

W połowie lat osiemdziesiątych panowie wycieli zarastające pomnik krzaki i odnaleźli leżący tam od lat krzyż. „Nie było już na nim orła, więc zastąpiliśmy go biało-czerwoną tarczą i osadziliśmy na monumencie”, wspomina Jacek Boratyński. Na pomniku brakowało też złotych liter, a napis był bardzo zarty. Na szczęście, wodząc palcami po kamieniu, udało się go odczytać, odtworzyć i wypełnić zagłębienia farbą. Dziś każdy jadący szosą do mostu na Bugu może przeczytać inskrypcję: „Poległym na polu chwały ułanom 212 Pułku Ułanów – 22 Pułk Ułanów. Sierpień 1920 – sierpień 1923”.

| POŻEGNANIA |

Panu Markowi Nowakowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

Panu mjr. Andrzejowi Słapczyńskiemu,

zastępcy wojskowego komendanta w Gdyni,

oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Brata

składają kadra zawodowa i pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Gdyni.

Pani Krystynie Kozak

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Panu mec. Cezaremu Mackiewiczowi

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze oraz pracownicy
109 Szpitala Wojskowego z Przychodnią SP ZOZ
w Szczecinie.

Panu płk. Grzegorzowi Face

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

szczerze kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają kierownictwo, żołnierze i pracownicy
Departamentu Kadr MON.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
byłego dowódcy 6 Brygady Desantowo-Szturmowej
w Krakowie

gen. bryg. Jerzego Wójcika,

wspaniałego żołnierza i Człowieka.

Rodzinie i Najbliższym

składamy z serca płynące wyrazy głębokiego
współczucia.

Komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
w Krakowie

Panu płk. Grzegorzowi Faka

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

ze słowami otuchy dla całej

Rodziny

z powodu bolesnej straty
składają szef, żołnierze i pracownicy służby cywilnej
Oddziału Kadr Rodzajów Sił Zbrojnych
Departamentu Kadr MON.

Panu st. chor. Tadeuszowi Lewczukowi

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

Panu płk. Piotrowi Gąstałowi,

dowódcy Jednostki Wojskowej GROM,
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Ojca

składa Fundacja im. Cichociemnych Spadochroniarzy
Armii Krajowej.

Wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci

Brata

mjr. Andrzejowi Słapczyńskiemu,

szefowi wydziału–zastępcy wojskowego
komendanta uzupełnień,
składają kadra i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień w Gdyni.

POŻEGNANIA

Panu płk. Piotrowi Gąstałowi
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje z powodu śmierci

Taty

składają komendant, żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Specjalnego ŻW w Warszawie.

Panu pułkownikowi
Piotrowi Gąstałowi

wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
Centrum Operacji Specjalnych – Dowództwa
Komponentu Wojsk Specjalnych.

Panu ppłk. Sylwestrowi Zgódce
oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Teściowej

składają dowództwo, kadra i pracownicy wojska
JW nr 2286.

Panu
kmdr. por. Arturowi Kleczkowskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, kadra oraz pracownicy wojska
3 Flotylli Okrętów.

Pani Małgorzacie Nowak,
kierownicze SWdK nr 12,
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Męża

ze słowami otuchy dla całej

Rodziny

w obliczu bolesnej straty
składają dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
oraz kadra i pracownicy Dowództwa Operacyjnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”.
ks. Jan Twardowski

Panu
kmdr. por. Arturowi Kleczkowskiemu
oraz Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają koleżanki i koledzy
z Wydziału Wsparcia Dowodzenia i Łączności N6
Dowództwa 3 Flotylli Okrętów w Gdyni.

„Ci, których kochamy, nie umierają nigdy,
bo miłość to nieśmiertelność”.

Emily Dickinson

Pani Małgorzacie Nowak
oraz Jej Rodzinie i Bliskim
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Męża

składają szef Pionu Wsparcia,
kadra i pracownicy z Pionu Wsparcia
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu st. kpr. Mariuszowi Dudzie
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

Marzenie i Andrzejowi Śliwa
wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki i Teściowej

składają dowódca, kadra i pracownicy wojska
2 Rejonu Wsparcia Teleinformatycznego
Sił Powietrznych.

| POŻEGNANIA |

„Śmierć boli nie tych, którzy odchodzą,
lecz tych, co wśród żywych pozostają”.

Panu ppłk. Robertowi Piekarniakowi

oraz Jego Najbliższym

wyrazy szczerego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają szef, kadra oraz pracownicy
Szefostwa Transportu i Ruchu Wojsk – CKRW.

Gen. bryg. Stanisławowi Olszańskiemu

oraz jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają kadra zawodowa oraz pracownicy wojska
Zarządu Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych
Inspektoratu Wojsk Lądowych Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

pułkownika Bogusława Wrzoska,

byłego szefa 17 TOL.

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie i Najbliższym

składają szef, kadra zawodowa i pracownicy
17 Terenowego Oddziału Lotniskowego w Gdańsku.

Panu gen. bryg.

Stanisławowi Olszańskiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

szczere kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają inspektor wojsk lądowych, kadra zawodowa
i pracownicy wojska Inspektoratu Wojsk Lądowych
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Pani chor. Magdzie Wilińskiej-Kurzydło

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Szczecinie.

Panu kmr. por.
Jarosławowi Zarębińskiemu

oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszersze kondolencje z powodu śmierci

Ojca

składają szef wraz kadra i pracownikami
Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych
i Szkolenia – P3/P7
Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Wyrazy głębokiego i szczerego współczucia

Rodzinie zmarłego

ptk. Bogusława Wrzoska

składają szef zarządu oraz oficerowie
i pracownicy wojska
Stołecznego Zarządu Infrastruktury w Warszawie.

Panu gen. bryg.
Stanisławowi Olszańskiemu

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy wojska
15 Gizińskiej Brygady Zmechanizowanej.

Panu gen. bryg.
Stanisławowi Olszańskiemu

oraz Jego Rodzinie

wyrazy współczucia i szczere kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
Dowództwa 16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej.

| POŻEGNANIA |

Panu gen. dyw.
Andrzejowi Wasilewskiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
szczerą kondolencję i wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Brata

składają kierownictwo, żołnierze i pracownicy
Departamentu Kadr MON.

„Im droższy człowiek, tym większy ból,
lecz wolą Boga jest rozstanie...”

Starszemu chorążemu
Władysławowi Ganeczce

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
generał broni Marek Tomaszewski
oraz kadra i pracownicy Dowództwa Operacyjnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Naszemu Koledze

gen. bryg. Stanisławowi Olszańskiemu

wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
w niezwykle trudnych chwilach po stracie

Mamy

składają prezes oraz członkowie Stowarzyszenia
Honorowych Podhalańczyków
21 BSP w Rzeszowie.

Starszemu chorążemu
Władysławowi Ganeczce

oraz jego Rodzinie i Najbliższym

słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego współczucia
i szczerą kondolencję z powodu śmierci

Mamy

składają koleżanki i koledzy z Sekretariatu
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu

Panu pułkownikowi
Wiesławowi Iwanowskiemu

z powodu śmierci

Matki

składają szef, żołnierze zawodowi i pracownicy wojska
Zarządu Planowania i Programowania Rozwoju
Sił Zbrojnych – P5.

Panu starszemu szeregowemu
Pawłowi Wysockiemu

wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy wojska
1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

Panu kmdr. ppor. Jackowi Zającowi

oraz Jego Rodzinie

w trudnych chwilach słowa wsparcia
oraz najszczerzego współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy Dywizjonu Okrętów
Podwodnych.

Panu generałowi brygady
Stanisławowi Olszańskiemu

wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy wojska
1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

Pani Beacie Sural

oraz Jej Rodzinie i Najbliższym

słowa wsparcia, wyrazy współczucia i szczerą
kondolencję z powodu śmierci

Ojca

składa Komenda 1 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką SPZOZ w Lublinie.

| POŻEGNANIA |

**Panu pułkownikowi
Janowi Myszczyńskiemu,**
attaché obrony, wojskowemu i lotniczemu
przy Ambasadzie RP w Kiszyniowie,
wyrazy głębokiego współczucia i żalu oraz najszersze
kondolencje z powodu śmierci

Matki
składają kierownictwo, kadra zawodowa i pracownicy
Departamentu Wojskowego Spraw Zagranicznych MON.

Płk. Dariuszowi Plucie,
szefowi Zarządu Planowania Logistycznego – J4
w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych,
z powodu śmierci

Brata
wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
składają dowódca generalny wraz z żołnierzami
i pracownikami wojska Dowództwa Generalnego RSZ.

Panu
st. chor. szt. Tomaszowi Obierakowi
oraz Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu tragicznej śmierci
Teściów
składają komendant, żołnierze i pracownicy wojska
Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi.

Wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje
Panu płk. dr. hab.
Adamowi Radomyskiemu,
prof. nadzw. Akademii Obrony Narodowej,
z powodu śmierci
Matki
składają kadra, pracownicy i studenci
Instytutu Lotnictwa i Obrony Powietrznej.

Panu
st. chor. szt. Januszowi Hermanowi
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci
Brata
składają dyrektor, kadra i pracownicy
Ośrodka Monitorowania i Analiz
Ministra Obrony Narodowej.

Z największym smutkiem i głębokim żalem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci
płk. dypl. pil. Janusza Tomczyka.

Wyrazy najgłębszego współczucia
Rodzinie Zmarłego
składają rektor-komendant, Senat oraz społeczność
Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych
imienia Generała Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu.

Głęboko poruszeni śmiercią
kmdr. por. Zbigniewa Rogosza,
oficera Inspektoratu Marynarki Wojennej,
składamy wyrazy serdecznego współczucia
Rodzinie i Przyjaciołom.

Dowódca generalny
wraz z żołnierzami i pracownikami wojska
Dowództwa Generalnego RSZ

Panu płk Jarosławowi Ogrodzińskiemu
oraz Jego Rodzinie
wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teścia
składają koledzy z Oddziału Polityki Nieprolifracji
i Rozbrojenia
Departamentu Polityki Bezpieczeństwa
Międzynarodowego MON.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227



Agora

Dramat historyczny Alejandro Amenábara z gwiazdami Hollywood w rolach głównych.

Aleksandria, rok 391. Hypatia (Rachel Weisz) jest grecką filozofką i astronomką. Próbuje za wszelką cenę rozwikłać nurtujący ją problem położenia Słońca i Ziemi w Układzie Słonecznym. Hypatia wyklada pasjonujące ją nauki swoim uczniom. Wśród nich jest Orestes (Oscar Isaac),

późniejszy prefekt Aleksandrii, zachowany bez wzajemności w swej nauce. Tłem dla tej historii staje się narodziny nowej religii, chrześcijaństwa, której wyznawcy buntują się przeciw pogańskim władzom Aleksandrii.

10 lipca, godz. 23.30

TVP
HISTORIA

Dzwony wojny

Serial o losach dwóch młodych żołnierzy oraz ich rodzin.

Thomas i Michael mogliby być przyjaciółmi, stają jednak po dwóch stronach konfliktu w I wojnie światowej. Wprawdzie jeden jest Brytyjczy-

kiem, a drugi Niemcem, ale wiele ich łączy. Obaj wchodzą właśnie w dorosłość, obaj mają kochających rodziców, obaj są zakochani. Obaj wreszcie chcą walczyć o swój kraj. Jak tysiące im podobnych, liczą, że wojna potrwa najwyżej kilka miesięcy. Zanim zakończy się jeden z najstraszliwszych dramatów XX wieku, z chłopców zdążą się stać mężczyznami.

12, 18, 19, 25 lipca, godz. 23.35

TVP
HISTORIA

Żegnajcie, towarzysze!

Sześciocyfrowy serial ukazuje sytuację w krajach satelickich ZSRR od połowy lat siedemdziesiątych XX wieku. Związek Radziecki był wtedy

u szczytu swojej potęgi; prawie połowa planety znajdowała się pod sowieckim wpływem, a Leonid Breżniew wydawał się najpotężniejszym człowiekiem na ziemi. USA, czyli drugie supermocarstwo, zostało pokonane w Wietnamie

Ułan Batalionu „Zośka”. Jan Rodowicz „Anoda”

Dokument o jednym z bohaterów „Kamieni na szaniec” Janie Rodowiczu „Anodzie” – harcerzu Szarych Szeregów, uczestniku tzw. małego sabotażu i wielu akcji zbrojnych. W czasie powstania warszawskiego walczył w Batalionie „Zośka”. Był trzykrotnie ranny. Został odznaczony orderem Virtuti Militari i dwukrotnie Krzyżem Walecznych. W wieczór wigilijny 1948 roku został aresztowany przez UB i po dwóch tygodniach zakatowany w czasie śledztwa. W filmie o „Anodzie” mówią przyjaciele z Batalionu „Zośka”, komendant warszawskiego hufca w czasie okupacji Stanisław Broniewski „Orsza”, członkowie rodziny Jana Rodowicza, kolega ze studiów Jan Suzin oraz pisarka Barbara Wachowicz.

7 lipca, godz. 21.55

TVP
HISTORIA

Jarzębina czerwona

Epopėja wojenna ukazująca przebieg i znaczenie jednej z największych bitew stoczonych w II wojnie światowej – walki 1 Armii Wojska Polskiego o Kołobrzeg w marcu 1945 roku. Tytułowa „Jarzębina czerwona” to kryptonim radiowy polskiej kompanii. Głównymi bohaterami filmu są młody oficer Wiktor Kotarski, żołnierz spod Lenino, i jego zastępca chor. Jerzy Kręcki. Po śmierci dowódcy Wiktor przejmuje jego obowiązki. Dla niego wojna oznacza nie tylko wyzwolenie, lecz także nadejście czasów sprawiedliwości społecznej. Kręcki z kolei chce jak najszybciej wrócić w rodzinne strony. Ciężkie walki kończą się zdobyciem desperacko bronionych przez hitlerowców koszar.

8 lipca, godz. 22.45

i po aferze Watergate straciło moralną wiarygodność. To właśnie wtedy w Polsce i w Czechosłowacji zawiązała się opozycja, a papieżem został Karol Wojtyła. Warto!

Sobota, godz. 21.35



ZAMKI

Magnacka siedziba

URZĄD MIASTA I GMINY NOWY WIŚNICE

To jedna z najwspanialszych barokowych rezydencji obronnych w Polsce.

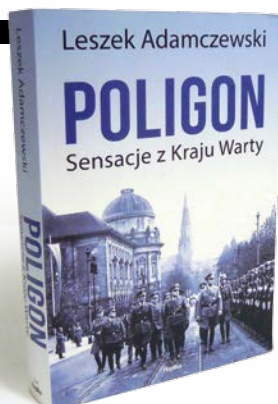
Stanisław Lubomirski po śmierci Jana Karola Chodkiewicza dowodził wojskami koronnymi i litewskimi w zwycięskiej bitwie pod Chocimiem w 1621 roku. Po wojnie przywiózł ze sobą wielu jeńców armii sułtana Osmana II. Wzięci do niewoli Turcy zostali zatrudnieni przy przebudowie zamku Lubomirskich w Wiśniczu.

Jeńcy, pracujący na wysokich wieżach broniących warowni, postanowili uciec

na skonstruowanych przez siebie skrzydłach. Niestety lot każdego z nich kończył się wcześniej czy później upadkiem na ziemię. W miejscu, gdzie ponieśli śmierć, miejscowa ludność budowała kamienne kolumny, które stoją do dziś między innymi w Wiśniczu czy Bochni.

Tak głosi legenda. Prawdą jest zaś, że Stanisław Lubomirski rozbudował rodowy zamek kupiony w 1593 roku przez jego ojca Sebastiana.

Niewielką warownię otoczoną palisadą wzniósł na wzgórzu nad Leksandrówką w drugiej połowie XIV wieku Jan Kmita. Jego syn Piotr przebudował rodową siedzibę w czteroskrzydłowy gotycki zamek z trzema basztami. Z kolei na początku XVI wieku kolejny Piotr Kmita, marszałek wielki koronny, nadał jej styl renesansowy. Dobudował dwie kolejne wieże i zmodernizował system obronny. Powstała czworoboczna bu-



KSIĄŻKA

Wielkopolski eksperyment

Książka Leszka Adamczewskiego „Poligon. Sensacje z Kraju Warty” to kolejna odsłona mało znanych historii z czasów II wojny światowej. W charakterystycznym dla siebie stylu opowiada autor o tragicznych

epizodach i do dziś niewyjaśnionych zdarzeniach, między innymi o polskim pilocie cudownie ocalałego z katastrofy brytyjskiego halifaksa nad Nowymi Skalmierzycami czy o tragicznej śmierci syna gauleitera Artura

➔ Vademecum

Nowy Wiśnicz leży 13 km na południe od Bochni, skąd można dojechać tutaj autobusem. Właściciele samochodów zostawiają je na parkingu przy zamku. Warownia jest otwarta od lipca do końca października, w tygodniu od 8.00 do 18.00, w weekendy od 9.00 do 18.00, w pozostałym okresie odpowiednio: 8.00–16.00 oraz 9.00–18.00. Wstęp i zwiedzanie z przewodnikiem kosztuje 13 zł. We wnętrzach warto obejrzeć zabytkowe meble, kolekcje porcelany i obrazów w wielkiej sali balowej, barokowe portale i polichromie oraz zbiór makiet największych zamków południowej Polski. Można też zajrzeć do kaplicy zamkowej i krypty, gdzie znajduje się sarkofag Lubomirskich. Ciekawa jest także sala akustyczna przy kaplicy, wykorzystywana za czasów Kmitów jako miejsce spowiedzi. Komnatę skonstruowano w taki sposób, aby osoba siedząca w jednym jej końcu doskonale słyszała nawet cichą spowiedź kogoś znajdującego się w drugim krańcu. Kto zechce zostać w Wiśniczu na noc, bez trudu znajdzie w miejscowości i jej okolicy wiele pensjonatów, hoteli oraz gospodarstw agroturystycznych.

dowla z wewnętrznym dziedzińcem zwieńczona basztami w narożach.

Za czasów Stanisława Lubomirskiego warownia w Wiśniczu nabrała cech barokowych. Dobudowano do niej kaplicę, a na dziedzińcu powstała trzykondygnacyjna loggia. Lubomirski zadbał też o wyposażenie zamku i jego wystrój, tak że Wiśnicz za jego czasów stał się jedną z najwspanialszych siedzib magnackich w Europie.

Greisera, z którą nigdy się nie pogodził. Greiser był w ogóle ciekawą postacią. Do stycznia 1945 roku pełnił funkcję namiestnika III Rzeszy wcielonych do Niemiec ziem województw poznańskiego i łódzkiego. Mimo iż wychowywał się wśród Polaków, podczas wojny światowej stosował wobec nich bezwzględną i systematyczną eksterminację. W powojennej Polsce

Zamek otrzymał też nowe umocnienia. Otoczono go nowoczesnymi pięciobocznymi fortyfikacjami bastionowymi z bramą wjazdową. Dzięki tym modernizacjom wiśnicka warownia stała się jedną z najlepiej ufortyfikowanych twierdz w kraju. Wyposażono ją także w silną załogę oraz zapasy żywności na dwa lata.

Mimo to podczas najazdu szwedzkiego w 1655 roku zamek został zajęty bez jednego wystrzału. Istnieją co najmniej dwie teorie, dlaczego Lubomirscy poddali Wiśnicz bez walki. Jedna z nich mówi, że w momencie podejścia Szwedów pod mury twierdza była pozbawiona dowódcy i nie miał kto podjąć decyzji o obronie. Według innej wersji, Lubomirscy byli tak dumni ze swojej siedziby, że poddali ją, aby uchronić wspaniałą rezydencję przed zniszczeniem.

Niestety, zabieg ten nie na wiele się zdał, ponieważ wojska szwedzkie i tak zdewastowały budowlę i ogołociły ją z całego wyposażenia, wywożąc na setkach wozów dzieła sztuki zgromadzone przez właścicieli. Po potopie zamek wrócił do Lubomirskich i został odbudowany, nigdy jednak już nie odzyskał dawnej świetności.

W połowie XVIII wieku warownia przeszła na własność rodziny Sanguszków, potem Potockich i Zamojskich. Pod koniec wieku zaczęła podupadać, a po wielkim pożarze w 1831 roku została całkowicie opuszczona. W 1901 roku wykupiło ją Zjednoczenie Rodowe Lubomirskich, które rozpoczęło remont, przerwany wybuchem II wojny.

Po 1945 roku Wiśnicz przejęło państwo i niedługo potem zaczęto kompleksową renowację zamku, jego murów i wnętrza, aby przywrócić mu dawny wygląd. Dziś odbudowaną warownią administruje Muzeum Ziemi Wiśnickiej. ■

ANNA DĄBROWSKA

za swoje „rządy” zapłacił najwyższą karę – został pozbawiony życia w ostatniej publicznie przeprowadzonej egzekucji.

Książka ciekawa i godna polecenia. Na pewno poruszy niejednego czytelnika. ■

JAKUB NAWROCKI

Leszek Adamczewski, „Poligon. Sensacje z Kraju Warty”, Replika, 2014

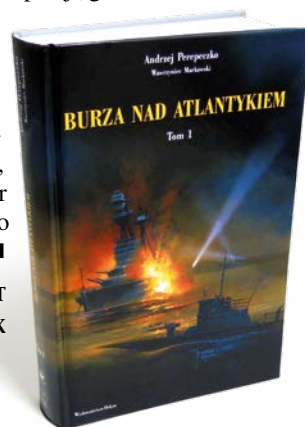
KSIĄŻKA

Dzieje floty

Postać Andrzeja Perepeczki jest doskonale znana miłośnikom marynistyki i historii wojskowości morskiej. Autor licznych książek popularnonaukowych o wojnach toczonych na morzu ma w swym dorobku między innymi wielotomową „Burzę nad Atlantykiem”, której pierwsze wydanie datuje się na koniec ubiegłego wieku. 15 lat to jednak niemal całe pokolenie, dlatego przy okazji premiery drugiego tomu warto przypomnieć wznowienie pierwszej części tej znanej publikacji. Nie tylko wznowienie, lecz także uaktualnienie i uzupełnienie, ponieważ historia, choć opowiada o zdarzeniach przeszłych, jak każda nauka stale się rozwija, a dzięki poznaniu nowych faktów możemy na nowo interpretować wiele faktów i decyzji z przeszłości. Obok znanego nazwiska pojawia się więc nowe, współautora, Wawrzyniec Markowski. Jak możemy przeczytać, to „przyjaciół Andrzeja Perepeczki, autor kilku książek oraz kilkunastu artykułów z zakresu II wojny światowej”.

Wydanie uaktualnione liczy łącznie sześć tomów. Pierwszy obejmuje okres od wybuchu II wojny światowej do czasu niemieckiej inwazji na Norwegię włącznie. Książka została opracowana w układzie zbliżonym do pierwotnego. Poszczególne rozdziały zabierają więc czytelnika na kolejne morza i oceany, na które w latach 1939–1940 stopniowo wkraczała wojna. Choć autorzy opisują głównie zmagania mocarstw, co zrozumiałe, sporo miejsca poświęcili w niej także losom naszej floty, a to duży walor dla polskiego czytelnika. ■

NORBERT
BĄCZYK



Andrzej Perepeczko, Wawrzyniec Markowski, „Burza nad Atlantykiem”, t. 1, Wydawnictwo Oskar, 2014

KSIĄŻKA

Lotniczka z Katynia

Pierwsza książka z filmem z serii „Polskie Skrzydła”.

W Baltimore w Stanach Zjednoczonych 19 listopada 2000 roku odsłonięto pomnik upamiętniający ofiary zbrodni katyńskiej. Dwudziestometrowy monument z brązu symbolizuje ogromne złociste płomienie, w których wycięto orła w koronie i zawieszono w powietrzu takie postacie z historii Polski, jak Bolesław Chrobry czy Tadeusz Kościuszko. U dołu tej niezwykle pochodni stoi grupka ludzi: dwóch oficerów i kobieta – jak twierdzi Andrzej Pityński, autor pomnika – Janina Lewandowska, lotniczka, która zginęła w Katyniu. Ten fragment monumentu Zbigniew W. Kowalewski i Sławomir Kozak umieścili na okładce swojej książki „Z nieba do Nieba”. Jest to specyficzna pozycja, ponieważ jej treść stanowi w zasadzie uzupełnienie do znajdującego się w środku filmu paradokumentalnego – zresztą pod tym samym tytułem – pokazującego dramatyczne losy nieuznanej kobiety (historia Janiny Lewandowskiej w artykule Anny Dąbrowskiej „Tajemnica Janki”, „Polska Zbrojna” 4/2015). Oprócz słowa od wydawcy i od reżysera oraz kilku artykułów na ten temat można w niej znaleźć przede wszystkim fragmenty scenariusza, czyli „wybrane sceny z gehenny por. pil. Janiny Lewandowskiej primo voto Dowbor-Muśnickiej”. Moją uwagę z tej dziwnej układanki zwrócił jeden z ostatnich fragmentów – tekst osobistego raptularza por. pil. Janki Lewandowskiej. Wymowne są już jego pierwsze zdania: „Urodziłam się nieopodal miejsca, gdzie z pewnością umrę. Teraz to już wiem i zastanawiam się, co po mnie zostanie...”. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Zbigniew W. Kowalewski i Sławomir Kozak, „Z nieba do Nieba”, Oficyna Aurora, 2013



KSIĄŻKA

Sceny z życia

Jako jeden z pierwszych zestrzelił 1 września 1939 roku niemiecki samolot. W sumie miał na swoim koncie 22 strącone maszyny wroga.

W 2015 roku mija 100. rocznica urodzin genialnego lotnika i świetnego dowódcy, uczestnika bitwy o Wielką Brytanię Stanisława Skalskiego. Sylwetkę tego nieuznanej człowieka przypomnieli zafascynowani jego osobowością Zbigniew W. Kowalewski – reżyser filmowy, popularyzator polskiej awiacji, oraz Sławomir M. Kozak – kontroler ruchu lotniczego, publicysta i wydawca, założyciel Oficyny „Aurora”. Podjęli się publikacji cyklu „Polskie Skrzydła”, przeznaczonego głównie dla młodych. Jak przyznają sami autorzy, chcieliby, aby kolejne pokolenie miało swoich bohaterów, z którymi mogłoby się identyfikować, ideały, dla których warto żyć i pracować.

Stanisław Skalski w okresie wojennym uwielał przez tłumy, w 1948 roku został bezpodstawnie aresztowany pod zarzutem szpiegostwa, torturowany w więzieniu fizycznie i psychicznie, aż w końcu skazany na karę śmierci. W 1956 roku uchylono wyrok i Skalskiego ponownie przyjęto do służby. Doczekał nawet awansu na stopień generała. Po zdjęciu munduru zaangażował się działalnością polityczną. Tymczasem wielu zapamiętało go jako ekscentryka, pod koniec życia bywalca SPATiF-u, gdzie nikt nie chciał słuchać jego wynurzeń. Po latach zapomniano bowiem o dokonaniach asa

lotnictwa myśliwskiego podczas II wojny światowej. A był niełatwym człowiekiem, którego punkt widzenia nie zgadzał się z ogólnie przyjętymi wytycznymi.

Nie dostajemy do rąk biografii, lecz portret człowieka nakreślony przez rodzinę, znajomych i osoby, które się z nim zetknęły. Na tę opowieść składają się między innymi liczne relacje spisane z roboczej wersji filmu dokumentalnego o Stanisławie Skalskim pt. „Spętany Anioł”, rozpisany na sceny szkic tej historii, wspomnienia samego bohatera, wykaz filmów, w których przygotowaniu uczestniczył jako konsultant i obrazy o nim samym, zrealizowane przez wybitnych twórców. Tak oto powstała książka, która przywołuje niektóre sceny z pełnej wzlotów i upadków życiowej drogi Stanisława Skalskiego, by zachować należną pamięć o pilocie i dowódcy dywizjonów 302, 501, 306, 316 i 317, uczestniku między innymi kampanii wrześniowej, bitwy o Anglię, a także ofensywy powietrznej nad Francją, Belgią i Holandią. Do publikacji jest też dołączona płyta z filmem dokumentalnym „Spętany Anioł”. ■

RENATA GROMSKA

Zbigniew W. Kowalewski, Sławomir M. Kozak, „Spętany Anioł”, Oficyna Aurora, 2014

PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ

Przeciw terrorowi

Tajne misje” to opowieść o elitarnych oddziałach policji, walczących ze zbrodnią i terrorem. Austriacka pisarka Judith Grohmann poświęciła rok życia na zbadanie specyfiki ich pracy. W tym czasie odwiedziła trzy

kontynenty i przeprowadziła niezliczone rozmowy z członkami policyjnych formacji antyterrorystycznych. Jednocześnie miała okazję brać udział w ćwiczeniach tych służb i na własnej skórze przekonać się, jak przygotowują się do akcji, kształtując psychikę i siłę mięśni. Zdobyta wiedzę uzupełniła o wcześniej dostępne doniesienia medialne i literaturę o podobnej tematyce.



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

KSIĄŻKA

Pierwszy niekomunistyczny

Był gotów rozmawiać o Polsce
z każdym i zawsze.

Nie opublikował żadnych wspomnień. Nigdy nie dał się też namówić na wywiad rzekę. Wprawdzie niechętnie, ale na szczęście zgodził się, żeby powstała ta biografia. Wolał jednak, by wydano ją dopiero po jego śmierci. W rezultacie zdążył przeczytać tylko pierwszy rozdział. Andrzej Brzeziecki zbierał materiały do tej książki wiele lat. Złożyły się na nią liczne rozmowy z Tadeuszem Mazowieckim, relacje bliskich osób, między innymi synów, rozmaite zapiski, dokumenty.

Wychował się w rodzinie, której rodowód wywodzi się z herbowej szlachty. Ojciec był szanowanym lekarzem,

łączącym pracę zawodową z działalnością społeczną i katolicką. Aktywnie pomagała mu w tym matka Mazowieckiego. Takie wychowanie miało ogromny wpływ na poglądy późniejszego premiera.

Życie Tadeusza Mazowieckiego (1927–2013) przypadło na niespokojne lata II wojny światowej, dramatyczny okres powojenny i przemiany ustrojowe. Ich zwieńczeniem w 1989 roku były częściowo wolne wybory, w których wyniku został pierwszym w bloku wschodnim niekomunistycznym premierem. Brzeziecki w niezwykle interesujący sposób opowiada o tym nietuzinkowym człowieku, o jego trudnych

wyborach i niezłomnym charakterze. Ta opowieść to ważna powtórka z historii najnowszej naszego kraju, ale też dowiadujemy się z niej mniej znanych faktów z życia Tadeusza Mazowieckiego. Na przykład niewiele osób zapewne pamięta, że był on specjalnym sprawozdawcą Komisji Praw Człowieka ONZ w byłej Jugosławii. Wojna na Bałkanach już trwała, kiedy świat obiegała informacja, że Serbowie tworzą obozy koncentracyjne, że są łamane prawa człowieka. Pod naciskiem opinii publicznej ONZ skierowała tam specjalnego wysłannika, który miał monitorować wydarzenia. W rzeczywistości jednak dostał słabe umocowanie organizacji, nie wyposażono go też w żadne uprawnienia ani instrumenty umożliwiające wpływanie na sytuację w byłej Jugosławii. Nie otrzymywał nawet wynagrodzenia. Była to bowiem funkcja honorowa. Przez długi czas Mazowiecki nie godził się z tym, że oprócz pisanie raportów, nic nie może zrobić, żeby zażegnać konflikt. Nieustannie zderzał się ze ścianą ignorancji urzędników ONZ. Z tego powodu po trzech latach pełnienia misji zrezygnował z funkcji. Ale Brzeziecki pokazuje nam Mazowieckiego nie tylko jako polityka, lecz także kochającego męża, ojca i dziadka. W pamięci Polaków pozostał jednak przede wszystkim kluczową postacią w walce o demokrację, wielkim patriotą i autorytetem.

Książka Brzezieckiego jest ważnym elementem naszej wiedzy o niełatwej polskiej drodze do wolności i ludziach, którzy na trwałe zapisali się w historii naszego kraju. ■

RENATA GROMSKA

Andrzej Brzeziecki,
„Tadeusz Mazowiecki. Biografia
naszego premiera”, Znak, 2015

W efekcie w ręce czytelnika trafia pozycja niezbyt obszerna, za to dynamiczna, zawierająca opisy najrozmaitszych akcji przeciwko wszelkiej formie terroru w Austrii i 15 innych krajach. Autorka już od pierwszych stron wprowadza w klimat misji owianych tajemniczością, wyjaśnia pojęcia i zjawiska przedstawione dokładniej w dalszej części publikacji.

Książka daje nieczęstą okazję do zajrzenia za kurtynę działań takich jednostek, jak niemiecka GSG 9, austriacka EKO Cobra czy izraelska Jamam. Poprzez opis rzeczywistych akcji antyterrorystycznych przedstawia ich codzienną pracę, a więc zapobieganie zamachom, ochronę osobistą, obserwacje przestępców i negocjacje z nimi czy zabezpieczenie dużych imprez sporto-

wych. Pozycja godna przeczytania, szczególnie przez pasjonatów wojskowych jednostek specjalnych, jako uzupełnienie wiedzy o działaniach pozostałych służb. ■

PIOTR ZARZYCKI

Judith Grohmann, „Tajne misje”,
Bellona, 2015



KSIĄŻKA

Zombie kontra ZOMO

Ręka, noga, mózg na ścianie, czyli mikroapokalipsa według Roberta T. Szmidta.

Czy ktoś z Was, Szanowni Czytelnicy, pamięta film „Noc żywych trupów” George’a Romero z 1968 roku? Wszyscy? Z pewnością, w końcu w tym właśnie klasyku horrorów po raz pierwszy pojawiają się zombie, jakie znamy dziś: powstający z martwych, zżerający tych, u których można jeszcze wyczuć puls, kroczący sztywno przed siebie z wyciągniętymi ramionami. W najnowszej powieści Robert T. Szmidt wywraca historię popkultury do góry nogami. Udowadnia, że takie właśnie zombie pojawiły się już kilka lat wcześniej, w 1963 roku, we Wrocławiu. W mieście szaleje epidemia czarnej ospy. Wśród zakażonych, oddzielonych od pozostałych mieszkańców miasta w izolatorium,

pojawia się jednak nowy, nieznany wirus, który w zastraszającym tempie zaczął się rozprzestrzeniać poza szpital. Chodzący zmarli zabijają, gdzie się da i kogo się da. Trup ściele się gęsto, a potem powstaje, by dołączyć do towarzyszy. Z zombie usiłują walczyć żołnierze, strażacy i funkcjonariusze ZOMO, ale wydaje się to walka bezsensowna. Zwłaszcza że każdemu trudno uwierzyć w to, przeciwko komu się ona toczy.

Porównanie z klasykiem Romera jest szyć grubymi niemi oczywiste, ale aż grzech byłoby o nim nie wspomnieć. Książkę Szmidta czyta się zresztą trochę tak, jak opis poszczególnych scen z filmu. Można odnieść wrażenie, że składa się z części, z któ-

Robert T. Szmidt,
„Szczury Wrocławia.
Chaos”, Insignis,
2015



rych każda ma swoje zawiązanie akcji i kulminację, wszystkie zaś są połączone luźno osi, czyli rozpaczliwą próbą zorganizowania jakiegokolwiek obrony przed zarazą. Plusem dla mnie są dialogi, czasem jakby wyjęte z ust por. Borewicza, i pijano-knajpiane klimaty ciemnych dzielnic Wrocławia, które wpisują się w czas akcji powieści, ale z lekkim mrugnięciem oka. Jeszcze większym plusem jest kampania promocyjna książki i pomysł, aby na jej kartach uśmiercić wylosowanych spośród fanów autora szczęśliwców. Sama powieść ogólnie przywodzi mi na myśl tylko jedno określenie: chaos. Ale w końcu taki jest też jej podtytuł. ■

JOANNA ROCHOWICZ

KSIĄŻKA

Śmierć lepsza niż hańba...

Jest październik 1943 roku. Käte Hübner, pracująca wówczas w pokazowym przedszkolu w Berlinie, dostaje polecenie, aby stawić się jako opiekunka dzieci w prywatnym domu. Wkrótce okazuje się, że ma się zająć trójką z sześciorga latorośli Magdy i Josepha Goebbelsów – Helgą, Hilde i Helmutem. I tak trafia do Bogensee, podberlińskiej posiadłości, gdzie wraz z rodziną (która mieszka tu na stałe) w idyllicznej atmosferze odpoczywa od trudów i trosk dnia codziennego bliski towarzysz Hitlera, minister propagandy, pomagający wcielić w życie ideę wojny totalnej.

Petra Fohrmann w książce „Weźmiemy ze sobą dzieci. Ostatnie lata życia rodziny Goebbelsów” spisuje wspomnienia Käte Hübner właśnie z perspektywy Bogensee, w oderwaniu od

wojennej zawieruchy, bombardowań i wszystkich konsekwencji wynikających z mieszkania w stolicy państwa, które powoli, acz nieubłaganie przegrywa wojnę. Autorka skupia się na epizodach, krótkich historiach składających się na życie codzienne Goebbelsów.

Goebbels do końca stara się pokazać niemieckiemu społeczeństwu, że jeszcze nie wszystko stracone, nierzadko wykorzystując do tego celu własną rodzinę. Niejednokrotnie staje się ona bohaterem kronik propagandowych. Na archiwalnych zdjęciach, które zostały dołączone do książki, widać dużą, kochającą się rodzinę, gromadę bawiących się, uśmiechniętych dzieci, sielski nastrój. Tylko na podstawie dat można stwierdzić, że kilka-

dziesiąt kilometrów dalej zaczyna się inna rzeczywistość – sytuacja polityczna zaostrza się coraz bardziej, Rosjanie osaczają Berlin, trwają naloty, Hitler popada w coraz większy obłęd.

Napięta atmosfera udziela się także Goebbelsom. Widmo przegranej wojny, niewoli, ale także upadek wielkich idei, porządkujących świat zgodnie z wizją Führera, jest dla nich nie do zniesienia. Koniec wszyscy znamy. 30 kwietnia

1945 roku Hitler strzela sobie w głowę. Dzień później Magda Goebbels nakazuje podanie swoim dzieciom kwasu pruskiego. Ona i mąż także popełniają samobójstwo. ■

KATARZYNA PIETRASZEK



Petra Fohrmann, „Weźmiemy ze sobą dzieci. Ostatnie lata życia rodziny Goebbelsów”, Prószyński i S-ka, 2015



A. WIŚNIEWSKA

KSIĄŻKA

Grillowanie ze szczyptą szaleństwa

Chcesz zaskoczyć swoich gości?
Zrób dla nich pijanego kurczaka w okularach.

Soczysty, pachnący, rozpyływający się w ustach. Tak smakuje pijany kurczak w okularach. A co jest równie ważne, przyrządza się prawie sam. Wystarczy, gdy będzie on średniej wielkości, do tego sól, pieprz, świeży rozmaryn, odrobina oliwy, puszka ulubionego piwa i... dobre towarzystwo do ucztowania. Ale po kolei – najpierw musimy przygotować grill. Następnie w móżdżku ucieramy rozmaryn, z pieprzem, solą i oliwą. Taką marynatą nacieramy mięso. Później wybieramy ulubione piwo, wypijamy lub wylewamy 2/3 zawartości, a na puszkę nakładamy kurczaka. Już zatem wiadomo, dlaczego jest pijany. Ale o co chodzi z okularami? Kiedy tak przygotowaną konstrukcję postawimy na grillu i upieczemy mięso pod przykryciem, przychodzi kluczowy moment. Gotowego kurczaka trzeba zdjąć z rusztu i odstawić na dziesięć minut, żeby „odpoczął”. Tylko jak tu wytrzymać tyle czasu, żeby od razu nie przystąpić do ucztowania? Można zrobić sesję zdjęciową kurczakowi w okularach przeciwsłonecznych. A po co? Na przykład, by wrzucić na Facebooka, bo, jak radzi autor receptury, „ptak na puszcze z piwem i w okularach

na pewno zbierze kilka lajków”. I właśnie taka fotka i łatwość przyrządzenia potrawy skusiły mnie do wypróbowania tego przepisu z książeczki kucharskiej „Szalony grill”. Tyle że mój kurczak pod koniec pieczenia zaczął się na puszcze przechylać na bok, jakby był jakoś bardziej pijany, co zresztą widać na moim zdjęciu. Smakował jednak wybornie. A podałam go z „szaloną salsą z mango” według receptury z tej samej książki. Na szczęście sezon grillowy w pełni, bo zostało mi jeszcze 48 przepisów do wypróbowania... Autorem wszystkich jest DJ BBQ, czyli Christian Stevenson. Podaje on nie tylko proste sposoby przyrządzenia smakowitych grillowanych warzyw czy mięsa oraz dodatków do nich, lecz także zdradza tajniki pieczenia na ruszcie. „Szalony grill” to pierwsza z serii książek kucharskich, do których stworzenia znany wszystkim miłośnikom dobrego jedzenia i gotowania Jamie Oliver zaprosił przyjaciół. Dlatego te przepisy można też znaleźć na jego kanale internetowym FoodTube. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

DJ BBQ, „Szalony grill”, Insignis, 2015

KSIĄŻKA

Wojna bez końca

Zelenay
po mistrzowsku
wykorzystuje własne
doświadczenia
do tworzenia fikcji
literackiej.

Konsultant wywiadu amerykańskiego Frank Shaperd, bohater „Tajnego raportu Millingtona”, jest najlepszym agentem najbardziej utajnionej jednostki wywiadu – Wydziału Operacji Specjalnych CIA, kierowanego przez Jasona Millingtona.

Po trzech miesiącach niebezpiecznej pracy w środowisku handlarzy bronią dla międzynarodowych terrorystów marzy jedynie o powrocie do żony, by ratować rozpadające się po dwunastu latach małżeństwo. Przed wyjazdem otrzymał jeszcze jedno, banalne zadanie. Miał spotkać się z nowym informatorem, sprawdzić, czy jest wiarygodny i jaką wartość przedstawia dla Agencji. Robota na pół godziny. Banalne spotkanie okazało się początkiem wielkiej międzynarodowej akcji terrorystycznej, sięgającej amerykańskich polityków na wysokich stanowiskach, której trop prowadził do wyjątkowo groźnego terrorysty Serowa, byłego agenta wywiadu.

Do jakiej tragedii starają się nie dopuścić ekscentryczni agenci Millingtona? Zelenay, ukazując kulisy walki z terroryzmem, przestrzega, że to niekończąca się wojna, mogąca w każdym czasie zasiać strach w naszym realnym życiu, horror współczesnego świata. Warto przypomnieć sobie tę lekturę podczas wakacyjnego wypoczynku. ■

WŁODZIMIERZ KALETA

Martin Zelenay, „Tajny raport Millingtona”, Znak, 2014

JERZY
EISLER

Sahara

TO FILM O STOSUNKOWO
SILNEJ WYMOWIE
PACYFISTYCZNEJ.
ŻOŁNIERZE WSPOMINAJĄ
O BEZSENSOWNEJ WOJNIE

Australijski film pt. „Sahara” to remake zrealizowanej w 1943 roku „ku pokrzepieniu serc” klasycznej produkcji wojennej Zoltana Kordy, noszącej taki sam tytuł. Hollywoodzki obraz, w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku pokazywany zresztą w Polsce w telewizji, jak wiele tego typu filmów zrealizowanych w czasie II wojny światowej, miał wspierać wysiłek zbrojny Amerykanów i ich sojuszników walczących na różnych frontach. W tym wypadku, jak wskazuje na to tytuł, chodziło o północnoafrykański teatr działań wojennych. Bardzo często w tego typu dziełach główne role powierzano gwiazdom, aktorom cieszącym się powszechną sympatią widzów. W tym wypadku był to sam Humphrey Bogart, który wcielił się w pełnokrwistą postać dowódcy amerykańskiego czołgu (nazwanego Lulu Belle) sierż. Joe Gunna. W nowej wersji, pochodzącej z 1995 roku, brawurowo zagrał go James Belushi.

Akcja filmu rozpoczyna się 22 czerwca 1942 roku, dokładnie w pierwszą rocznicę niemieckiego ataku na ZSRR, ale zarazem – co dla opowiadanej w filmie historii ma bez porównania większe znaczenie – w dniu zdobycia przez Niemców Tobruku, wydarzenia przez nazistowską propagandę uznanego za niebywały sukces. Rok wcześniej jednak wspierana przez Samodzielną Brygadę Strzelców Karpackich australijska 9 Dywizja (legendarne Szczury Pustyni) obroniła twierdzę i zmusiła wojska niemiecko-włoskie do jej okrążenia i w czasie dalszego marszu na wschód do Egiptu pozostawienia znacznych sił wokół Tobruku.

Bohaterami filmu są żołnierze tworzący trzyosobową załogę amerykańskiego czołgu. Odcięci od swojego dowództwa wyruszają oni wraz z napotkaną grupką alianckich żołnierzy (Brytyjczycy, którym przewodził lekarz w stopniu kapitana, nigdy wcześniej niebiorący udziału w walce, lecz ratujący życie rannym; dzielny żołnierz Wolnej Francji; Australijczycy w charakterystycznych kapeluszach; a z czasem także strzelec sudański) na pustynię w poszukiwaniu oazy Bir-Acrona. Po drodze biorą do niewoli Włocha oraz młodego nazistę, pilota strąconego samolotu. Do celu wprawdzie docierają, ale nie znajdują tam wody, która na pustyni jest może nawet ważniejsza od amunicji, paliwa i medykamentów.

W krwawych walkach z przeważającymi siłami wroga alianci zaciekle bronią studni – praktycznie będącej bez wody, o czym jednak atakujący nie wiedzieli – przed spragnionym batalionem z Afrika Korps. Do historii kina przeszła scena, w której, w czasie rozmów sierż. Gunna z niemieckimi parlamentarzystami, w dalszym planie angielski lekarz kapitan „myje się” na oczach spragnionych Niemców. Chce w ten sposób złamać ich wolę walki i skłonić do wymiany broni na wodę. W rzeczywistości Brytyjczycy zrobili małą mistyfikację, przelewając wodę między rękoma kapitana do stojącej poniżej miski. Z pewnej odległości wyglądało to tak, jakby alianci wcale nie musieli liczyć się z wodą i mogli się nawet myć bez ograniczeń.

„Sahara” jest obrazem o stosunkowo silnej wymowie pacyfistycznej. Żołnierze kilkakrotnie wspominają o bezsensownej wojnie. Zarazem jednak mocną stroną filmu są sprawy nie zrealizowane, naturalistyczne sceny batalistyczne oraz oryginalne i dość zaskakujące zakończenie. ■



PROFESOR JERZY EISLER JEST HISTORYKIEM, DYREKTOREM ODDZIAŁU IPN W WARSZAWIE I KIEROWNIKIEM ZAKŁADU BADAŃ NAD DZIEJAMI POLSKI PO 1945 ROKU W INSTYTUCIE HISTORII PAN.



**Patronat honorowy
Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej**

**Wystawa Narodowa
Norwegii**



**XXIII Międzynarodowy Salon
Przemysłu Obronnego**

1-4.09.2015

Kielce

Patronat medialny:

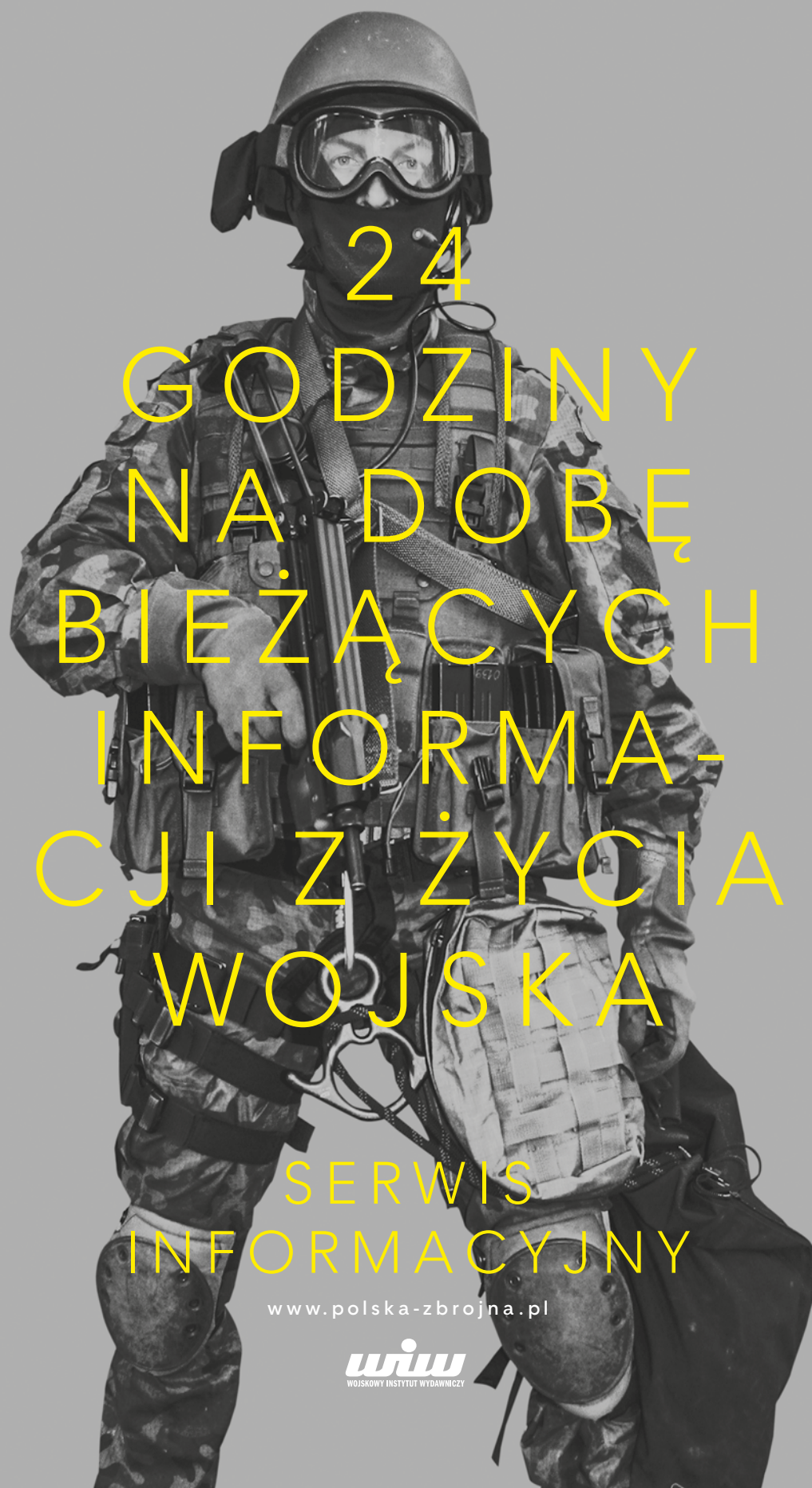


RZECZPOSPOLITA

wprost

www.msपो.pl

POLSKA-ZBROJNA.PL



24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY